KAZIMIERZ CZACHOWSKI

WACŁAW SIEROSZEWSKI

WYDAWNICTWO POLIGRAFIKA

WACŁAW SIEROSZEWSKI



Wacław Sieroszewski

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

68560

WACŁAW SIEROSZEWSKI

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

WYDANIE DRUGIE

1947

WYDAWNICTWO »POLIGRAFIKA«

Copyright by »POLIGRAFIKA«
Poland, Łódź, Sienkiewicza 18

Tłoczono w Drukarni
p. Z. P. w Wąbrzeźnie

Okładkę projektował
ROMAN SZAŁAS

E 40161

K. 3030/48

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

SŁOWO WSTĘPNE DO I WYDANIA

Punktem wyjścia niniejszego zarysu była charakterystyka Sieroszewskiego, zamieszczona w I tomie „Obrazu współczesnej literatury polskiej" (1934). Tamże podałem bibliografię pism Sieroszewskiego i krytyczną literaturę przedmiotu. W obecnym opracowaniu korzystałem nadto z pomocy następujących źródeł: Maria Ostrowska: „T. T. Jeż" (1936); Stanisław Krzemiński: „Dwadzieścia pięć lat Rosji w Polsce" (1892); Jan Lorentowicz: „Spojrzenie wstecz" (1935); Michał Sokolnicki: „Czternaście lat" (1936); Stanisław Bodniak: „Morze w głosach opinii w dawnej Rzeczypospolitej" (1931); Juliusz Kaden-Bandrowski: „Pod Belwederem" (1936); Mjr Dr Stefan Pomarański: „Z historycznych dni lipca i sierpnia 1914 r." (1936). Życiorys Sieroszewskiego oparto głównie na jego pismach autobiograficznych, drukowanych w Biblioteczce historyczno - geograficznej „Roju" (1926—1931) oraz w „Gazecie Polskiej (1931—1933). Zbiorowe wydanie „Pism" Sieroszewskiego wyszło od roku 1922 nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska" w Warszawie, nadto niektóre nie objęte nim utwory nakładem Tow. Wyd. „Rój" w Warszawie. — Zarys niniejszy opracowano jako rzecz przeznaczoną dla szerszych kół czytelników kulturalnych i dla dojrzalszej młodzieży, przede wszystkim z myślą o harcerstwie, które w życiu i twórczości Wacława Sieroszewskiego znajduje odpowiadające swym ideałom wzory i przykłady. Los zdarzył, że kończyłem pisać tę książkę w dniach, gdy moja córka Zofia przechodziła ciężką chorobę i operację, której poddała się z dzielnością godną harcerki-ochotniczki. Jej więc książkę poświęca ojciec.

W Krakowie, 26 maja 1937 r.

1.

KOGÓŻ NIE NĘCIŁ CZAR NIEZNANYCH KRAJÓW, wypraw na dalekie morza i lądy odległe? Komuż dzieckiem nie roiło się być Robinsonem? Któż młodym nie rozczytywał się dawniej w Cooperze, a dzisiaj w Londonie? Komuż z nas współczesnych w wieku dojrzałym zdarzyło się nie czytać Conrada? Od Robinsona do Conrada droga na pozór znaczna. Złudzenie to czytelnika, zrozumiałe zresztą, jeśli wziąć pod uwagę perspektywy myślowe. W gruncie jednak czyż nie robinsonadą była decyzja siedemnastoletniego Konrada Korzeniowskiego poświęcenia się służbie marynarskiej, aby nieoczekiwanie stać się później sławnym pisarzem angielskim? Zmieńmy na chwilę widoki. W roku 1874 wyruszył Konrad Korzeniowski z Krakowa na zachód ku morzu. W sześć lat później dwudziestoletni Wacław Sieroszewski odjechał w partii zesłańców z Warszawy na daleki wschód, aby również niespodziewanie wykształcić się tam na znakomitego twórcę polskiej powieści egzotycznej i, co w tym zestawieniu z Conradem zaznaczyć warto, na pierwszego w naszej literaturze wybitnego marinistę. Oto jak od Ro-

binsona do Conrada i Sieroszewskiego wyznaczają się główne linie rozwojowe powieści egzotycznej w Europie i w Polsce.
Żądza przygód na szerokim szlaku świata była od dawna ulubionym przedmiotem poetyckich opisów. Dość wymienić „Odyseję“, popularne w Europie średniowiecznej baśni wschodnie itp. Wszelako w tych utworach egzotyzm jest zgoła fantastyczny. Nic się w tym względzie nie zmienia po odkryciu Ameryki. Nawet ci poeci, którzy bezpośrednio poznali dalekie ziemie i obce ludy, wrażenia swe odtwarzali nadal w uświęconych tradycją konwencjonalnych schematach mitologiczno-fantastycznych. Widać z tego, zwłaszcza gdy porównamy wpływ doświadczeń ostatniej wojny na powojenny rozkwit literatury egzotyczno-podróżniczej, że nie wystarcza sam fakt zbliżenia człowieka ze światem, bo dopiero pogląd człowieka na świat, chociaż by pogląd nie uświadomiony, stwarza właściwe sobie perspektywy widzenia. Perspektywy te, urabiane przez myśl ludzką, rozwijają się w ramach dziejowych kultury społecznej. Rzecz zatem jasna, że należyte zrozumienie egzotyzmu w literaturze zrodziło się w Anglii. Pierwszym pisarzem, co utorował w tym kierunku drogę i rychło znalazł wielu naśladowców, jest Anglik Daniel De Foe (1659—1731) którego nazwisko nie zawsze pamiętamy, aczkolwiek wszyscy znamy jego powieść o „Życiu i przygodach Robinsona Crusoe“ (1719). Ów to „Robinson Crusoe“, dobry przyjaciel każdego europejskiego dziecka, jest właśnie pierwszą nowocześnie ujętą powieścią egzotyczną. Powieść ta, spopularyzowana w przeróbce dla młodzieży, w pierwotnej postaci znacznie obszerniejsza, w głównym pomyśle fabuły i w wielu szczegółach opiera się na rzeczywistych przygodach żeglarza szkockiego Aleksandra Selkirk (1676—1721) który cztery lata spędził na bezludnej wyspie Juan Fernandez

na Oceanie Spokojnym; zresztą autor korzystał z rozmaitych opisów podróży, cały zaś utwór jest wyrazem jego własnych doświadczeń i myśli, a bohater powieści bardzo typowym przedstawicielem angielskiego charakteru narodowego, objawiającego się i w praktycznej energii, i w poszukiwaniu nieznanej przygody, i w religijnej pobożności Robinsona. Począwszy od „Robinsona Crusoe", powieść egzotyczna staje się realistyczną, czyli przedstawia rzeczywisty świat przyrody i ludzi. Potrzeba do tego celu nie tylko pisarskiego talentu, ale i bezpośredniej znajomości opisywanego świata. Toteż wybitni twórcy powieści egzotycznej pochodzą przeważnie z ludzi, którzy swą wiedzę krajobrazów i ludów obcych zdobywają w doświadczeniach osobistych przeżyć i wrażeń. Anglik Rudyard Kipling (1865—1936) urodzony w Bombayu, przez szereg lat pracował w Indiach jako dziennikarz. Francuz Pierre Loti (właściwie Julien Viaud, 1850—1923) jako oficer marynarki zwiedził prawie wszystkie morza. Holender Multatuli (właściwie Eduard Douwes Dekker, 1820—1887) pełnił w koloniach czynności urzędowe. Amerykanin Jack London (właściwie John Griffith, 1876—1916) bywał marynarzem, włóczęgą, robotnikiem i sprawozdawcą wojennym. Wreszcie najgłębszy spośród nich artysta i myśliciel, zanglizowany Polak Joseph Conrad (właściwie Konrad Korzeniowski, 1857—1924) dwadzieścia lat służył w marynarce handlowej. Pisarze ci, zanim swymi dziełami zdobyli dla literatury europejskiej nowe nieznane lądy, morza i ludy, długie nieraz lata zbierali zasób tworzywa obserwacyjnego, które później z pamięci i doraźnych notatek stawało się realistyczną podstawą dla kompozycji artystycznie obmyślanej. Do potrzebnej dla ich świadomości pisarskiej wiedzy dochodzili oni drogą praktykowanych obowiązków w swobodnie obieranych zawodach życiowych.

Inaczej działo się w Polsce niewolnej, której literatura odkrywa egzotyczne światy kosztem przymusowego położenia tworzących ją pisarzy. Nie zawsze, ale niekiedy oddziaływało to ujemnie na artyzm ich twórczości, czy z powodu skrępowania więzami ograniczeń politycznych, czy wskutek braku kontaktu z współczesną literaturą europejską w warunkach pracy wygnańczej, czy też z wewnętrznego nakazu służby narodowej. Skądinąd stwarzało to jednak odrębny punkt widzenia, z którego powstawało naturalne pogłębienie współczucia z ludami znajdującymi się pod uciskiem obcym lub w poniżeniu społecznym, przez co polska powieść egzotyczna nabrała swoistego kolorytu uczuciowego, a wzmocnionym tonem subiektywnego porozumienia z uciemiężanymi albo krzywdzonymi zajęła w dorobku ogólnoeuropejskim stanowisko osobne. Dzisiaj, gdy sami już w odrodzonym państwie narodowym przezwyciężamy romantyczny idealizm walki o cudzą wolność, łatwiej to pojąć, że Kipling, z nieuprzedzonym zrozumieniem i z dobrą wolą współczucia przedstawiając swych Hindusów, czuł się nade wszystko imperialistycznym patriotą angielskim. Moment ten dla pisarza polskiego, pozbawionego własnego państwa, odpadał, a nawet siłą rzeczy przenosił się (sublimował) na obowiązek stawania po stronie zniewolonych przeciw najeźdźcom. U obu jednak głównych przedstawicieli egzotyzmu w powieści polskiej drugiej połowy XIX stulecia znajdujemy także realistyczne widzenie świata władców, w którym umieją oni odróżniać szczegóły mechanizmu rządzenia, czyli człowieka od urzędnika. Być może i dlatego, że obaj ci pisarze, będąc gorliwymi patriotami, nie mają w sobie fanatyzmu nienawiści, w stosunku do własnej sprawy narodowej nie przestają być rzecznikami czynnej walki o niepodległość, a w swym trzeźwym poglądzie na świat liczą tylko na siły człowieka i społeczeń-

stwa. Pierwszy z nich Teodor Tomasz Jeż (właściwie Zygmunt Miłkowski, 1824—1915), przymusowy tułacz i tajny emisariusz powstańczy, odkrył dla literatury polskiej mało wówczas znany półwysep Bałkański i bliski wschód, pełen egzotyzmu świat Serbów, Chorwatów, Bułgarów, Rumunów, Arnautów, Turków, Tatarów itd. (Jego arcydzieło powieściowe: „Uskoki" (1870), jakże przerastające głośno reklamowane w dobie powojennej opowiadania francuskie Rumuna Panait Istrati, — miało też duże powodzenie w przekładzie francuskim w roku 1881). Drugi, Wacław Sieroszewski, zesłany do kraju Jakutów, stał się właściwym twórcą polskiej powieści egzotycznej, w ogóle w artystycznej literaturze europejskiej pierwszym i nie prześcignionym znawcą tajemniczych krajów i półdzikich ludów syberyjskich. Poprzedził go Adam Szymański (1852—1916) współczesny Sieroszewskiemu wygnaniec, który wszelako najpiękniejsze ze swych „Szkiców" (1887—1890) syberyjskich poświęcił opisom doli polskich zesłańców.

Wątek syberyjski w literaturze polskiej ma tradycje bogate i sięgające dawnych czasów. Michał Janik, w swych podstawowych a niezwykle zajmujących „Dziejach Polaków na Syberii" (1928) stwierdza, że jednym z pierwszych Europejczyków, który już w wieku XIII ziemię syberyjską aż poza „święte morze" Bajkalskie zwiedził i opisał, był Benedykt Polak, franciszkanin wrocławski, biorący udział w poselstwie do władcy Mongołów od papieża Inocentego IV, który po bitwie pod Lignicą nosił się z myślą wyprawy krzyżowej. Łacińska relacja Benedykta Polaka, ważna jako dokument historyczny, nie ma charakteru literackiego. Nie posiadają go też diariusze lub pamiętniki Polaków XVI i XVII wieku, którzy dostali się na Syberię jako jeńcy wojenni za Batorego i Samozwańców. Nowy okres stosunków polsko-syberyjskich

rozpoczynają liczeni już na dziesiątek tysięcy zesłanych spośród konfederatów barskich. W porównaniu z okresem poprzednim „rola zesłańców za sprawę konfederacką zmienia się o tyle, że gdy dawniejsi byli przede wszystkim jeńcami wojennymi, zesłańcy konfederaccy i ich następcy byli zarazem ofiarami szlachetnego porywu w obronie zachwianej lub utraconej niepodległości" (Janik). Dopiero też od konfederatów barskich rozwijają się właściwe dzieje polskiej literatury syberyjskiej, ciągnące się już bez przerwy aż po ostatnie wojny, czyli do chwili odzyskania niepodległości państwowej. Bardzo obfita z tego okresu literatura składa się w przeważającej części z pamiętników, z których sporo odznacza się dużymi zaletami literackimi, nie jeden zaś zyskał wielki rozgłos i szeroką poczytność, nawet poza granicami Polski, począwszy od „Historii podróży i osobliwszych zdarzeń sławnego Maurycego Augusta hr. Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego" (1790 po angielsku w przekładzie z rękopisu francuskiego, 1797 w przekładzie polskim) aż po opisy przygód naukowo-podróżniczych Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego (1923). Pamiętnik Beniowskiego (1741—1786), również uczestnika konfederacji barskiej, urodzonego na sąsiadującej z Polską Słowaczyźnie wówczas węgierskiej, napół cudzoziemca, napół Polaka, „pełen awanturniczych przygód ma charakter ściśle osobisty i może dlatego pociągnął wyobraźnię wielu pisarzy naszych i obcych, którzy przygody Beniowskiego przerabiali w dramaty, opery i powieści. Z naszych pisarzy dość wymienić Juliusza Słowackiego, który około jego postaci snuł swoją epopeję barszczyzny, a w nowszych czasach Wacława Sieroszewskiego, któremu pamiętnik Beniowskiego posłużył za temat do powieści. Jest to istotnie jedno z bardzo ciekawych dzieł literatury podróżniczo-awanturniczej, w którym zaciera się granica między rze-

czywistością a poezją. Powodem tego rodzaju przygód, opartych na fakcie rzeczywistej ucieczki Beniowskiego z Kamczatki i na niewątpliwej autentyczności wielu innych arcy- awanturniczych wydarzeń, który jednak mógł się wydać wymysłem fantazji..." (Janik). Wszelako w dziejach literatury narodowej pierwszym wybitnym pamiętnikiem syberyjskim, jest „Dziennik podróży" powstańca kościuszkowskiego Józefa Kopcia (1762—1827). Waleczny brygadier, wzięty do niewoli pod Maciejowicami, zesłany na Kamczatkę, część swego wygnania przebył wśród Jakutów nad rzeką Leną, w okolicy dobrze nam dzisiaj znanej z książek Sieroszewskiego. „Dziennikiem podróży" Kopcia obszernie zajmował się Adam Mickiewicz w swej paryskiej lekcji literatury słowiańskiej 29 kwietnia 1842 roku, przyznając pamiętnikarzowi głębokie wyczucie natury oraz „nowy charakter Polaka, skruszonego nieszczęściem". Z uznaniem o Kopciu wyrażał się i Juliusz Słowacki, który sam w „Anhellim" (1838) stworzył najpiękniejszą poetycką idealizację polskiej martyrologii syberyjskiej. „Pozostał też pamiętnik Kopcia — stwierdza dzisiaj Janik — w żywej pamięci narodu, przypominany zawsze, gdy uczucie narodowe trzeba było szczególniej pobudzać lub pokrzepiać. Nie żali się w nim na losy; wolny od samolubstwa wrogom nawet oddaje sprawiedliwość, jak cnotliwy Silvio Pellico (poeta włoski, 1788—1854, więziony przez Austriaków w Spielbergu) z którym porównał go Mickiewicz; natura prosta, żołnierska, prawdziwie sympatyczna postać zesłańca-ofiarnika". Szlakami syberyjskimi ciągną następnie liczni zesłańcy polscy, zwłaszcza po powstaniach listopadowym i styczniowym. Spośród tych, co dali piśmienne świadectwa „męczeństwa dusz polskich na Sybirze", odrębną uwagę zwracają Wincenty Migurski, którego tragiczne dzieje, opowiedziane w pamiętniku, dały

temat Rosjaninowi Lwowi Tołstojowi do noweli „Za co“, oraz Rufin Piotrowski, emisariusz Centralizacji Polskiego Towarzystwa Demokratycznego z roku 1843, którego pamiętnik, dla talentu literackiego i nadzwyczajności przygód porównywany z pamiętnikiem Beniowskiego, tłumaczono na główne języki europejskie, a jeszcze niedawno stał się przedmiotem entuzjastycznej oceny Norwega Knuta Hamsuna. Z polskiej literatury syberyjskiej nie jeden nadto pamiętnik, co Janik w przytoczonej monografii dokładnie objaśnia, wyróżnia się także dobrymi, choćby niezamierzonymi, zaletami literackiego opisu. W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku dokonuje się przemiana w politycznym obliczu nowych partii wygnańców z Polski. Do ofiarników sprawy narodowej, którymi wyłącznie byli powstańcy okresu poprzedniego, gromadnie teraz przybywają na zesłanie syberyjskie rewolucjoniści społeczni. Typem pośrednim, łączącym w sobie hasła narodowe z rewolucyjno-społecznymi, był m. in. Florian Bohdanowicz, który w ciekawym pamiętniku z lat 1876—1885 wspomina także o śmiałej, acz nie udałej, ucieczce siedmiu przestępców stanu; wśród nich znajdował się „warszawianin ślusarz-poeta Sieroszewski“... Był to jeden z pierwszych zesłańców za propagandę socjalizmu w Królestwie Polskim. Na tej drodze Wacław Sieroszewski rozpoczął swą służbę „żołnierską“ w walce o niepodległość narodu. Na wygnaniu stał się badaczem ludu jakuckiego i pisarzem, który polską literaturę syberyjską wzniósł na wyżyny świadomego artyzmu.

2.

W POWIEŚCIACH I NOWELACH WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO mieści się wiele materiału autobiograficznego, zwłaszcza w „Zaciszu“ z „kraju lat dziecinnych“, w

„Ucieczce“ z losów zesłańca. Są to jednak utwory literackie, w których wątek autobiograficzny miesza się ze zmyśleniem, wprowadzonym dla potrzeb kompozycji artystycznej. W przedmowie do „Ucieczki“ autor wyraźnie ostrzega: „Ucieczka“ osnuta jest na zdarzeniu prawdziwym. Ale posłużyła mi ona jedynie za tło do obrazu z życia wygnańców politycznych na Syberii. Stąd częste zboczenia od fotograficznej wierności, stąd pojawienie osób zmyślonych, zbiorowych typów wygnańczych oraz wtrącenie scen, które zaszły na wygnaniu gdzieindziej i z innymi ludźmi. Aby usunąć z góry możliwe nieporozumienie, oświadczam, iż Arkanow jest właśnie taką osobą „zbiorową“, stworzoną przeze mnie z okruchów spostrzeżeń, nie zaś czyimkolwiek wizerunkiem. Proszę więc czytelników, znających istotną historię wydarzenia, aby nie doszukiwali się żadnych podobieństw które byłyby dla mnie bardzo bolesną niespodzianką“. To wyznanie powieściopisarza, ważne do ustalenia jego metody realistyczej (bynajmniej nie polegającej na naiwnym kopiowaniu życia) stanowczo zaprzecza mniemaniu, jakoby większość utworów literackich Sieroszewskiego miała charakter pamiętnikarski. Natomiast już w latach powojennych Sieroszewski ogłosił drukiem fragmenty swych wspomnień autobiograficznych, które — przy pomocy niektórych innych dostępnych źródeł — pozwalają na wierne i dość dokładne odtworzenie najciekawszego okresu z „bohaterskiego żywota pisarza“.

Wacław Sieroszewski urodził się 24 sierpnia 1858 roku w Wólce Kozłowskiej koło Radzymina na Mazowszu, w starym dworze ziemiańskim. „Takich dworów — pisze Sieroszewski w swoich wspomnieniach (1932) — obecnie już nie ma; przynajmniej nie spotykałem ich nawet w głuszy kresowej. Ze wszystkich pokoi naszego obszernego domu zapamiętałem najlepiej wielką, niską izbę, przyle-

gającą bezpośrednio do stołowego. Zwała się ona „czeladną". Po środku stały tam długie, wąskie stoły „na kozłach", otoczone prostymi ławami z desek. Tam my, dzieci, jadaliśmy co dzień śniadania i wieczerze a często nawet obiady razem z wszystkimi domownikami, osobno od rodziców i „starszych". U jednej ze ścian „czeladnej" wielki kominek z murowanym okapem otwierał szeroko swą czarną paszczę. W zimie i na jesieni stale tam płonęły ogromne szczapy drzewa. Pamiętam tę izbę jedynie w czerwonym blasku gorejącego ognia. Wieczorami skupiały się dookoła niego dworskie prządki i przy szumie wrzecion lub cichym szeleście dartego pierza, opowiadały straszliwe historie o upiorach, o strzygach, o nieboszczykach, o piekle, o czyśćcu i niebie, o „madejowym łożu", o France młynarzównie i czterdziestu rozbójnikach... oraz wiele, wiele innych „cudności". Siostry i ja, przytuleni do kolan naszej poczciwej ochmistrzyni, „starej Puchały", słuchaliśmy z zapartym oddechem tych straszliwych opowieści... Czasami śpiewano chórem, zależnie od sezonu, „Gorzkie żale", kolędy, albo stare pieśni. Z tych to czasów pamiętam żałosną piosenkę:

W ogródeczku liście padają,
A mnie ludzie za mąż wydają...
A ten pierwszy, pisze wiersze.
Nie pójdę ja za niego!...

W wypadkach, kiedy w kole „dwórek" siadała matka, nie opowiadano bajek, nie zadawano „gadek", ani nie szeptano cichym z przerażenia głosem „podań" o straszliwych tatarskich lub szwedzkich najazdach, o martwej głowie, skaczącej po pustych polach, z nieludzkim wrzaskiem przepowiadającym mór, głód lub wojnę... Matka zazwyczaj otwierała księgę i głośno czytała, a wszyscy w wielkim skupieniu słuchali... Były to Żywoty Świętych

lub pobożne legendy wczesnego średniowiecza... Nasłuchawszy się ich, długo nieraz nie mogłem usnąć, skruszony do głębi mnogością popełnionych przeze mnie grzechów, drżąc od pragnienia bezgranicznej świętobliwości, żałując, że nie ma już Neronów i Tyberiuszów, którzy rzuciliby mnie na pożarcie lwom za moją wiarę... Jakże zazdrościłem św. Sebastianowi tylekroć przebitemu ostrymi strzałami? Albo św. Janowi w Oleju?... Najwięcej łez jednak kosztowała mnie legenda o św. Genowefie. Och, jakże nienawidziłem okrutnego Gola!... Jakże szalenie kochałem miłą, dobroczynną sarenkę, karmicielkę świętej i jej synka! — Zresztą uczucia moje, łzy, i radości dzieliły ze mną wszystkie zasłuchane w „czytankach" dworskie dziewki. Wycierały nosy i oczy fartuchami tak często i głośno, że aż je nieraz musiała upominać stara „Puchała", żeby nie przeszkadzały pani... Z tego okresu pochodzi moja znajomość rzymskiej powieści „Fabiola" (kardynała i pisarza angielskiego Wisemana), oraz powieści „Pojata, córka Lizdejki" (Feliksa Bernatowicza). Ale tę ostatnią pamiętam, nie wiem dlaczego, gorzej. Czytano tam i inne książki bardzo mądre: o obowiązkach obywatela i chrześcijanina, o żywiołach, o zmysłach, o częściach świata, ale tych zupełnie już nie pamiętam..." Zaszczepiona w „czeladnej" ciekawość do książek wcześnie zachęciła przyszłego pisarza do nauki czytania. „W ogóle — wspomina Sieroszewski — nie pamiętam siebie nie umiejącego czytać, miałem wrażenie, że tę sztukę posiadałem od urodzenia. Podobno nauczyłem się sam, przysłuchując się lekcjom, udzielanym starszym siostrom przez matkę". Na wrażliwą duszę dziecka silnie oddziaływać musiały także rodzinne tradycje wojskowe i przejścia powstańcze. Dziad pisarza Kajetan był szwoleżerem w roku 1812 i oficerem w powstaniu listopadowym, dwaj stryjowie i ojciec brali udział w powstaniu styczniowym. Na

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Wólkę Kozłowską nakładano kontrybucje, niszczono ją postojami wojsk rosyjskich. Rosły długi, za czym poszła utrata majątku. Ojciec wyemigrował za granicę, a po śmierci matki dzieci zabrali krewni. Starego dworu rodzinnego pisarz nigdy już odtąd nie zobaczył. Znalazł się znowu w dworze wiejskim, ale w innych okolicach Polski i w zupełnie innych warunkach. W odbiciu powieściowym wrażenia i przeżycia tych lat odnaleźć można w „Latoroślach" i zwłaszcza w „Zaciszu". W opisie życia pisarza trzeba się wszakże ograniczyć do korzystania ze szczuplejszych jego ściśle autobiograficznych wspomień. Sierotę zaczęto pośpiesznie przygotowywać do egzaminu szkolnego. Siedmioletniego chłopca więcej od systematycznej nauki nęciły samodzielne odkrycia. W nowej siedzibie szczególną jego uwagę zwróciła tajemnicza szafka w salonie, pełna oprawnych tomów. „Nie wolno tam było gmerać dzieciom, — wspomina po latach Sieroszewski — ale moja namiętność do książek była widocznie silniejsza od obawy kary i kiedy nikogo nie było, wślizgiwałem się cichutko do zakazanego miejsca i zatapiałem się w książkach przede wszystkim ilustrowanych. Żywot Napoleona... Mundury Wojska Polskiego... Podróż naokoło świata, Arago... Prawdopodobnie nie czytałem ich, gdyż nic z wyjątkiem obrazków i tytułów nie pamiętam... Nie pamiętam również czy tam, czy też wcześniej przeczytałem po raz pierwszy Robinsona Kruzoe i zakochałem się w tej książce na zabój. Łuk, strzały, maczuga własnego wyrobu stały się nieodłącznymi mymi towarzyszami, a szałas wybudowany w rosochach olbrzymiego białodrzewu — wiernym schroniskiem po każdej psocie, po każdym z domownikami zatargu... Pamiętam jednak dobrze, że tam właśnie w tej zakazanej biblioteczce znalazłem drugą ukochaną przeze mnie książkę, czytaną nieskończoną ilość razy na równi z Robinsonem Kruzoe. Był to „Pan Tadeusz".

Odtąd moje rozdarte serce wahało się nieustannie między bohaterem De Foe i Maćkiem Kropicielem. Wprawdzie tamten wszystko umiał sam zrobić, ale ten za to nieporównanie bił... wrogów. Rozumie się, że przeczytałem wszystkich romantyków w lipskim wydaniu, którzy znajdowali się w biblioteczce, lecz wówczas nie zrobili na mnie wrażenia. Z owych czasów zapamiętałem tylko trochę „Żmiję“, trochę „Grażynę“ — głównie dlatego, że się przebierali, oraz „Balladynę“, ustęp, gdzie ta zabija siostrę. Zacząłem również studiować „Nędzników“ Wiktora Hugo, ale odebrali mi ich. Ten sam los spotkał „Barbarę Ubryk“ i „Tajemnice dworu hiszpańskiego“... Te wszystkie „cenzury“ napełniły mnie wielką goryczą i odepchnęły na czas jakiś od literatury pisanej. Zwróciłem się znowu do literatury ustnej, zawarłem bliższą znajomość z wioskowymi pastuszkami i nieraz długie godziny spędzałem z nimi przy ogniskach, przynosząc im wzamian za opowiadanie bajek — wykopane w ogrodzie kartofle oraz resztki z własnych zatajonych śniadań i podwieczorków...“. W podobny sposób na wygnaniu dorosły już mężczyzna będzie zbierał wśród Jakutów materiały do naukowej pracy etnograficznej. Tymczasem siedmioletni chłopiec zostaje uczniem I klasy III gimnazjum w Warszawie. „W pierwszym roku — wspomina Sieroszewski — byłem tak znużony wysiłkiem dopędzania starszych i lepiej przygotowanych kolegów, że nic nie czytałem... z wyjątkiem Robinsona Kruzoe. Łykając łzy, wspominałem szczęśliwe, niepowrotnie stracone czasy, spędzane z łukiem i maczugą w szałasie w rosochach białodrzewu. Nawet Maciek Kropiciel wydawał mi się niegodnym zdrajcą, sojusznikiem dręczącej mnie kultury. Dopiero w II i III (klasie) wrócił mi zapał czytelniany. Pochłonąłem Juliusza Verne'a, z którego najlepiej pamiętam „Dzieci kapitana Granta“ oraz „20.000 mil pod wodą“. Rząd

rosyjski zajęty był wówczas wprowadzaniem wykładowego języka rosyjskiego do szkół dotychczas polskich. Wziął się do tego dość sprytnie. Na miejsce starego nauczyciela Szwarca który nas dręczył bajkami Kryłowa, przyszedł młody, o ile pamiętam Łuczyckij, który nic nam nie zadawał, niczego nie wymagał, lecz bardzo pięknie deklamował Puszkina, Lermontowa, Żukowskiego i od czasu do czasu czytał ustępy z dzieł Fenimora Coopera, Mayne Reida, Emara. W najciekawszym miejscu przerywał: „Kto chce poznać ciąg dalszy, może wziąć książkę z biblioteki szkolnej!...“ Pusty dotychczas pokój biblioteczny zaroił się od amatorów książek, trzeba było ustanowić kolejkę oraz tworzyć grupy czytelników. Znajomość rosyjskiego języka rosła w szalonym tempie. Jużeśmy się nie wstydzili, że czytamy po rosyjsku, bo przecież czytaliśmy nie o Moskalach, lecz o bohaterskich Delawarach, Siuksach, Huronach, Seminolach... Pamiętam, że pożerałem te książki...“ Lektura kształciła uczuciowość i wyobraźnię chłopca, któremu rychło przestała wystarczać biblioteka gimnazjalna, zaczął więc brać „książki z wypożyczalni żydowskich na Święto-Krzyskiej i Freta“, gdzie znalazł nowe skarby wrażeń w powieściach Dumasa oraz w powieściach kryminalnych Ponson du Terrail‘a. Książki te odsunęły wszystkie inne zainteresowania na dalszy plan. „Zostałem — wspomina Sieroszewski — w III klasie na drugi rok. Ale tu nastąpił nagły zwrot, gdyż rząd rosyjski wprowadził język rosyjski jako wykładowy i zabronił nawet rozmawiać po polsku w murach gimnazjum. Należałem, rozumie się, do opozycji — stale rozmawiałem po polsku, miano mnie za to wyrzucić z gimnazjum. Jak załagodzili tę sprawę moi opiekunowie, nie wiem. Porzuciłem jednak odtąd lekturę rosyjską“.

W szkołach Królestwa zaczynało się wtedy prześladowanie języka i wszelkiej myśli polskiej, nawet nie tylko pol-

skiej, lecz europejskiej, jeśli była przeciwna wszechwładnie rozpanoszonemu reakcjonizmowi rządów carskich. „Dogmat, — pisze historyk tej doby Stanisław Krzemiński — że rządzić można Polską tylko grzebiąc myśl polską, nigdzie tak dobitnie nie wystąpił, jak w zakresie szkolnictwa". Zruszczenie szkoły wprowadzono jako główny środek polityki wynarodowienia, systematycznie stosowanej we wszelkich dziedzinach życia publicznego w Królestwie, począwszy zwłaszcza od lat 1870-tych, lat szkolnych Wacława Sieroszewskiego. Naturalną siłą odruchu wśród polskiej młodzieży gimnazjalnej tworzą się wówczas tajne kółka samokształcenia, których przyszły pisarz jest pilnym uczestnikiem. „Tam — pisze w swych wspomnieniach — przeczytałem po wielekroć od nowa naszych wielkich romantyków i przedyskutowałem ich z kolegami. Powieści polskie Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Rzewuskiego, Jeża i innych stały się obowiązkową naszą lekturą. Z nich pamiętam najlepiej „Chatę za wsią", „Pod włoskim niebem", „Starą Baśń", „Listopad", „Uskoki"... Przestudiowałem też „Iliadę" i „Odyseję" w przekładzie Siemieńskiego oraz utwory Szekspira. Z poważniejszych rzeczy: Mochnackiego „Historię rewolucji", Lelewela „Dzieje Polski", J. Stuarta Milla „Równouprawnienie kobiet", Drapera „Siłę i materię", Smiles'a „O charakterze", wreszcie „Bogactwa narodów" Smitha. Ogromną rolę w moim czytelnictwie odegrała biblioteka wydawana przez Wiślickiego przy „Przeglądzie Tygodniowym". Z teorią Darwina zapoznałem się z klerykalnej „Homo versus Darwin" i stałem się od razu zapalonym darwinistą..." Była to bowiem doba rozkwitu pozytywizmu warszawskiego. Porwany ogólnym prądem, namiętny czytelnik pochłaniał wydawane wówczas książki przyrodnicze i już w piątej klasie należał wraz z gronem kolegów do kółka „wolnomyślicieli".

Nowe światy myśli ludzkiej, która w uprawie nauk przyrodniczych widziała właściwą drogę demokracji i postępu, oderwały ucznia od pracy szkolnej. W programie zrusyfikowanej szkoły, za wzorem obowiązującym w Rosji, przeważał kierunek klasyczny. Tymczasem młody Sieroszewski zaniedbał właśnie łacinę i grekę. Chciał się więc przenieść do gimnazjum realnego, ale przeszkodziła mu zła cenzura. Powziął wtedy decyzję, która wywarła skutki doniosłe na całe życie.

Pozytywizm w Polsce był ruchem nie tyle naukowym, ile polityczno-społecznym, którego głównym wskazaniem stała się organiczna „praca u podstaw". Pod hasłem tym rozumiano przede wszystkim przyswojenie zachodnio-europejskie kultury ekonomicznej, rozwój narodowego przemysłu i rzemiosła, w ogóle podniesienie gospodarczych sił krajowych i oświaty szerokich warstw ludu. Z późniejszej powieści Wacława Berenta pt. „Fachowiec" poznać dzisiaj można atmosferę, która na podłożu panujących w społeczeństwie ówczesnym prądów przyjęła się w kołach gorliwszej młodzieży. Takim „fachowcem" w pracy u podstaw postanowił też zostać Sieroszewski. Pomimo oporu opiekunów, porzucił gimnazjum, aby nauczyć się rzemiosła. Przez dwa lata terminował u ślusarza przy rogu Brackiej i Widoku. Konieczność przystosowania się do ciężkiej pracy fizycznej nie sprzyjała zainteresowaniom naukowym. Ale już w drugim roku terminowania w rzemiośle ślusarskim zabiera się pilnie do studiowania mechaniki i matematyki. Jako robotnik warsztatów kolejowych, uczęszcza jednocześnie do szkoły technicznej, założonej przez zarząd kolei warszawsko-wiedeńskiej. Kierownik szkoły inspektor Wojno, zauważywszy zdolności i przygotowanie ponad wymagania kursu szkolnego, zaopiekował się uczniem specjalnie, pożyczał mu książki i dopuścił go do laboratorium chemicznego. Młody ślu-

sarz-technik nie poprzestaje na pracy zawodowej i nauce szkolnej. Ciekawość do książek i pęd do samodzielnego kształcenia umysłu wróciły ze wzmożoną siłą. „Z tego okresu — wspomina Sieroszewski — pamiętam wielkie wrażenie, jakie uczyniły na mnie powieści Czajkowskiego, które czytałem na głos robotnikom kolejowym w czasie obiadowej przerwy“. W szkicowym zarysie „bohaterskiego żywota pisarza“ pisze o tym okresie dobrze poinformowany Jan Lorentowicz: „Oddychał młodziutki technik całą pełnią życia umysłowego, jednocześnie bowiem należał do tajnych robotniczych kółek samokształcenia, w których czytano Milla, Buckle'a, Büchnera i dyskutowano nad sprawami moralności, filozofii i polityki. Namiętne spory wywołało pytanie, postawione raz przez jednego z członków kółka: c o t o j e s t o j c z y z n a? Wywołało ono rozłam śród całej grupy młodzieńców. Sieroszewski, po długich rozmyślaniach, stworzył sobie sam taką definicję: „Ojczyzna — to szczęście i przyszłość prostego ludu“. Szukając do niej drogi, spotkał się z pierwszymi bojownikami socjalizmu polskiego“.

Pierwsze komórki ruchu socjalistycznego wśród warszawskiej młodzieży uniwersyteckiej powstały około roku 1874, ale nie miały one jeszcze ustalonego charakteru, były niejako odnogą cokolwiek radykalniejszą ogólnego prądu pozytywistycznego. Ożywienie rozbieżnych poczynań nastąpiło w końcu roku 1876, z chwilą przyjazdu do Warszawy Ludwika Waryńskiego, pierwszego właściwego organizatora rewolucjonizmu społecznego w Królestwie. O nastrojach, które panowały w gromadce młodych radykałów, przeciwstawiających się choćby pozornemu lojalizmowi oficjalnych przywódców pozytywizmu, opowiada świadek współczesny: „Idea socjalizmu, obca dotąd młodzieży warszawskiej, znalazła wśród niej szczerych wyznawców. Toczyły się gorące rozprawy o rozmaitych

teoretycznych i praktycznych kwestiach. Roztrząsano teorię Marxa, działalność Lassalle'a, mówiono z radością o wzroście socjalnej demokracji w Niemczech i o niedawnych procesach nihilistów rosyjskich, zastanawiano się wreszcie nad środkami skutecznej propagandy wśród uczącej się młodzieży i robotników. Zapał niezwykły wszystkich ogarniał. Na rozjaśnionych twarzach widać było żywe przejęcie się ideą, która wszystkich do głębi poruszała, z oczu tryskała wiara, która również wszystkich podniecała. Miło było wśród tego grona, przesiąkniętego na wskroś atmosferą wzniosłych celów i szlachetnych porywów... Któż z nas wówczas pozwoliłby sobie wątpić, że za trzy lub najdalej za cztery lata nie nastąpi gwałtowna rewolucja społeczna, która zmiecie z oblicza ziemi stary porządek rzeczy i na ruinach jego zaprowadzi nowy ustrój równości, wolności i braterstwa?..."
W gronie entuzjastów nowej idei społecznej znaleźć się też musiał Wacław Sieroszewski. Wysłano go za kordon graniczny po transport „bibuły" propagandowej. Pojechał z Janem Tomaszewskim (który później stał się zdrajcą) i z powierzonego zadania wywiązał się pomyślnie. Żandarmeria carska, zaniepokojona objawami silnie już krzewiącego się ruchu robotniczego, zabrała się jednak do energicznego tropienia. 5 sierpnia 1878 roku — opowiada Feliks Perl (Res), historyk „Dziejów ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim" — „w mieszkaniu przy ulicy Marszałkowskiej Nr 27, zajmowanym przez czeladników ślusarskich: „Jana Bucha" (Ludwika Waryńskiego), Ludwika Kobylańskiego i Jana Tomaszewskiego, miało się odbyć zebranie robotnicze, w celu omówienia rzadkiego wówczas wypadku: strajku w jednej z pomniejszych fabryk żelaznych. Policja dowiedziała się o tym z donosu dwóch zdrajców: Skowrońskiego, pisarza z fabryki Lilpop i Rau i Michalskiego, robotnika z fabryki

lamp Podgórskiego. Wybrano się więc na łowy, na pierwszą w Warszawie rewizję w sprawie socjalistycznej. Na ulicy za wczasu rozstawiono szpiclów — przebranych po cywilnemu żandarmów. Ich podejrzane manewry zwróciły uwagę nadciągającej gromadki robotników z kolei wiedeńskiej (w ich gronie był, między innymi, Wacław Sieroszewski). Gdy się upewniono, że są to istotnie psy gończe, postanowiono udaremnić im łowy. W mieszkaniu był tylko Jan Tomaszewski, którego zdołano wywabić na ulicę. Rozstawiono pikiety, ażeby uprzedzić przybywających robotników i odsyłać ich na inne mieszkanie, gdzie też zebranie spokojnie się odbyło. Tymczasem zaczęła się rewizja...". Obława ta nie udała się, ale już „8 sierpnia nastąpiły pierwsze aresztowania. Na dworcu kolei wiedeńskiej aresztowano Jana Tomaszewskiego i odprowadzających go: Kazimierza Pławińskiego i Wacława Sieroszewskiego. A potem długim szeregiem ciągnęły się rewizje i aresztowania. Rewizji było 120; 80 osób pociągnięto do odpowidzialności... 40 „inteligentów" i 35 robotników zaludniło X pawilon (cytadeli warszawskiej) którego mury dawno już nie oglądały tylu gości naraz, a po raz pierwszy *takich* widziały bojowników, szermierzy sprawy robotniczej." Wśród nich Wacław Sieroszewski był już przez życie zahartowanym, lecz ledwo dwudziestoletnim chłopcem.

3.

W OPOWIADANIU PT. „BYĆ ALBO NIE BYĆ", NApisanym w roku 1908, dał Sieroszewski dokładny opis literacki doli więźnia Zaremby. Ten głęboko wstrząsający utwór o przeżyciach jednostki, wyodrębnionej z życia ogółu i dręczonej drobnymi lecz ciągłymi prześladowaniami dozorców, wysnuł autor niewątpliwie z osobistych do-

świadczeń. Co wszelako dla charakterystyki Sieroszewskiego jest znamienne, że w swych wspomnieniach autobiograficznych pisząc (w r. 1931) o więzieniu, pominął własne cierpienia, które we wspomnianej opowieści zobiektywizował na wymyślonej postaci, natomiast nie bez humoru opowiedział o jaśniejszych chwilach pobytu w słynnym X pawilonie. Dostarczyła ich... twórczość literacka Bo — pisze Sieroszewski — „więzienie byłoby idealną pracownią literacką, gdyby nie małe „ale"... Gdyż dla twórczości literackiej prócz „osamotnienia" potrzebny jest jeszcze... czytelnik, a przynajmniej pewność, że on będzie. W więzieniu nie ma zupełnie czytelnika i nie ma wcale pewności w jego zjawienie się. Przeciwnie, wszystko skierowane jest ku temu, żeby wpływy „zbrodniczego ducha" na społeczeństwo sprowadzić do zera. Jest to przecież główne zadanie więzienia. Nie dają więc tam ani pióra, ani ołówka, ani papieru... Wszystko zaś pisane przez więźnia za pozwoleniem władzy podlega surowej kontroli i nigdy nie wiadomo, czy najbardziej umiłowane przez niego myśli, najczulej wypieszczone obrazy nie zostaną przeczytane jedynie przez... naczelnika więzienia, a potem zniszczone lub złożone w archiwum. To bardzo podcina skrzydła twórczości... Toteż w X pawilonie warszawskiej cytadeli w 1879 roku zakwitła literatura dopiero wtedy, kiedyśmy tam odkryli... czytelnika. A odkryliśmy go dość późno. Większość z nas siedziała tam już prawie rok a miała wciąż tylko... słuchacza. Wiadomości ze świata przynoszone na widzeniach przez krewnych, wymiana myśli i zwierzenia były do tej pory wystukiwane cichutkim stukiem w gruby mur. Cały alfabet był rozmieszczony w pięciorzędowych kratach. Pierwsze uderzenie oznaczało rząd, drugie — miejsce w rzędzie, tak że „a" wyrażało się puknięciem raz-raz, „w" — pięć stuknięć i jedno stuknięcie. Niektórzy doszli do takiej wprawy, że ich stu-

kanie robiło wrażenie śpiesznego klekotu aparatu telegraficznego. Pozwalało to nam doskonale zapoznać się z sobą poprzez mury więzienne. Stale żądano, aby każdy opisał swoją powierzchowność, dzielił się swymi przeżyciami, smutkami, nadziejami. Z tego obowiązku nie były wyłączone nawet — koleżanki. Wywoływało to najrozmaitsze „qui pro puo", gdyż byli tam więźniowie z humorem, ale również byli zakochani w cichych, lekkich krokach swoich sąsiadek... Stukanie stwarzało więc wspólną atmosferę więzienną, budziło pragnienie obcowania, dzielenia się myślami i uczuciami. Byli tacy, co próbowali deklamować stukaniem swe utwory, przeważnie wiersze, lecz próby zawodziły. Utwory dłuższe, szczególniej prozą, nie mogły powstać w tych warunkach. Tęsknota za czytelnikiem rosła wśród poetów z dnia na dzień. Papier, pióra, atrament można już było zdobywać, gdyż naczelnik X pawilonu, major żandarmski Aleksandrowicz, przezywany „Don Pedro", puszczał te przedmioty w przesyłkach od krewnych z bielizną i żywnością, konfiskując za to butelki wina lub inne cenne przedmioty, umyślnie dołączane do rzeczy przynoszonych dla więźniów, a przeznaczone jako łapówka dla niego. — Legenda głosi, że ten inny doskonalszy sposób porozumiewania się przez grube mury wynalazła, jak zawsze... miłość! Że był jakiś więzień młody, zakochany w „cichych krokach sąsiadki", który zapragnął mówić jej o swych uczuciach nie przez stukanie, które mógł słyszeć każdy, lecz inaczej, aby słyszała je ona jedna. Postanowił przebić półmetrową ścianę. W tamtejszych warunkach było to przedsięwzięcie o wiele trudniejsze niż przekopanie tunelu, przez górę Cenis. Jednakże miłość nie zraziła się trudnościami. Za cały oręż miała starą, złamaną stalówkę, która wtulona w kącik kieszonki ocalała w czasie rewizji przed okiem i palcami żandarmów. Miała więc miłość stalowe dłuto, które

należało jedynie obsadzić na odpowiednim drążku i puścić w ruch. Drążek zdobyło się przez odłupanie ostrożne krawędzi drewnianego stołka, następnie nićmi, wyszarpniętymi z bielizny, przymocowano stalówkę do końca drążka i świder był gotów. Niezmiernie wolno, z cierpliwością właściwą tylko więźniowi drążono otwór w upatrzonym miejscu, w kącie koło pieca, na niedużej wysokości nad ziemią. Aby ułatwić sobie świdrowanie w twardej cegle i skamieniałym wapnie, koniec świdra zwilżano od czasu do czasu wodą. Po tygodniu pracy otwór był gotów i pierwszy list, drobniutkim zapisany pismem, dostał się w ukochane ręce... Tak powstała słynna „poczta“ X pawilonu. „Poczta“ tak się z czasem rozszerzyła, takiej nabrała zuchwałości i rozmachu, że nad piecem w niektórych celach więźniowie powyjmowali cegły i poprzebijali duże otwory przez które podawali sobie książki i nawet.... szklanki herbaty. W taki sposób dostałem „Kapitał“ Marxa, który przestudiowałem właśnie w X pawilonie. (W innym fragmencie wspomnień wyznaje Sieroszewski, że poznane dopiero w więzieniu teorie Marxa „początkowo wprost go oszołomiły“). Większe otwory budowane już były przy pmocy prętów, wyłamanych z łóżek żelaznych i stoczonych na kaflach pieca w kształt prawdziwego dłuta. Słowem, w parę tygodni po pierwszym wynalazku cały X pawilon połączony został tunelami, przez które z łatwością przechodził zwitek gazet. Otwory tunelu zakrywaliśmy we dnie tekturą, posypaną z wierzchu skrobanym tynkiem na warstwie wilgotnego chleba. Oko rozróżniało podstęp jedynie z bardzo bliska. Komunikacja ze skrzydłem, po przeciwnej stronie korytarza, dokonywana była w sposób inny, niebezpieczniejszy i mało poetyczny... Dopiero opisana wyżej komunikacja „pocztowa“ stworzyła odpowiednie warunki dla twórczości literackiej. Z początku posyłaliśmy so-

bie tunelami listy oraz wiadomości z „wolności“, zdobyte przez szczęśliwców na widzeniach. Z czasem te wiadomości rozszerzyły się i uregulowały do tego stopnia, że przedstawiały rodzaj gazety, pojawiającej się co kilka dni. Nazwaliśmy ją „Głosem Więźnia“. Do wiadomości bieżących i politycznych „odpowiedzialny“ redaktor (Józef Pławiński) zaczął wkrótce dołączać wierszyki... Tam to ukazała się śliczna „Kołysanka“ oraz słynny portret „Don Pedra“ pióra Wacława Święcickiego... Litertura bogato rozkwitła... Pisano zawzięcie na wszystkich piętrach. „Głos Więźnia“ przybierał coraz piękniejsze szaty: nagłówek był misternie rysowany piórkiem. W tekście pojawiały się nieraz ilustracje i karykatury. Wierszy było zatrzęsienie. Były nie tyle dźwięczne, co mocno społeczne. Nareszcie ukazała się artystyczna proza... satyra i nowela. Może by doszło nawet do powieści, gdyby nie „wsypa“ — straszliwa, zupełnie nie oczekiwana „wsypa“. W Krakowie, przy aresztowaniu pierwszych „zagranicznych“, to jest warszawskich socjalistów, znaleziono parę numerów „Głosu Więźnia“. A ponieważ w nagłówku napisane było, że redakcja mieści się w X pawilonie, austriaccy żandarmi dali znać żandarmom rosyjskim i ci urządzili „pogrom X pawilonu“. Wykryto nie tylko „drogi pocztowe“ lecz i samą redakcję, choć była starannie ukryta pod deską podłogi. Żandarmi byli rozwścieczeni tym „międzynarodowym skandalem“, ukarali zaś winowajców, i pisarzy i czytelników, srogimi obostrzeniami, blaszanymi kapturami na oknach, wprowadzaniem podczas widzeń podwójnej siatki drucianej, stosowaniem karceru. A ponieważ ja należałem do najżarliwszych współpracowników gazety i wśród materiałów „drukowanych“ oraz przygotowanych do druku znaleziono sporo moich wierszy, między nimi „Czegóż chcą oni“, oraz no-

welę wyśmiewającą żandarmskie rewizje, aresztowania i ich dowcipy śledcze, więc skazano mnie na kilka tygodni „białego karceru“ — to jest umieszczono w odległym kącie gmachu więziennego, w celi zupełnie pustej, głuchej, pozbawionej nawet krzesła, stołu i łóżka... Tam przesiedziałem cały czas o chlebie i wodzie i tam zrozumiałem, że „mucha przelatująca przez pokój“ nie jest metaforą i może być w pewnych warunkach... ewenementem. Żaden glos nie docierał tam do mnie; miałem jednak zwyczaj stukać co dzień o zmroku... Więc towarzysze, od których zostałem oderwany, opowiadali mi potem, że co dzień nasłuchiwali głuchych, dalekich uderzeń i pocieszali się, mówiąc: Stuka, więc żyje!...“

Te dzieje pierwszych publikowanych prób twórczości literackiej miały jeszcze dalsze, znacznie gorsze następstwa. „Głos Więźnia“ przyniósł już jednak sławę Sieroszewskiemu jako poecie. Jego płomienny wiersz: „Czegóż chcą oni?“ zyskał nadzwyczajną popularność wśród robotników i dotychczas przetrwał w pamięci. „Oto — streszczamy ten wiersz za Feliksem Perlem — garść młodzieży, garść robotników, którzy teraz jeszcze są „biednymi tułaczami“, wzniosła w górę czerwony sztandar wyzwolenia społecznego. A „gawiedź“ burżuazyjna... pyta ironicznie: „Czegoż chcą?“ i w pogoni za złotem, za uściskiem sprzedajnym dziewczyny, „walką o byt“ tłumaczy swoje triumfy i porażkę „słabych“. Ale choć socjaliści dziś są jeszcze garstką „biednych tułaczy“, przyszłość do nich należy, są bowiem jaskółkami, zwiastującymi burze. Poeta widzi okiem ducha „mnogie robocze pułki“, otaczające kulami rwany czerwony sztandar, walczące z okrzykiem: „swobody, fabryk i ziemi“ — o ustrój socjalistyczny“. Taki był Sieroszewskiego pierwszy triumf literacki, który przyszło mu ciężko odpokutować.

Przyszły pisarz nie przestawał kształcić się w więzieniu. Gdy pozwolono mu sprowadzić podręczniki do studiowania języków obcych, wybrał sobie język niemiecki, którego początki posiadał z gimnazjum. „Licha warta — wyznaje — była jednak ta nauka więzienna. Pomimo tego, iż dwukrotnie przeszedłem metodę Olendorffa, rychło wszystko zapomniałem po wyjściu z więzienia. Jeżeli moje studia nad socjologią (Spencer) i ekonomią polityczną (J. S. Mill i K. Marx) dały pewne rezultaty, to tylko dlatego, że miałem wówczas za towarzysza celi Stanisława Landy'ego który tymi przedmiotami żywo się interesował i z którym długie na ten temat prowadziliśmy dyskusje." Tymczasem jeden z więźniów, osiemnastoletni robotnik Józef Bejte usiłował zjednywać dla socjalizmu żołnierzy pełniących służbę wartowniczą w cytadeli. Pewnego dnia, gdy odginał blachę nad lufcikiem, aby porozmawiać z nieznanym mu jeszcze nowym wartownikiem, rozległ się strzał. Bejte trafiony w głowę, padł martwy. Wieść tragiczna natychmiast rozniosła się po celach i wywołała ogólne poruszenie więźniów. Rozbijali stoły i stołki, łamali łóżka żelazne, rozwalali piece. Do celi Sieroszewskiego i Landy'ego wpadł komendant cytadeli generał Ulrich. Rozszalały Sieroszewski wyrwał z okna ramę i rzucił nią w komendanta. Żandarmi strasznie pobili obu więźniów, których następnie za „zbrojny opór władzy" oddano pod sąd wojenny. Sieroszewskiemu groziła kara śmierci, od czego ocalił go gen. Ulrich, zeznając, że deska wypadła sama z rąk więźnia. W sierpniu 1879 roku Landy'ego skazano na 8 lat, Sieroszewskiego, jako niepełnoletniego, na 6 lat katorgi. Tę ciężką karę, wskutek starań siostry więźnia, zamieniono później na „wieczne osiedlenie" w Syberii wschodniej. Z partią innych zesłańców odjechał Sieroszewski z Warszawy na długoletnie wygnanie.

4.

W III CZĘŚCI „DZIADÓW“ ADAMA MICKIEWICZA ksiądz Piotr skarży się Bogu:

Tyran wstał — Herod! — Panie, cała Polska młoda
Wydana w ręce Heroda.
Co widzę? — długie, białe, dróg krzyżowych biegi,
Drogi długie — nie dojrzeć — przez puszcze, przez śniegi
Wszystkie na północ — tam, tam w kraj daleki
Płyną jak rzeki.
Płyną: — ta droga prosto do żelaznej bramy,
Tamta jak strumień wpadła pod skałę, w te jamy,
A tamtej ujście w morzu. — Patrz! po drogach leci
Tłum wozów — jako chmury wiatrami pędzone,
Wszystkie tam w jedną stronę.
Ach Panie! to nasze dzieci,
Tam na północ — Panie, Panie!
Takiż to los ich — wygnanie!

— — — — — — — — — — — — — —

Tym samym z „Widzenia“ księdza Piotra szlakiem wygnańczym podążył dwudziestoletni Wacław Sieroszewski wraz z Stanisławem Landy'm, współtowarzyszem z więzienia, oskarżenia i wyroku. Drogę swoją opisał później Sieroszewski w książeczce wspomnień autobiograficznych pt. „Ciupasem na Syberię“ (1926). Z Warszawy wywieziono obu skazańców w głąb Rosji do centralnego więzienia przesyłkowego w Wysznim Wołoczku w guberni Twerskiej. W dużym murowanym więzieniu kryminaliści byli pomieszani z politycznymi. Więźniowie polityczni składali się wyłącznie ze skazańców „administracyjnych“, czyli karanych nie przez sądy, lecz na podstawie orzeczenia generał-gubernatorów rozmaitych prowincyj. Sieroszewski i Landy byli tam na ów czas pierwszymi skazańcami

pozbawionymi praw wyrokiem sądowym. Przebrano ich w odzież więzienną i pomieszczono w osobnych celach, co wzbudziło ogólne zainteresowanie „polskimi buntownikami", jak mianował ich naczelnik więzienia. Uważano ich „za wielkich i niebezpiecznych zbrodniarzy", za jakieś „nowe wydanie strasznych powstańców 63 roku". Osobno ich też wieziono w pociągu do Moskwy, gdzie zostali przyłączeni do dużej partii zesłańców politycznych, zgromadzonych tymczasem w więzieniu Butyrskim. „Było tego paręset osób, umieszczonych w kilku obszernych i widnych salach. Ruch tu panował i gwar, jak na jarmarku. Co chwila rozchodziły się elektryzujące pogłoski, przynoszone z miasta przez odwiedzających więźniów krewnych. Większość ubrana była w odzież własną, „cywilną", jak tu mówiono..." Również obu Polakom wydano walizki z rzeczami, odebrane na wyjezdnym z Warszawy. „Chodzę — wspomina Sieroszewski — od grupy do grupy, przysłuchuję się, rozpytuję. Po rocznej samotności w murach warszawskiej cytadeli, ten gwar, ten tłum oszałamia mię, zaciekawia, pociąga, Kogo tam nie ma?" Oto znany ekonomista rosyjski Jużakow, „ludowiec" (narodnik), opięty czerwonym pasem; liczni członkowie „Upraw" (zarządów) samorządowych, posądzani o sprzyjanie ruchowi rewolucyjnemu, zwłaszcza z ziem południowych, gdzie ruch ten wtedy najsilniej rozgorzał; ukrainofile, między nimi znany historyk Kowalewski, którego całą winą: żona „Marusia", słynna rewolucjonistka ukraińska; dalej grupa Żydów, jakiś dziennikarz, kilku kupców, „pół tuzina studentów i uczniów, bardzo włochatych i bardzo krzykliwych..." Na uboczu trzymali się skazani na ciężkie roboty. „Było ich z górą trzydziestu, większość już ubrana w więzienne szare chałaty z kolorowymi kierami na plecach i w grubą więzienną bieliznę. Na czoło wybijał się tęgi mocny brunet Wołoszenko, przywódca terorystów na Ukrainie; obok

milczący, cichy i skromny Popko (w kilka lat potem umarł w katordze, przykuty do taczek, i wtedy ujawniło się, że to on był zabójcą naczelnika żandarmów w Kijowie Heikinga, kata Ukrainy); student Fomiczow, syn protojereja (na sądzie wojennym zaprzeczył stanowczo, by brał udział w aktach terorystycznych, ale przyznał się jednocześnie, że jest socjalistą; to wystarczyło do skazania go na 20 lat ciężkich robót; po kilku latach dostał obłędu religijnego); Efremow, również ze sfer duchowieństwa prawosławnego, łagodny jak dziecko, cierpliwy, prawy i szlachetny, ale przezwany „Stieńką Riazinem" za okropny swój wygląd (podobno, że jedynie za ten swój wygląd został skazany na wieloletnią katorgę)... Było tam jeszcze wielu innych: Żydów, Greków, Rumunów, Bułgarów, Łotyszów, Niemców, Gruzinów, Ormian, nie licząc rdzennych Rosjan. Wśród tych ostatnich wyróżniał się urodą, powagą i wielkim wykształceniem Komow, tkacz z Moskwy, samouk, skazany na 15 lat za pracę w tajnej drukarni. Przeciwieństwem jego był szewc Gorainow, wielki warchoł i zaciekły wróg inteligencji, którą obwiniał o rozmaite „„klasowe zbrodnie"... (Wreszcie) 15-letni Iwiczewicz, ulubieniec wszystkich, śliczny młodzieniaszek, skazany za to tylko na wygnanie, że był bratem dwóch rewolucjonistów, zabitych w Kijowie w czasie oporu zbrojnego... Takie były ofiary polityki ówczesnego dyktatora grafa Loris-Melikowa (carskiego ministra spraw wewnętrznych w latach 1880—1881), który głosił: „wielkie represje i wielkie reformy". Reformy polegały na gadaniu z liberałami i obiecywaniu im za poparcie rządu „konstytucji", jako „w mniej lub więcej odległej przyszłości wieniec budowy!" Chytry Ormianin przeprowadził jednak tylko pierwszą połowę swego programu; upadł, gdy spróbował przystąpić do drugiej; dokonała jej dopiero rewolucja 1905 roku. „Wszyscy — pisze dalej Sieroszewski — zebrani na ów

czas w Butyrkach więźniowie niesłychanie interesowali się nami, Polakami, uchodzącymi z dawien dawna za „zastrelszczyków“ wszelkiego buntu. Przychodzili do nas, rozmawiali, wypytywali się i wręcz nie wierzyli, że jesteśmy przedstawicielami polskiego budzącego się ruchu robotniczego o wszechświatowym charakterze. Dopiero doskonała znajomość Marxa, wykazana w dyskusjach przez Stanisława Landy‘ego, przekonała ich nieco, zawsze jednak zarzucali nam „wąski nacjonalizm“ za poprawki niepodległościowe, wprowadzane przez nas do minimalnego programu socjalistycznego.

— Po co wam to, skoro wszyscy będą braćmi?...

— Na wszelki wypadek, dopóki ludzie nie zostaną aniołami!... — stale odpowiadał im Landy. Ja sam — dodaje Sieroszewski — z powodu słabej znajomości rosyjskiego języka mało mieszałem się w spory i polityczne dociekania, zresztą należałem do najmłodszych w tej różnorodnej gromadzie i jej życie więcej mię interesowało, niż ich słowa, których jednak słuchałem z całą uwagą i nieraz z większym skupieniem niż warte były, jak się o tym później przekonałem...“ Wyjaśnienie to nader znamienne do charakterystyki człowieka i pisarza, bo Sieroszewski w całej swej działalności polityczno-społecznej i w twórczości literackiej był zawsze rzecznikiem nie czczych słów, lecz czynu i czynnego stosunku do spraw życiowych. Takim go też widzimy już wtedy, gdy jako uczeń V klasy gimnazjalnej zostaje czeladnikiem ślusarskim; w buncie więźniów cytadeli warszawskiej, co opłacił zesłaniem; w podejmowanych dwukrotnie próbach ucieczki z syberyjskiego wygnania... Dla wielu więźniów w Butyrkach „wygnanie przedstawiało się jak daleka romantyczna wyprawa na koszt rządu, gdyż mówili: „i na Syberii jest przecież Rosja“. Dla nas Polaków — wyznaje Sieroszewski — był to bez wątpienia najbardziej rozdzierający dramat, gdyż

myśmy tracili na długo, może na zawsze... Ojczyznę. Dlatego trzymaliśmy się wciąż ze Stanisławem Landy'm razem i często bywaliśmy smutni..."
Zgromadzeni w Butyrkach więźniowie mieli być wywiezieni do rozmaitych „miejscowości mniej lub więcej odległych". Najważniejszą więc dla nich sprawą było „pytanie: kiedy i kogo wywiozą dalej?" Pewnego dnia poruszyła wszystkich wiadomość, że katorżan zakuwają w kajdany. „Zbiegliśmy się — wspomina Sieroszewski — przed drzwiami na korytarz główny, spoza których dobiegały głuche uderzenia młotów i szczęk żelaza. Z zapartym oddechem, z pobladłymi twarzami staliśmy, wsłuchując się w tragiczne dźwięki, gdy drzwi otwarły się i starszy nadzorca w towarzystwie dwóch uzbrojonych strażników wszedł z listą, zatrzymał się i zaczął wywoływać nazwiska. Więzienna idylla równości skończyła się — wzywano wszystkich skazanych sądownie, a więc i nas obu..." Sprawdzono w spisach więziennych informacje osobiste, po czym odprowadzono ich z powrotem do celi. „Zaczęły się gorączkowe przygotowania do drogi, lecz nikt nie mógł się dowiedzieć, czy będzie należał do wyznaczonej partii, czy zostanie. Wielu z tych, co pragnęli zostać, próbowało przenieść się do szpitala, ale udawało się to z wielkim trudem. Zakuci nauczyli się nosić i podpinać na rzemieniach kajdany, otoczenie przyzwyczaiło się rychło do szczęku łańcuchów. Gorzej było z ogolonymi przez pół głowami, oszpeceni nie zdejmowali wcale czapek, nawet spali w nich. Nareszcie, pewnego dnia, wszedł naczelnik więzienia, wymienił ze sto nazwisk i kazał wywołanym wychodzić „z rzeczami"... Na podwórzu powstał zatarg z powodu rzeczy, których okazało się tak dużo, że własnymi siłami wygnańcy nie byli w stanie ich unieść. Po długich pertraktacjach władze pozwoliły wynająć parę wozów, aby przewiozły bagaże na kolej". Skazańców pognano pie-

szo. Na dworcu osobnym wejściem wprowadzono ich na peron i umieszczono w przygotowanym pociągu, który wkrótce przewieziono daleko za miasto i pozostawiono w czystym polu. Pozwolono im tutaj śpiewać, czego na stacji zabraniano. Po długim postoju pociąg ruszył. „Noc była ciężka, ławki wąskie i twarde, w dodatku wielu zakuto w ręczne kajdany". Nad ranem partia przybyła do Niżnego Nowgorodu, skąd dalszą drogę przebyto na barce Wołgą.

„Znowu — pisze Sieroszewski — rzeczy kazano nam wziąć samym i znowu zaczęły się targi i pertraktacje bez końca; skończyło się, jak w Moskwie, wynajęciem wozów za słone pieniądze. Barka więzienna był to duży statek drewniany, płaskodenny, z nadbudówką na pokładzie i na dziobie, w której się mieścił oddział żołnierzy jako straż. Kuchnia i składy na części tylnej. Między obydwiema tymi nadbudówkami wolna część pokładu, również nakryta dachem, zamykała się mocnymi rozsuwanymi siatkowymi ramami. Tędy schodziło się po schodach pod pokład do właściwych pomieszczeń przesyłkowych więźniów. W drodze, gdy holowana przez parowiec barka płynęła z dala od brzegów, zasuwano ramy i oddzielone od świata w ten sposób międzypokładzie stawało się miejscem przechadzki dla więźniów, którym dozwolono tu wychodzić na „wolne powietrze" z podpokładowej sali. Rozumie się, że brać więzienna tam gromadziła się dzień cały, gdyż tam było najprzyjemniej, można było oddychać czystym powietrzem, lubować się widokami pięknych brzegów wielowodnej Wołgi, to wyniosłych, złotych od rżysk, to kędzierzawych od rdzewiejących już lasów, to zielonych, płaskich i rozległych jak step..." „Ale pobyt na pokładzie miał urok i dla innych względów: było tu dużo kącików zacisznych za stosami skrzynek i worków z naszą prowizją, bardzo dogodnych dla poufnych przyjacielskich zwie-

rzeń. Były one tym bardziej ponętne, że na barce razem z politycznymi mężczyznami więziono i wygnanki kobiety. Miały oddzielny pokoik, lecz korzystały ze wspólnego spaceru na pokładzie. Wśród nich... była żona doktora ukrainofila Sawenki z Kijowa, była pani Mirolubowa, nauczycielka ludowa, panna Felicja Lewandowska, Polka, która następnie wyszła za Landy'ego, oraz bardzo młoda i ładna dziewczyna Gutowska — biała, różowa, z pysznymi jak ogień rudymi włosami, narzeczona katorżnika Kołtanowskiego, w której zresztą kochała się cała młódź więzienna. Było jeszcze kilka pań... w każdym razie było ich bardzo mało na stu kilkunastu więzionych na barce młodzieńców. To też amor dyskretnie, lecz nieustannie polatywał w powietrzu, wywołując wichry westchnień i miliony wyrazistych, wielbiących spojrzeń..." Wieczorami „przyzwyczajeni do więziennego „stukania" i niecierpliwsi zakochani porozumiewali się za pomocą szybkich, telegraficznych uderzeń w ścianę z przedmiotami swych westchnień na górze, zamykanych na noc oddzielnie od nas w nadpokładowych kajutach. „Kniżniki" czytali, spoglądając od czasu do czasu wyniośle spoza kart książek na „lekkomyślnych światowców". Uparcie — wyznaje Sieroszewski — należałem do tych światowców, ku niezadowoleniu i nawet pewnemu zgorszeniu kochanego Stanisława Landy'ego..." Urozmaicano sobie czas także śpiewem chóralnym. Śpiewano rosyjskie pieśni rewolucyjne, „Marsyliankę" po francusku. „Czerwonego sztandaru" jeszcze w Rosji nie znano. „Myśmy — pisze Sieroszewski — słyszeli go w Warszawie już 1878 roku; przywiózł go z Paryża Józef Uziembło. Pierwszy raz rewolucjonistom (rosyjskim) zaśpiewał go na tej barce Stanisław Landy... po francusku. Początkowo rosyjski tekst „Czerwonego sztandaru" był żywcem przetłumaczony z polskiego tekstu, z którym zapoznali rosyjskich rewolucjonistów polscy

zesłańcy. Prócz tego nasz chór śpiewał moc pieśni zwykłych i ukraińskich. Gdyśmy zaczynali śpiewać, zwykle publiczność na parowcu, który nas holował, gromadziła się przy sterze i zwrócona twarzą do nas pilnie słuchała. Niektórzy, szczególniej kobiety, dawali nam jakieś znaki, niekiedy słyszeliśmy oklaski, stłumione przez odległość i szum kół parostatku. Mieliśmy tam znajomych — żonę Jużakowa, która dobrowolnie towarzyszyła mężowi na wygnanie, oraz małżonków Natansonów, którym pozwolono odbyć podróż na Syberię na własny koszt, przy czym musieli opłacić również drogę dwóch żandarmów, pilnujących ich i nie odstępujących na krok... Płynęliśmy dzień i noc, zatrzymując się bardzo krótko, żeby naładować paliwo dla kotłów lub zabrać pocztę w większych miastach. Jedynie w wypadkach gęstej mgły parowiec zarzucał kotwicę gdzieś pośrodku rzeki i podciągał barkę ku sobie. Wtedy nie pozwalano nam wychodzić i straż nasza, składająca się z plutonu żołnierzy z oficerem i kilku żandarmów, zdradzała szczególny niepokój oraz czujność..." Za Kazaniem z Wołgi przejechano na Kamę. „Wszyscy więźniowie, oficerowie i żołnierze konwoju wylegli na pokład, lecz nikt nie śpiewał. Miałem wrażenie, — wspomina Sieroszewski — że po raz pierwszy partia uwożonych wygnańców, do której należałem, poczuła, że w jej życiu coś się rwie i zmienia niepowrotnie..." Kamą, bystrą i potężną rzeką górską, parowiec z trudem wlókł barkę więzienną przeciw prądowi, ku północno-wschodowi. Zmieniła się przy tym pogoda. Zawiał zimny gwałtowny wicher. Był to jednak wciąż „okres podróży... stosunkowo najprzyjemniejszy". Z więźniami obchodzono się względnie i nie przestrzegano regulaminu. Aż do Permu, gdzie — stwierdza Sieroszewski — „otrzymali pierwszy chłodzący „tusz" ci optymiści, którzy dowodzili, iż całe nasze zesłanie ograniczy się do cudownej przejażdżki na rządowy koszt po

wspaniałej Syberii, że Loris-Melikow lada dzień wydrze u cara konstytucję i my wrócimy... Dlatego obchodzą się z nami tak względnie, że czują w nas przyszłych swych władców!... — dowodzili w zapale.“

Permskie więzienie centralne już wyglądem swoim zrobiło na zesłańcach wrażenie przejmujące. Było to pierwsze na ich szlaku więzienie „katorżne“. „Mimo, iż stało w obrębie miasta, wydzielało się zeń posępną, ciężką, kanciastą architekturą. Dwupiętrowy korpus murowany z małymi zakratowanymi okienkami, opasany wysokim murem, wznosił się ponad dachy otaczających domów na stromym brzegu rzeki. Gdyśmy się do niego zbliżyli — wspomina Sieroszewski — i zatrzymano nas przed wielką, okutą żelazem bramą, przygnębiające wrażenie wzrosło przez bolesne wypełniające więzienie głosy. Całe ono od piwnic do dachów jęczało od szczęku kajdan...“ Po zmianie konwoju i sprawdzeniu partii zesłańców, przed rozmieszczeniem ich w zamkniętych ciasnych celach, dokładnie zrewidowano kajdany i skoro okazywały się za szerokie lub obluźnione, natychmiast je przekuwano na cięższe i dokuczliwsze, również rzeczy „skrupulatnie przetrząśnięto i zabrano najmniejszy skrawek papieru, najmniejszą rzecz „cywilną“, nawet guziki i szczoteczki od zębów“. W więzieniu permskim trzymano zesłańców dwa dni, przez które radzono nad sposobem odstawienia ich dalej do Tiumenia drogą lądową, gdyż innej nie było. „Wiele depesz, — pisze Sieroszewski — jak nam potem mówiono, zamieniono z Petersburgiem, nim postanowiono wieźć nas „na trójkach“. Byliśmy pierwszą od 1863 roku wielką partią politycznych przesyłanych na Syberię i rząd nie zdecydował się jeszcze, jak nas traktować. Jeszcze trwały układy z „liberałami“, jeszcze rząd liczył się z opinią publiczną, jeszcze Loris-Melikow ją łudził i rozdwajał obietnicami reform... W dodatku wciąż jeszcze byliśmy w granicach

Rosji Europejskiej, gdzie nawet względem „katorżan“ stosowano łagodniejsze prawa. Rząd nie był pewny, jak się zachowamy wobec represji i zmian, wolał wprowadzać je stopniowo, unikając głośnego skandalu. Jak się później okazało, postanowił je wprowadzać w głębi Syberii, daleko od wszelkich „opinii“ i gazet...“
Jazda „trójkami“ koni, zmienianych na stacjach pocztowych co 25—30 km, „była to — wspomina Sieroszewski — druga zachwycająca podróż. Wprawdzie nie była taka wygodna, jak „barką“, lecz za to nieskończenie rozmaitsza. Na wygodnych, drążkowych „tarantasach“ posadzono na każdym po trzech więźniów i dwóch żołnierzy. „Jamszczyk“ (woźnica), przylepiony na rożku „obłuczka“ (kozła), dziko pokrzykiwał i machał krótkim batem, przynaglając trzy tęgie, półdzikie konie wciąż do szybkiego biegu. Te rwały jak szalone, szczególniej przy wjazdach na górę i zjazdach na dół. Nieraz zdawało się, że i „tarantas“, i my i konie, i nawet „gosudarskije“ żandarmy, rozbijemy się w puch od tego pędu o rosnące na dnie przepaści drzewa, lub wpadniemy do jeziora, wyłaniającego się nagle na skręcie drogi. Ale gdzie tam, woźnica w samą porę zdzierał lejce, zawracał tak że koła błyskały nad urwiskiem. Ponieważ gór po drodze było coraz więcej, mieliśmy emocji niemało...“ „Miejscowość była bardzo malownicza, porosłe lasami stoki Uralu wznosiły się coraz wyżej, aż pewnego dnia znaleźliśmy się na przełęczy, na której stał potężny słup z dwugłowymi orłami. Na przybitej do jego szczytu desce z jednej strony napisane było „Europa“, z drugiej „Azja“. Z ciekawością i ściśniętym sercem oglądaliśmy te napisy i nie mogliśmy śpiewać, choć konwojujący nas żandarmski oficer bardzo o to prosił..“ Przyroda na wschodnich stokach Uralu otwierała przed zesłańcami widoki „nieopisanego czaru“. „Nie wiem, — wyznaje Sieroszewski — czy ten czar, czy nadzieja na konstytucję

Loris-Melikowa spowodowały, że w tym okresie nie powstała u nikogo myśl o ucieczce..." Z zesłańcami politycznymi dotychczas obchodzono się bardzo oględnie i nawet uprzejmie. Stosunek ten miał się niebawem zmienić. Od słupa granicznego między Europą i Azją zaczynała się bowiem ziemia wygnania. Była to już Syberia.

5

PIERWSZYM WIĘKSZYM MIASTEM SYBERYJSKIM, w którym zatrzymano partię zesłańców, był Ekaterynburg. W więzieniu tamtejszym popasano tylko jeden dzień. Sutą zapomogę w prowiantach i pieniądzach przysłał wygnańcom Koziełł-Poklewski. Po raz pierwszy od Moskwy dowiadywano się o Polaków, czy znajdują w partii i ilu. W niektórych wielkich wsiach syberyjskich po drodze całą partię brano zresztą za Polaków. I z tego powodu — pisze Sieroszewski — „wygrażano nam pięściami... i krzyczano: „pany, buntowszczyki"!... Czy to było echo dawnych czasów, czy umiejętna propaganda policji w celu wzbudzenia ku nam niechęci i utrudnienia na wszelki wypadek ucieczki — nie wiem. Na etapach byliśmy jednak przyjmowani przez ludność życzliwie, gdyż dawaliśmy jej spory zarobek... Oficerowie etapów starali się być uprzejmi, robili co mogli, żeby nam uprzyjemnić pobyt w swych brudnych ciemnych więzieniach... Wydawali się „poczciwcami", gdyż taki mieli rozkaz... Po opuszczeniu dopiero etapu dowiadywaliśmy się wypadkiem od „jamszczyków", co to nieraz byli za ludzie... Jak gnębili wsie podwodami, jak okrutnie obchodzili się z kryminalistami, którzy dostali się w ich władzę, jak ich okradali, wymuszali łapówki, znęcali się nieraz bez żadnego powodu..."

Tymczasem partią „opiekowali się“ żandarmi aż do Tiumenia, gdzie oddano już zesłańców władzom miejscowym. „Więzienia na Syberii — opisuje Sieroszewski — są jak katedry katolickie w średniowiecznej Francji, najokazalszymi, najbardziej rzucającymi się w oczy budynkami miasteczek, a nawet miast. Zwą je tutaj „tiuremnyj zamok“ albo „ostrog“, zapewne na pamiątkę tych czasów, kiedy w twierdzach (ostrogach) Kozaków-zdobywców najważniejszym budynkiem było więzienie, gdzie trzymano zakładników z tubylczej ludności dla wymuszania „jasaku“ (podatku w futrach, przeważnie lisich i sobolich). — „Tiuremnyj zamok“ w Tiumeniu zrobił na nas silne wrażenie swymi rozmiarami i okazałością. Po Butyrkach było to największe z spotykanych do tej pory więzień. Tu gromadziły się, nawet często zimowały partie „zsylnych“ kierowanych w głąb Syberii, tu latem wsadzano je na barki, które spławiano rzekami Turą, Tobolem, Irtyszem do zlewu z Obią, a potem Obią w górę rzeki, aż do Tomska, największego miasta tej połaci kraju, siedliska generał-gubernatora Zachodniej Syberii. — Trzy dni spędziliśmy w Tiumeniu. Pobyt był nieprzyjemny. Odzwyczailiśmy się już od więziennego rygoru, ciasnoty, robactwa, zamknięcia... Zaczęły się drobne prześladowania, bezmyślne czepianie się przepisowych drobiazgów, które odtąd były usuwane jednym słowem żandarmów. Zrozumieliśmy, że odtąd będziemy mieli do czynienia z ludźmi, wobec których nawet żandarmi okazywali się „wersalczykami“. Już podczas „przyjmowania partii“ poczuliśmy „inny wiew“... Istotnie żandarmi dbali o nasze względne wygody, starali się wiele rzeczy nam ułatwić, otaczali nas opieką przed „samodurstwem“ poszczególnych oficerów i żołdaków etapowych, robili nam rozmaite pieniężne usługi, na przykład wydawali naprzód strawne na całą drogę co umożliwiało zakupienie potrzebnych wiktuałów tanio

w wielkich miastach lub przy okazji... Słowem, położenie nasze materialne z żandarmami było o wiele lepsze. Za to ich oko i ucho wciąż czuliśmy na sobie; podsłuchiwali nasze rozmowy, przeglądali niby od niechcenia nasze książki, kradli porzucone kajety i notatki; w czasie najgorętszych „pryncypialnych" dyskusyj spostrzegaliśmy koniec końców zawsze niespodzianie ich cień gdzieś w ukryciu... Rozumieliśmy dobrze, że pomimo największej z naszej strony ostrożności, to ciągłe obcowanie w czasie drogi z żandarmerią dostarcza jej całego szeregu wiadomości niedostępnych w innych warunkach... Zaważyć to mogło ciężko już nie tylko na dalszych losach każdego z nas na wygnaniu lub katordze, lecz szkodziło sprawie, której każdy na swój sposób służył i za którą cierpieliśmy..." Gdy więc na wniosek któregoś z zesłańców, aby żądać powrotu tych „aniołów-stróżów", rozpętała się długa dyskusja zasadnicza, mimo wciąż tlejącego antagonizmu między skazańcami „administracyjnymi" a „sądowymi", przeważyło oburzenie przeciw oportunizmowi dla chwilowych wygód.

Drogę z Tiumienia odbywano znowu rzeką na barce więziennej. „I wrócił — wspomina Sieroszewski — dawny tryb życia, lecz nie wrócił dawny nastrój. Nie pomogły ani pieśni, ani cudne krajobrazy górzystych i lesistych brzegów, jakie rozwijały przed nami przepływane rzeki. Przede wszystkim ograniczono nasz pobyt na pokładzie, z nastaniem zmroku spędzano nas bezlitośnie do kajuty. A zmrok zapadał coraz wcześniej, w miarę jak posuwaliśmy się na północ. Zbliżał się październik..." „W miarę zbliżania się do Tobolska, brzegi stawały się coraz bardziej płaskie i bagniste, las gorszy. W Tobolsku zatrzymaliśmy się na jeden dzień; pozostaliśmy na barce i jedynie nasi delegaci udali się do miasta po zakupy, gdyż to było ostatnie duże miasto, a droga do Tomska miała trwać z górą

dwa tygodnie. Mieliśmy finansowe trudności, ponieważ nowi nasi nadzorcy trzymali się ściśle przepisów i nie chcieli nam wydać pieniędzy więcej, jak tylko na trzy dni. Zaczęły się przetargi, namawiania, prośby i groźby. wreszcie gubernator łaskawie pozwolił nam użyć na zaprowiantowanie tych pieniędzy, które zostały od nas odebrane w czasie rozmaitych rewizyj... Te, które złożono dla nas w kancelarii więziennej w Butyrkach, zostały rzekomo wysłane „pocztą“ na miejsca nam „wyznaczone“, były więc dla nas na razie stracone, wielu nie ujrzało ich nigdy. Wobec tego groził nam po prostu niedostatek i niektórzy z administracyjnych pooddawali swoje pierścionki i zegarki, żeby ogólnej katastrofie zapobiec. Katorżanom dawno już poodbierano wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Na szczęście nasi delegaci trafili w mieście na sympatyków i znajomych, którzy nam pomogli, a bogate kupiectwo tobolskie również przysłało nam z pozwolenia gubernatora sute „podajanje“ (jałmużnę). Liberalne kupiectwo sybirskie umyślnie tak nazywało wszędzie okazywaną nam pomoc, ze strachu przed posądzeniem o „polityczną nieprawomyślność“. Popłynęliśmy więc z dość lekkim bagażem dalej na północ szeroko rozlaną wśród bagnistych lasów rzeką Irtyszem...“

Po drodze coraz rzadziej spotykano wsie, a na stacjach, przy których się zatrzymywano, nic nie można było dostać, nawet mleka i jaj. Pożywienie stawało się gorsze i porcje coraz mniejsze. „W dodatku — wspomina Sieroszewski — do gospodarczej naszej organizacji wkradła się pewna demoralizacja. Co taić: wśród starszych katorżan okazało się kilku nałogowych pijaków, rzecz bardzo rozpowszechniona wśród ówczesnej inteligencji rosyjskiej, która wzorem pisarza Pomiałowskiego dowodziła że „uczciwi ludzie w carskiej Rosji, aby żyć, muszą pić“, że chwile upojenia są jedynem wytchnieniem dla dusz „znę-

kanych wstrętem do niewoli i codziennego bagna"... Wobec takiego poglądu na pijaństwo ogółu, czy można było się dziwić, że tych kilku nieszczęśliwych, już zatrutych alkoholem, skazanych na wieloletnie odcięcie od życia, szukało dostępnych im jeszcze „chwil zapomnienia". Dopóki byli żandarmi, nie dopuszczali stanowczo do kontrabandy wódki w nasze środowisko... Teraz, gdy na czele naszego konwoju stanął oficer, który sam był „niedurak wypit", nasi przedstawiciele — starostowie, właśnie z tych starszych katorżan, rychło porozumieli się z nim na punkcie wspólnych upodobań..." „Bezludne, posępne wybrzeża ogromnej Obi, gdzie nawet lasy były jakieś karłowate i chore", usposabiały wszystkich do menacholii i do... pijatyk, które urządzono z powodu rozmaitych rewolucyjnych uroczystości oraz imienin coraz to nowego wygnańca. Stworzyła się atmosfera ciężka do wytrzymania. Pod wpływem jakiegoś na tym tle zdarzenia zrodziła się w Sieroszewskim myśl ucieczki, co szeptem powiedział Landy'emu, który „kiwnął swoją lwią głową, ale nic nie odrzekł. Od tej chwili — wspomina Sieroszewski — zauważyłem, że tajona myśl o ucieczce zaczęła kiełkować i rosnąć nie tylko wśród nas katorżan, ale w całej gromadzie..." Stało się to nawet powodem pogłębienia rozdźwięku i rozdziału między skazańcami.

Podczas którejś z pijatyk na barce omal nie doszło do tragicznych wypadków. Konwojujący oficer pijany „poczciwiec", zaczepił jedną z wygnanek w mocno nieprzyzwoity sposób. Zesłańcy ujęli się za nią, więc „poczciwiec" sprowadził żołnierzy, którzy zepchnęli więźniów pod pokład i wstawiwszy lufy karabinów w otwór zejścia, zagrozili rozstrzelaniem. Na szczęście, przybiegł z kuchni starosta i udobruchał „poczciwca", który rozkazał żołnierzom wycofać się „z godnością i w porządku". „Te hulatyki — pisze Sieroszewski — oraz dobre usposobienie

„poczciwca“ kosztowały nas drogo, tak że kiedy poza Narymem zaczęły się pojawiać na brzegach rzeki, bardziej suchych i wyniosłych, przy stacjach portowych, znowu duże i zamożne sioła, już nie mieliśmy pieniędzy, żeby polepszyć znacznie nasz zubożały wikt. Z pewną ulgą dowiedzieliśmy się, że podpływamy do Tomska.

W Tomsku od dawna mieszkało wielu Polaków, byłych zesłańców politycznych, którzy zajmowali nieraz wybitne stanowiska urzędowe, trudnili się handlem, rzemiosłem, zawodami wyzwolonymi, nauczycielstwem, dziennikarstwem itp. Powołując się na świadectwo Jadrincewa, stwierdza Sieroszewski, że to ci Polacy dali początek syberyjskiemu malarstwu i syberyjskiej oryginalnej muzyce, malując obrazy, komponując pieśni na tle motywów syberyjskiej przyrody i tubylczych melodii. Byli oni też wychowawcami syberyjskiej samoistności, która w roku 1917 wyraziła się utworzeniem Zachodnio-Syberyjskiej Republiki pod przewodnictwem N. Potanina, słynnego podróżnika i uczonego, gorącego przyjaciela Polaków.

Tymczasem partię zesłańców, do której należał Sieroszewski, przyjęto w Tomsku jeszcze gorzej, niż w Tiumeniu. „Władze więzienne — wspomina Sieroszewski — w jakiś tajemniczy sposób dowiedziały się o „buncie“ (na barce), choć „poczciwiec“ nie meldował o nim, rzecz prosta, ze względu na własną odpowiedzialność za tolerowaną na statku „wódeczność“. Podejrzewaliśmy o denuncjację... paru żandarmów z dawnego konwoju, których poznaliśmy w przebraniach żołnierzy naszej nowej straży. Dość, że w Tomsku po raz pierwszy oddzielono katorżan i „zsylnych“ sądowych od „administracyjnych“, zamknięto ich w osobnych salach i utrudniono między nimi komunikację. Odbiło się to szczególnie źle na „katorżanach“, już choćby dlatego, że mieli mniej pieniędzy. Przyznać trzeba, że „administracyjni“ przysłali nam znaczną część sum, wy-

słanych dla nich przez krewnych i przyjaciół do Tomska. — Użycie pieniędzy natrafiło jednak w samym środowisku „katorżan“ na pewne tarcia. Myśl o ucieczce tak opanowała niektórych, że zaczęto się nad możliwością jej zastanawiać poważnie i przede wszystkim zażądano wydzielenia z budżetu ogólnego pewnej sumy, niezbędnej na jej zorganizowanie. Ucieczka jest taką świętością dla ludzi pozbawionych wolności, że projekt oszczędności w tym celu nawet za cenę gorszego odżywiania nie spotkał żadnego sprzeciwu. Zresztą, zapowiedziano nam stanowczo, że ponieważ dalszą drogę mamy przebywać piechotą od etapu do etapu, to jest istotnym „ciupasem“, nie pozwolą nam władze więzienne zabrać więcej, niż po 50 funtów (20 kg) na duszę. — Ile możesz unieść, a podwody jedynie dla chorych — zapowiedziano nam surowo“.
Wymarsz nastąpił w dzień październikowy. Wszystkich „pozbawionych praw“ przebrano przedtem w strój aresztancki, sprawdzono okucia, niektórym ciężkie kajdany zamieniono na lżejsze i z dłuższymi łańcuchami. Wydano rzemienie do podwiązywania kajdan u pasa oraz grube, sztywne, skórzane „podkandalniki“ na kostki pod obręcze, aby nie ścierały nóg w czasie pochodu. „Jeszcze za Mikołaja I nie było „podkandalników“, skuwano więźniów w czasie drogi po dziesięciu, albo nawet przykuwano ich ręce do jednego żelaznego drąga. O rany i odmrożenia nikt się nie troszczył. „Podknadalniki“ i zwolnienie od ręcznych łańcuchów jest już zdobyczą nowoczesnego humanizmu. „Zresztą ja nic nie mogę“ — pouczał w czasie ponawiających się stale pertraktacyj o zwolnienie z okucia jeden z sybirskich prokuratorów, który „nota bene“ miał syna w politycznej katordze...“ „Dzień — wspomina Sieroszewski — był pochmurny, padał śnieg z deszczem; głębokie, lepkie, zorane koleinami błoto i kałuże rdzawej wody, ściętej cienkim lodem, pokrywały szeroką wstęgę

sybirskiego traktu, którym popędzono nas na wschód. Łańcuch etapowych żołnierzy z najeżonymi bagnetami, z twarzami zbójów, z jakimi przyzwyczajeni byli wciąż obcować, otoczył nas. Za nami ciągnął się długi szereg wozów, na których siedzieli chorzy, kobiety i „administracyjni“ oraz po jednym na kilka osób żołnierzu. Część „administracyjnych“ została wprawdzie w Tomsku, przeznaczona na wywiezienie do miasteczek, wsi i „ułusów“ Zachodniej Syberii; ale sporą ich liczbę, coś około 50, a wśród nich: Jużakowa oraz wszytkich „ukrainofilów“, skierowano do miejscowości „więcej oddalonych“...

6.

NAJCIĘŻSZY OKRES PIESZEJ WĘDRÓWKI WYgnańców trwał wiele tygodni. Już pierwszy dzień marszu „ciupasem“ dobrze dał się zesłańcom we znaki. „Wielu przeziębiło się bardzo, dostało bronchitu, kaszlu, którego nie pozbyło się już do końca podróży i który u wielu stał się zaczątkiem gruźlicy. Wszyscy „kajdaniarze“ pościerali sobie okropnie nogi, nie pomogły „humanitarne podkandalniki“, których użycie wymagało, jak się okazało, i wiedzy i sztuki“. Powolnym, trudnym krokiem wlekli się skazańcy szlakiem syberyjskim. Na pierwszy etap przybyli późno w nocy. „Ciemny budynek — wspomina Sieroszewski — ledwie rozświetlony we wnętrzu lichymi latarkami z łojowymi świecami, wydał się nam, zziębłym i głodnym — po prostu pałacem. Kiedy jednak pokładaliśmy się na płaszczach, rozesłanych na drewnianych pryczach — rychło wszczął się wrzask, gdyż roje pluskiew rzuciły się na nas, nie czekając nawet, abyśmy usnęli. Byliśmy już trochę przyzwyczajeni do robactwa więzień rosyjskich, lecz to, cośmy znaleźli na etapach, przechodziło wszelką wyobraźnię...“ Wszelkie środki walki z ro-

bactwem okazały się daremne. Trzeba było... ulec i przyzwyczaić się. Groziło inne niebezpieczeństwo — zarażenia się rozmaitymi chorobami. I na to nie było rady. U wielu pojawiły się bolesne wrzody. Oprócz pluskiew dokuczały też pchły i wszy, które wżerały się głęboko w ciało i pozostawiały po sobie swędzące, trudno gojące się rany. Zwłaszcza pod ciepłą odzieżą zimową walka z tymi pasożytami stawała się beznadziejna. Wobec nich inne robaki etapowe: tarakany i karaluchy, których również było sporo i które czyniły duże spustoszenia w żywności „wydawały się zupełnie sympatycznymi domowymi stworzeniami". „Cały nasz — pisze Sieroszewski — pobyt na etapach przesycony był robactwem, wypełzało nam na twarz w czasie rozmowy, znajdowaliśmy je w chlebie, w wodzie, w ubraniu, nawet w gorącej, tylko co przyniesionej z kuchni zupie już nieraz pływały ciała pasożytów, które zdołały tam upaść ze ścian lub pułapu, odurzone parą. Ci co nie mogli jeść i pić, świadomie zamykając na to oczy, cierpieli niewymownie. Więc choć na dworze było nieraz i słotno, i błotno, i zimno, chwile wędrówki od etapu do etapu były dla nas rozkosznym wypoczynkiem..." „Okolice miejscami były bardzo malownicze, przypominały ukraińskie stepy lub załamywały się falisto, tworząc nie wysokie wzgórza, porośnięte ciemnymi „urmanami". Nie głęboki jesienny śnieg pobielił już był ziemię i spotęgował do nieskończoności cudną grę kolorów porannych i wieczornych zórz. Takich barwnych, długotrwałych wschodów i zachodów, jakie ma Daleka Północ — nie ma żaden inny zakątek świata. Wielkie wsie sybirskie, rozrzucone luźno wzdłuż traktu, zaciekawiały nas również bardzo. Domy duże, z wielkimi oknami, kryte „dranicą" (deskami łupanymi z równosłoistej sosny) z malowanymi często na zielono okiennicami; obszerne, kryte nieraz podwórza, dostatnie stodoły i obory — zdradzały dobrobyt o wiele

większy niż w Europie. Ludność rosła, dorodna, przyzwoicie ubrana, miała jednak wygląd posępny i dziki. Rzadko widziało się i słyszało śmiech, za to często wynoszono nam „kołacza w podajanje nieszczastnieńkomu" (jałmużnę nieszczęśliwemu) przez pamięć cierpień przeżytych przez ojców i dziadów, gdyż znaczna część ludności nie przybyła tu dobrowolnie, lecz była zesłana. Etap stał zwykle na skraju wsi, był otoczony ostrokołem, dookoła którego chodziły warty..." „Straż składała się z żołnierzy specjalnego „etapowego pułku", z oficerem niższej szarży na czele, zwykle wysłużonym, często pół inwalidą, zawsze jakimś felerowatym, wysortowanym z armii kadrowej. Prawie wszyscy byli pijacy, niektórzy robili wrażenie wprost nienormalnych. Taki oficer etapowy był panem życia i śmierci nie tylko partii, którą odprowadzał, lecz znęcał się często i tyranizował okoliczną ludność..." Na postoju w więzieniu etapowym w Marińsku pozostawiono w lichym tamtejszym szpitalu jednego z zesłańców, który zachorował na tyfus. Na dłuższy pobyt zatrzymano się w Krasnojarsku.

Więzienie w Karsnojarsku, gdzie pomieszczono zesłańców, składało się z dwupiętrowych budynków murowanych, otoczonych wysoką na kilka metrów ścianą. W więzieniu znajdowały się rozmaite warsztaty, które dawały więźniom spory zarobek. Naczelnikiem był Polak Ostrowski, który obchodził się z więźniami wyrozumiale i był przez nich lubiany. Również w stosunku do przybyłej partii zesłańców okazał z początku wiele życzliwości i liberalizmu. Jednym z dowódców straży więziennej był młody podporucznik Jocz, syn wygnanki politycznej z 63 roku, z drugiego męża Grosmanowej, którą później poznał Sieroszewski w Irkucku, jako niesłychanie dobrą opiekunkę wszystkich wygnańców, zarówno Polaków jak Rosjan. „Katorżanie, którym pozwolono zdjąć łańcuchy i przebrać

się w cywilne ubranie, rychło uknuli w porozumieniu z Joczem wspaniały plan ucieczki dla kilku skazanych na bezterminowe roboty. Mieli zostawać w kordegardzie (poza murami więzienia) wraz z gośćmi po odprowadzeniu więźniów z widzenia z powrotem do „ostrogu". Ponieważ — wspomina Sieroszewski — panował wielki nieporządek przy przyjmowaniu i zdawaniu aresztantów, umyślnie potęgowany przez nas, łatwo zwalić można było na niedopatrzenie, przy czym odpowiedzialność groziła jedynie Joczowi, a on się na nią zgadzał. Rzecz była już przygotowana w wielkiej tajemnicy; dla utrzymania jej jak najdłużej katorżnicy przenieśli się do jednej sali. Już były wyznaczone dnie i kolejność uciekających, kiedy zaszły wypadki zupełnie przez nikogo nieprzewidziane". Przyczyną ich był jeden z więźniów, prawnik z Odesy Salomon Lion, doktryner i fanatyk, człowiek niezrównoważony i zupełnie pozbawiony poczucia rzeczywistości. Gdy rozeszła się wiadomość, że na drodze do Irkucka po wsiach panuje tyfus i ospa, Lion wszczął agitację, aby nie dać się prowadzić etapem, lecz żądać przewożenia zesłańców politycznych pocztą „na trójkach". Pomysł wszystkim się podobał, ale nie był do urzeczywistnienia. Zaczęły się obrady, na których mówiono nie tyle o środkach, co o zasadach. Na tym tle wewnętrzny rozłam wśród więźniów stawał się coraz wyraźniejszy. Zebrania zrobiły się burzliwe. Gdy zaś „katorżanie" zamierzający ucieczkę prosili o wstrzymanie agitacji, Lion wraz z swymi zwolennikami oparł się temu, „dowodząc", że tu chodzi o rzecz o wiele większą, niż ucieczka paru ludzi, tu chodzi o czyn rewolucyjny, o protest, który zwróci oczy Europy na położenie więźniów stanu w Rosji!" Coś z tych sporów wśród wygnańców doszło do władz więziennych, które stopniowo poczęły ukrócać udzielone zesłańcom „swobody". Powstały podejrzenia, że doniósł ktoś ze swoich, stąd nowe za-

targi i kłótnie. Ucieczkę „katorżan“ odłożono na parę dni, aż znowu dyżur wypadnie na Jocza. W dzień ten „nastrój był cichy i zarazem podniecony“. Nagle wszczął się rozruch, że na podwórzu biją więźniów. „Kiedy — opowiada Sieroszewski — dopadliśmy do bramy, dostrzegliśmy przez otwór bladego, jak śmierć, zesłańca Fiodorowa, nauczyciela ludowego, opierającego się szarpiącym go żołdakom. W jednej chwili naparliśmy na bramę i ona z trzaskiem ustąpiła pod naciskiem setki młodych ciał. Porwaliśmy Fiodorowa i wciągnęliśmy triumfalnie do bramy. Ale straż już wybiegła z kordegardy i nastawiwszy bagnety, ruszyła łańcuchem na nas i tłoczący się poza nami olbrzymi tłum kryminalnych...“ Na wezwanie Jocza „cofnęliśmy się i przyszli zwolna do siebie. Rozpytaliśmy Fiodorowa, o co poszło. Okazało się, że nasi nieszczęśliwi towarzysze, którzy „szukali pociechy w zapomnieniu“, prowadzili na swoją rękę kontrabandę wódki przy widzeniach. Władze więzienne dotąd patrzyły na to przez szpary, lecz teraz wzmocniły nadzór. Fiodorow, który „nota bene“ sam wódki nie pił, zgodził się przemycić butelkę, schował ją jednak tak niezręcznie, że wystającą z kieszeni szyjkę dostrzegli żołnierze i chcieli mu ją odebrać. Zrobiło nam się wstyd, gotowiśmy byli dać satysfakcję władzy więziennej, lecz partia urzędnicza, przeciwna liberalizmowi gubernatora (Pjeszkowa), postanowiła zrobić z awantury użytek. Zjechały więc władze sądowe i policyjne... Korytarze napełniono żołnierzami. Pozamykano nas w celach. Słyszeliśmy zbliżające się ku nam krzyki, głuche uderzenia, brzęk łańcuchów... „Nie damy się bić!...“ — postanowili katorżanie. Wyłamaliśmy z prycz deski i uzbroiliśmy się nimi...“ Gdy po otwarciu drzwi pułkownik kazał żołnierzom bić więźniów, uratował ich znowu Jocz, który zakomenderował spokój. (Podobno srogi pułkownik dziękował mu później, że nie dopuścił do rozlewu

krwi; jednak Jocza oddano pod sąd i zesłano do Nikołajewska nad Amurem, gdzie się zastrzelił.) „Żołnierze nie bili nas, — opowiada Sieroszewski — lecz brali pod ręce wyprowadzali na korytarz, gdzie dozorcy i kowale więzienni zakuwali nas w nożne i ręczne łańcuchy. Wielu, (także i Sieroszewskiego) osadzono w ciemnych „karcerach“, a wszystkich rozdzielono na grupy po kilkunastu i zamknięto w osobnych „kazamatach“, wszystkich pozbawiono ciepłej strawy na parę dni, wstrzymano widzenia i spacery, nie dopuszczano przesyłek i listów z miasta. W rezultacie wybuchła w więzieniu „głodówka“ — straszna i ostateczna broń niewolnika. „Głodówka“, w której część administracyjnych nie wzięła udziału, załamała się na paru niebezpiecznych omdleniach słabszych towarzyszy, oraz na wysyłce etapem „katorżników“, niesłusznie uważanych za przywódców buntu“. Zaliczono do nich także Sieroszewskiego.

Z całą surowością prowadzono ich „ciupasem“, ściśle przestrzegając ostrego regulaminu. Położenie skazańców stało się tym gorsze, że wędrowali przez wsie dotknięte nieurodzajem. „Jeżeli — wspomina Sieroszewski — do lichego odżywiania dołączymy wszystkie dolegliwości etapowe: brud, robactwo, zaduch, ciemność długich zimowych wieczorów, przygnębienie, płynące z ostatnich niepowodzeń, to dziwić się należało, że tak mały procent z nas zachorował, że jednego zaledwie tyfusowego zostawiliśmy w Kańsku, a jednego chorego na ospę w Birjusie. Całą drogę, całe 1000 km (z Krasnojarska do Irkucka) przeszliśmy piechotą, gdyż podwody dawano tylko istotnie chorym lub bardzo osłabionym. Szalone mrozy, dochodzące do 40 stopni Reaumura, śnieżne zawieje (purgi) i zaspy utrudniały jeszcze pracę zakutym w łańcuchy nogom. Wielu poodmrażało ręce, stopy i twarze... Wśród konwojujących nas „poczciwców“ większość wprost znę-

cała się nad nami..." To też „z radością" dobito nareszcie do Irkucka.

W więzieniu irkuckim znajdowali się już dawniejsi skazańcy polityczni. Wśród nich kilku Polaków, m. in. Kornel Bagrynowski (zastrzelił się na wygnaniu w Jakuckiej Obłasti w roku 1900, jego to nazwiska użył Sieroszewski za pseudonim, którym podpisał wydaną w roku 1904 powieść pt. „Ucieczka") oraz wspomniany na wstępie tego zarysu biograficznego prof. chemii Bohdanowicz ze Lwowa. Pisze o nim Sieroszewski, że „przybył umyślnie do Rosji, aby uczyć ówczesnych terorystów sztuki przygotowywania materiałów wybuchowych. Prof. Bohdanowicz stary rewolucjonista jeszczez 63 roku, źle mówił po rosyjsku, lecz biegle władał kilkoma językami i był bardzo wykształcony. Cieszył się wielkim poważaniem wśród Rosjan, którzy stale z nim prowadzili dyskusje o nacjonaliźmie, rewolucjoniźmie i demokracji. „Dziwna rzecz!... — powiedział profesor, charakteryzując swój stosunek do rosyjskich więźniów stanu. — Ci panowie tak wyniośle traktują Polskę, wyznaczając jej zaledwie przedpokój w współczesnej demokracji. Z trudem udaje mi się im dowieść, że ona ma tam dawno już swoje własne salony!..." Prof. Bohdanowicz był chory, leżał prawie wciąż na łóżku. „W wielkiej tajemnicy — wspomina Sieroszewski — dowiedziałem się, że pod tym łóżkiem robi się właśnie podkop do sąsiedniej piwnicy naczelnika więzienia. Udziału w tej pracy wziąć nie mogłem, gdyż należałem do tych kilku, których administracyjnie skazano na miesiąc „karceru" za rzekome przewodnictwo w wybijaniu bramy więziennej i opór wojsku w Krasnojarsku..." Gdy po odsiedzeniu kary, Sieroszewski powrócił do wspólnej celi, nie zastał już Landy'ego i nawet nie mógł się dowiedzieć, gdzie go wywieziono. W parę dni potem wykryła się ucieczka dziesięciu najcięższej skazanych „katorżan".

Ucieczka była źle zorganizowana i zbiegów złapano. Na pozostałych więźniów posypały się represje. „Cofnięto — pisze Sieroszewski — wszystkie ulgi, spędzono wszystkich do jednej sali. Ciasnota, zaduch, brud, robactwo przewyższyły wszystko, cośmy doznali na etapach...“ „Od zaduchu ludzie dostawali wymiotów i straszliwego bólu głowy. Zaczęła się szerzyć zaraza dysenterii. Gdy nareszcie znaczna ilość zległa prawie umierająca, pozostali zaczęli walić w drzwi, grożąc buntem, wybiciem szyb i samobójstwem masowym — ktoś nawet poderżnął sobie szkłem gardło. Wtedy przyszła komisja i przyprowadzono lekarza...“ Był to Polak, do którego Sieroszewski miał polecenie jeszcze z Warszawy. „O nic — wspomina Sieroszewski — nie prosiłem, tylko o jedno, aby mię jak najprędzej wywieziono z tego piekła. Doktór R. wysłuchał mię bardzo zmieszany, nic nie odpowiedział. W parę dni jednak potem, wywołano mię do kancelarii i tu dowiedziałem się, że „katorga“ została mi zamieniona, dzięki staraniom siostry w Warszawie, na dożywotnie osiedlenie w najdalszych okolicach północy“. Za „bunt“ w Krasnojarsku wyznaczono Sieroszewskiemu na miejsce pobytu miasto Wierchojańsk, „biegun zimna“, „daleko za kołem biegunowym naszej półkuli...“

7.

WIOSNĄ 1880 ROKU SIEROSZEWSKI ZNALAZŁ SIĘ pierwszy raz w Jakucku, mieście kraju wschodnio-syberyjskiego, wśród którego ludności tubylczej spędzić miał lat dwanaście, stać się jej literackim epikiem i jej naukowym badaczem. Na razie był tylko zesłańcem, którego główną troską była myśl o ucieczce z ziemi wygnania. W kwietniu wysłano Sieroszewskiego dalej do Wierchojańska, dokąd przybył w końcu maja „po wielu przygodach i zboczeniach ze zwykłej drogi, wywołanych wiosen-

nymi roztopami, powodziami i bezdrożem". Wierchojańsk, mieścina mająca wszystkiego 23 domy, „z dawna służyła za miejsce karne dla tych wygnańców politycznych we Wschodniej Syberii, którzy nie chcieli się poddać dość pokornie miażdżącemu uciskowi carskiej „zsyłki". Miasteczko leży wśród błotnistej doliny, otoczonej górami, na brzegu wartkiej rzeki Jany. Dookoła nieobeszłe lasy, bagniska, jeziora, topiele. Klimat bardzo surowy. Stacja meteorologiczna, prowadzona przez wygnańców, wykazała, że tam znajduje się „biegun zimna" północnej półkuli. Mrozy dochodzą do 67 stopni Celsjusza, śnieg leży przez osiem miesięcy. W środku zimy przez 40 dni słońce wcale nie wschodzi, panuje nieprzerwana noc..." Zastał tam Sieroszewski kilkunastu zesłańców politycznych, wśród nich jednego Polaka, starego powstańca z 63 roku.

Zrazu położenie wydawało się rozpaczliwe. Jednak Sieroszewski, który w powieści: „Ucieczka" napisze później, że „duszę uchowali ci tylko, co wciąż walczyli", nie poddawał się losowi. Próbował stamtąd dwa razy uciekać. Raz lądem przez góry, skąd był „zmuszony wrócić wraz z towarzyszami, spotkawszy nieprzezwyciężone wprost przeszkody". Drugą próbę, której dzieje przetworzył we wspomnianej powieści, podjął wraz z innymi ośmioma wygnańcami po starannych przygotowaniach. „Kiedy — pisze Sieroszewski w roku 1932 — w kolonii naszej w Wierchojańsku powstała myśl zbiorowej ucieczki, przekonaliśmy się, że nic w gruncie rzeczy nie wiemy o otaczającym nas kraju. Jedyna mapa, jaką posiadaliśmy, pełna była tak rażących błędów, że jej wskazówki w wędrówce przez miejscowe pustynie mogły nam jedynie zgotować los ekspedycji amerykańskiej Delonga, która przebywszy setki kilometrów lodowych torosów i zaśnieżonych tundr, zginęła w kraju Jakutów z głodu w odległości paru kilometrów od zamieszkałych sadyb, nie wiedząc zgoła o nich...

Należało dla ułożenia odpowiedniego planu ucieczki zająć się zbieraniem wiadomości krajoznawczych na miejscu. Ponieważ wśród wygnańców ja stosunkowo najlepiej mówiłem po jakucku, a polując w sąsiednich lasach, najczęściej stykałem się z tubylcami, polecono mi wywiadywać się ostrożnie o górach, rzekach, topielach i przesmykach, które mogliśmy spotkać na swej drodze...“ Tak zaczęły powstawać pierwsze notatki etnograficzne Sieroszewskiego, które mu później posłużą do pracy naukowej o Jakutach. Na razie w innym je zbierał celu. Kierując się wskazówkami amerykańskich rozbitków z nieszczęsnej ekspedycji podbiegunowej Delonga, Sieroszewski wykonał nadto mapy rzeki wraz z morskim wybrzeżem oraz plany łodzi, którą wygnańcy postanowili uciec z Wierchojańska rzeką Janą, potem wzdłuż brzegów Oceanu Lodowatego do cieśniny Beringa i do Ameryki. Prowadząc w Wierchojańsku warsztat ślusarski, mógł też Sieroszewski wykorzystać swą zawodową umiejętność. W jego warsztacie i głównie jego rękoma zostały zrobione okucia łodzi, ożaglowanie, kotwica oraz przyrządy żeglarskie do mierzenia szybkości statku, określania jego kierunku i położenia geograficznego. Na zbudowanej potajemnie łodzi w roku 1882 gromadka 9 wygnańców wyruszyła wreszcie ku upragnionej wolności. Dramatyczne dzieje tej wyprawy znajdzie czytelnik żywo odtworzone w powieści: „Ucieczka“. W później napisanym w roku 1933 fragmencie autobiograficznym wspomina Sieroszewski: „Od najwcześniejszego dzieciństwa, od pierwszego przeczytania Robinsona Kruzoe, zacząłem śnić o morzu. Gdybyśmy w okresie mojej młodości byli niepodlegli i mieli własny brzeg morski, zostałbym zapewne marynarzem. Stało się jednak inaczej. Znalazłem się w głębi puszcz syberyjskich i pierwsze morze jakie ujrzałem było Oceanem Lodowatym... Tysiąc dwieście kilometrów przepłynęliśmy z biegiem rzeki

Jany i po wielu trudach i przygodach znaleźliśmy się nareszcie u wrębu lądu. Czarna ziemia, obejmująca nas dotychczas zewsząd twardymi kleszczami, nagle znikła. Bezdenna, bladobłękitna otchłań otwarła się przed dziobem naszej łodzi. Woda i niebo zlewały się tam w bezkreślną, przejrzystą całość. Jedynie złota droga słońca, łuszczącego się na drobnych falach, wskazywała gdzie kołysze się morze. Bliżej polatywały stada różowych albatrosów, dalej żeglowały sznury białych obłoków. Wtem niektóre z nich poruszyły się i rozbłysły ognistymi skrami. Zrozumieliśmy, że wśród chmur są tam lody i wydaliśmy okrzyk pozdrowienia i niepokoju. Kry — strażnice polarne — niedługo kazały na siebie czekać. Wiatr, który nawracał okrężnym śladem toczącego się nisko słońca, nagle wzmógł się i zadął od Oceanu. Złoty blask zgasł na falach. Czarne jak atrament, spienione bałwany z rykiem popłynęły ku nam. Niosły na sobie i rozwijały niby całun, wał gęstej, zbitej mgły. Ponad nią tu i tam kołysały się szczyty lodowców, mieniąc się tęczowo w gasnących zwolna błękitach. Wkrótce utonęliśmy w białej pomroce. Jedynie huk wypryskujących spod łodzi czarnych fal i klangor stukających o siebie pól lodowych wskazywał, że wprost przed nami otwiera się Ocean. Musieliśmy zawrócić i lądować..." Już na wyspach Oceanu dopadł zbiegów pościg kozacki, wraz z tłumem krajowców otoczył ich zabrał z powrotem do niewoli. „Z nad brzegów Oceanu — pisze Sieroszewski w przedmowie do II wydania dzieła: „Dwanaście lat w kraju Jakutów" (1935) — z osady „Kozaczja" wyjechałem w lecie konno, i przez góry, tundry i lasy, dzikie i niezaludnione, przeprzebywszy z górą 900 km, wróciłem do Wierchojańska..." Dalsze losy swego wygnania opowiedział Sieroszewski w drugiej z kolei książeczce autobiograficznej pt. „Za kręgiem polarnym" (1926). W surowym śledztwie, które nad

zbiegami przeprowadzono, Sieroszewskiego „uznano za „herszta“, choć był najmłodszym z uciekinierów. Nie wypierał się. Ponieważ on jeden był „pozbawiony praw“, czekała go surowa kara, wobec czego drugorzędne szczegóły nie miały już znaczenia. W 1883 na wiosnę przyszedł wyrok który zapadł zaocznie w Jakucku: „Dodać wszystkim zbiegom rok wygnania, a „herszta“ Sieroszewskiego ukarać pięcioma uderzeniami knuta i zesłaniem do Średniego Kołymska. Knut jest to długi bicz z surowca o trzech końcach, zaopatrzony na każdym końcu w ostre szpony żelazne. Pięć mocnych uderzeń takiego bicza zabija człowieka lub czyni go kaleką na całe życie. Niemało Polaków zginęło odeń. Skazańcy ratują się tym jedynie, że przekupują katów. Wobec tego jednak, że takiego narzędzia w Wierchojańsku nie było, oraz że nie było tam kata, a sprowadzenie ich okazało się bardzo kosztowne i trudne (podróż z Jakucka tam i z powrotem potrwałaby ze dwa i pół miesiąca), generał-gubernator Wschodniej Syberii łaskawie zamienił wyrok „hersztowi“ Sieroszewskiemu, „ze względu na młode lata“, na wieczyste osiedlenie „na kresach lasów“ w miejscowości o sto wiorst odległej od wszelkiej rzeki, drogi handlowej oraz miasta...“ Kazano wywieść go natychmiast i chociaż był to już koniec marca i groziły roztopy, musiał jechać. Na strażnika dodano mu Kozaka Aleksego, zwanego „Trójwargim“, „chwata najmocniejszego z całego garnizonu, tancerza, śpiewaka, hulakę, słynnego pogromcę wszystkich serc niewieścich w miasteczku i okolicy. Uchodził w dodatku za znakomitego jeźdźca i znawcę wędrownych sposobów“... Z Wierchojańska do Kołymska liczą 1200 km, droga więc „w najlepszym razie miała trwać miesiąc“. Na odpowiednie przygotowanie się do niej czasu nie było. Sieroszewski odjechał z małym zapasem żywności, gdyż w miasteczku zaledwie z trudem dostał 20 kg żytnich sucharków, trochę mrożonego mięsa, trochę masła,

soli i cukru. Najgorzej było z odzieżą, gdyż miał tylko krótki, kolan sięgający „tułup“, jaki mu został jeszcze z podróży „ciupasem“. Całą podróż miano odbyć konno i szybko, aby zdążyć przed wiosenną powodzią.

„Było jednak — wspomina Sieroszewski — już ciepło, we dnie słońce przygrzewało mocno, śnieg topniał, w koleinach błękitniała woda i wodę wyciskały miękko z mokrego śniegu kopyta naszych wierzchowców. Ale to tylko w południe, gdy słońce stało najwyżej i blade przeźroczyste powietrze drżało od jego blasku. Dość było jednak małej chmurki, aby zaraz powiało chłodem, a pod wieczór wszystko znowu stygło, martwiało na białą kość. W nocy i wczesnymi rankami mróz dochodził 25 stopni Celsjusza, lód dudnił pod kopytami naszych koni, jak kamienny bruk, śnieg chrzęścił, jak na Boże Narodzenie. Zmierzwioną sierć koni pot sklejał na twardą skorupę, zamieniony w parę oddech przysłaniał nam oczy i osiadał perłowym szronem na brwiach, rzęsach, wąsach oraz futrze czapki, oramiającej twarz. Zimno wkradało się pod mój kożuszek, zupełnie lekceważąc sobie moją flanelową bluzę i europejską trykotową koszulkę. Tymczasem musieliśmy często zarywać nocy i wstawać bardzo rano, aby przebyć wymaganą rozkładem drogi przestrzeń...“ Konie, których mieli cztery (trzeci dla przewodnika, czwarty objuczony bagażem), zmieniano na stacjach, utrzymywanych przez dzierżawców co 100—150 km wzdłuż traktu z Wierchojańska do Kołymska. Sama „stacja“ była to najzwyklejsza „jurta“ jakucka o ścianach pochyłych, obrzuconych do szczytu „dla ciepła“ krowim nawozem, o płaskim dachu, pośrodku którego sterczała gruba rura komina, zrobionego z dyli i wikliny, obmazanych wewnątrz gliną. Zamiast szyb w małych kwadratowych okienkach wstawione były tafle lodu. Wewnątrz ciemno, brudno i ciasno, gdyż prócz gromady ludzi mieściły się tam dojne krowy i małe cielęta.

Zapach amoniaku i kału wprost dusił, gryzł oczy i wywoływał mdłości. Skorośmy tylko — pisze Sieroszewski — weszli do jurty, opadły nas zaraz olbrzymie bydlęce pchły. Jedyną pociechą i ratunkiem w tym zaduchu, robactwie i niechlujstwie był wesoły złoty ogień, nieustannie palący się w płytkiej niszy niskiego komina. Był on jednocześnie jedynym źródłem światła nawet w dzień, gdyż ślepawe lodowe okienka niedużo blasku przepuszczały z zewnątrz. Na jednej z dalszych stacji konie zamieniono na reny. Ruszono w zamieć śnieżną na „nartach", czyli saniach jakuckich, przez tajgę syberyjską ku przełęczy gór „Śmietanowych" (Tos Chajachtach). Po jej przebyciu otworzyły się przed jadącymi „cudne widoki, gdyż były tam wysokie, prostopadłe wiszary żelazistej ochry najrozmaitszych odcieni, poczynając od blado-słomkowej a kończąc na czerwonej jak krew. Spływały one fantastycznymi smugami po stromych zboczach, mieszając się ze smugami śniegu oraz czarnymi żebrowinami łupku. Cała dolina naga, bezleśna, usypana była złotym pyłem i wydawała się w promieniach słońca pogodnego dnia jakimś cudnym pałacem, nakrytym turkusowym stropem... Szkoda tylko, — wspomina Sieroszewski — że dął wiatr i niósł tumany tegoż złotego pyłu. Wkrótce Aleksy, ja, przewodnik, nasze reny i sanie, wszystko podobne było do złotych posągów... Smak żelaza w ustach oraz swędzenie nieznośne w zasypywanych oczach, kazały nam pragnąć, aby ten piękny widok trwał jak najkrócej. Tymczasem reny poodbijały sobie nogi na ostrych kamieniach i ledwie ciągnęły sanie, szorując z przykrym zgrzytem po bezśnieżnej drodze..." Na domiar Sieroszewskiego bolały odmrożone nogi i na wąskiej narcie wciąż marzł. „Drżałem — wspomina on — pod moimi futrami, które wciąż rozpadały się od podmuchów orkanu i wstrząśnień narty; zdawało się, że z gasnącym słońcem uchodzi ze mnie resztka pozostałego ciepła...

Zapadałem w mroczną obojętność..." Po drodze padały reny. Wreszcie Sieroszewski omdlał z zimna. Ocucono go w jurcie. „Bardzo to — pisze o tej chwili — bolesna rzecz wracać do życia z lodowatego snu, tym bardziej, że Jakuci nie umieją cucić zmarzniętych, położyli więc mię przed ogniem i zaniedbali natrzeć śniegiem. Jedynie Aleksy trochę mię masował, rozebrawszy do naga. Jakuci więcj nalegali na pojenie mię obrzydliwym napojem, który okazał się rosołem ze zdechłego konia..." W jurcie tej spędzili trzy dni. W dalszej drodze, znowu końmi, powrócili „na zwykły trakt handlowy, wytyczony tu i ówdzie krzyżami z patyków". Mimo głębokich śniegów, od których nie tylko konie i reny ale i leśna zwierzyna cierpiała w tej okolicy, aż do Indigirki podróż obyła się bez większych przygód. Ale na noclegi musiano się zatrzymywać w szczerym polu lub w lesie. Nie były to jednak noclegi przykre. Tylko rozbieranie się i wstawanie z dołów śnieżnych, wymoszczonych gałęźmi, dawało się we znaki, „gdyż sypia się w tych warunkach nago. Rzeczy i obuwie trzeba było wyrzucić na zewnątrz dołu, na śnieg, dla wysuszenia ich, inaczej groziło zimno a nawet odmrożenie ciała w czasie podróży nazajutrz w wilgotnym ubraniu. Pod futra trzeba było wślizgnąć się, jak Pan Bóg stworzył. Puch futra przyjemnie łaskotał skórę i grzał o wiele lepiej niż przez bieliznę. Koniec kołdry zawijało się na głowę..." Ale — wspomina Sieroszewski — „po dwóch burzliwych latach wygnania, pełnych swarów wewnętrznych i politycznych wypadków niezmiernej doniosłości, poczułem dziwną ulgę i uspokojenie na tym bezludziu. Na dziesiątki kilometrów wokoło ani duszy: niepokalane śniegi i bezmiar ciszy, naruszone jedynie dźwiękami naszych głosów, nikłych jak szmery przyziemne owadu... Zaiste, dobro i zło człowieka rozpływały się tu gdzieś bez śladu, jak siwy dymek naszego og-

niska w zimnych przestworzach błękitu... Zostawała tylko wzajemna pomoc wobec wrogich nieubłaganych sił!..."
W dolinie rzeki Indigirki wędrowcy poczęli gwałtowną zmianę. Była to już wiosenna odwilż i nawet straszono, że za grzbietem Ałazejskim idzie powódź. Na drugiej stronie tej przełęczy istotnie zima jak gdyby pozostała za górami. Szybkie postępy wiosny budziły niepokój, bo do Kołymska było jeszcze z górą 300 km, miano zaś przebyć jedną dużą rzekę Ałazej i ze setkę małych. Aby umknąć przed skutkami powodzi, musieli pośpieszyć. „Lecieliśmy więc, skoro tylko suchsza pozwalała droga, dobrego kłusa, nie jedząc, nie pijąc i nie śpiąc... Takie było — pisze Sieroszewski w roku 1926, mając już za sobą służbę wojenną w ułanach Beliny — moje przygotowanie do polskiej, z czasem kawalerii!...
W samą porę dopadli niebezpiecznego mostu na rzece Kołymie, większej niż Ren. Nad rzeką tą położone są trzy większe osiedla, trzy Kołymski: Wierchni Kołymsk z 9 mieszkańcami, Niżni Kołymsk na wybrzeżu Oceanu Lodowatego, osada o 23 domach, wreszcie średni Kołymsk, liczący około 100 mieszkańców, około 30 domów i cerkiew z wieżą i dzwonnicą. „Niektóre budynki mają nawet spiczaste europejskie dachy i szyby w oknach. Ale takich „pałaców" było wszystkiego trzy: dom zarządu powiatowego, krótko zwany „Policją", dom protojereja i dom kupca Bjereżnowa, gdzie mieścił się jedyny sklep otwarty codziennie, prócz świąt. Inne domy były to zwykle płaskodache obmaczane gliną „bałagany" tamtejsze, z pęcherzami rybimi w oknach w czasie lata, a taflą lodu w zimie, z niskimi drzwiami obszytymi włochatą skórą krowią..."
Największe zyski dostarczał mieszkańcom handel wódką i... dziewczętami, wywożonymi i sprzedawanymi do zamtuzów Jakucka i miasteczek położonych w obrębie kopalni złota. „Zresztą — dodaje Sieroszewski — moralność tam-

tejsza nie gorszy się tym bardzo; szczególnie wśród rosyjsko-jakuckich mieszkańców, do których należy ogół mieszczan i Kozaków kołymskich, poglądy na sprawy miłosne są bardzo oryginalne... Toteż można tam spokojnie zostawić nie zamknięte mieszkanie, wyjść na kilka godzin i nic z niego nie zginie, lecz pozostawienie żony, siostry czy kochanki na kilka chwil sam na sam z innym mężczyzną jest uważane za zachętę do grzechu i skwapliwie wyzyskiwane..." Rosjanie tamtejsi „bardzo już mało mają w sobie krwi słowiańskiej i w domu mówią zwykle po jakucku, zaś rosyjski ich język jest do tego stopnia sepleniawy, okaleczały, obciążony jakuckimi, tunguskimi oraz czukockimi naleciałościami, że go trudno zrozumieć. Rosjanie pojawili się tam w 1628 roku, kiedy 11 Kozaków, pod wodzą Michała Staduchina, na dwóch łodziach przepłynęło cieśninę Beringa i drogą, którą w ćwierć wieku potem przeżeglował Nordenskiöld, dostali się do ujścia Kołymy. Kraj obszerny (600.000 z górą km^2), niezmiernie słabo zaludniony (obecnie ma 6.060 mieszkańców), będący w owym czasie w okresie kulturalnym gładzonego kamienia, został łatwo opanowany przez śmiałych awanturników. Oparli im się jedymie Czukcze, wojownicze plemię, pokrewne narodom Alaski. W paru punktach nad Kołymą i Aninjem (dopływ Kołymy) pobudowali Kozacy „ostrogi" (twierdze drewniane), które stały się zawiązkami obecnych mieścin. Ludność tych mieścin trudni się rybołóstwem i myślistwem, jak w ogóle cała ludność olbrzymiego kraju, porosłego nieprzejrzanymi lasami, pocętkowanego niezliczonymi jeziorami, tonącego w błotach i mszarach, na północy przechodzących w bezleśne tundry. Bydła rogatego i koni mało; wątpię czy więcej niż jakieś 1.000 sztuk. Trochę więcej jest domowych renów, ale najwięcej psów, używanych jako zwierzęta pociągowe..."

Tak wyglądał kraj, do którego Sieroszewski przybył na „dożywotnie“ wygnanie.
„Isprawnikiem“ (naczelnikiem kraju) w Kołymsku był wtedy Polak Bolesław Kaczorowski, znany już Sieroszewskiemu z Wierchojańska, „względnie przyzwoity człowiek, który wchodził w ciężkie położenie politycznych wygnańców i nie prześladował ich“. Pokazał on Sieroszewskiemu papier, nakazujący wysłanie skazańca do miejscowości odległej o „sto wiorst od miasta, sto wiorst od rzeki i sto wiorst od traktu pocztowego“, lecz dodał: „To dlatego, żeby pan znowu nie uciekł. Ale rozumie się, że ja pana osadzę, gdzie pan będzie chciał... Kto tam będzie mierzył te wiorsty!?“ Sieroszewski wybrał Andyłach, osiedle „księcia“ Apołona Ślepcowa, stację pocztową o 300 km na zachód od Kołymska, przez którą przejeżdżał. Tymczasem, dopóki nie spłyną roztopy wiosenne, pozwolono mu zostać kilka tygodni w mieście. Na ten czas zaprosił go do siebie wygnaniec polityczny Ardasjonow, Oseciniec z Kaukazu, zajmujący większe mieszkanie i zamożniejszy od innych.
W Andyłachu przebył Sieroszewski osiem miesięcy. Stamtąd, aby uczynić zadość wyrokowi administracyjnemu „za kierowniczy udział w ucieczce wygnańców politycznych“, przeniesiono go o 100 km na północ, do uroczyska „Jąża“ w dolinie Ałazeja. W roku 1885, na skutek starań siostry, pozwolono mu wrócić na południe. Wyjechał do Jakucka, skąd go wysłano do II Bajagantajskiego Ułusu nad rzeką Ałdanem, dopływem Leny. W roku 1887 pozwolono mu przenieść się do Namskiego Ułusu, miejscowości o klimacie łagodniejszym, położonej o 100 km na północ od miasta Jakucka. W Namskim Ułusie przebył pięć lat. Zajmował się tam rybołóstwem i myślistwem, a otrzymawszy kawał ziemi do uprawy rolnej, sam ją obsiewał, orał i sprzątał. Po przebyciu terminu określonego kodeksem karnym,

z naddatkiem dwóch i pół lat dorzuconych mu „administracyjnie", uzyskał Sieroszewski paszport osiedleńczy. Z pozbawionego praw szlachcica polskiego został wreszcie „stałym mieszkańcem" Irkucka, wpisanym do ksiąg ludności tamtejszego mieszczaństwa. Osiadł tam w roku 1893. W czasie pobytu w kraju Jakutów gromadził Sieroszewski w dalszym ciągu materiały etnograficzne, których zbieranie rozpoczął jeszcze w Wierchojańsku. Z czasem staną się one podstawą do pracy naukowej. Na razie były mu podnietą do twórczości literackiej. Pod utworami zebranymi w pierwszych dwóch książkach Sieroszewskiego: „Na kresach lasów" i „W matni", wydanych osobno w latach 1894 i 1897, znajdujemy daty ich napisania i nazwy wymienionych poprzednio miejsc zesłania autora. Najwcześniejsza z drukowanych nowel Sieroszewskiego: „Jesienią" powstała w roku 1884 w Jąży. Następnie nowele: „Skradziony chłopak" — we wrześniu 1885 roku w Bajagantajskim Ułusie, „Chajłach" — w roku 1887 w Średnim Kołymsku. Powieść: „Na kresach lasów" ukończył Sieroszewski 10 lutego 1891 roku w Namskim Ułusie, wreszcie nowelę: „W ofierze bogom" — 2 marca 1893 roku w Irkucku.

8.

ZAWCZASU ROZBUDZONA I NADER ŻYWA CIEKAwość do książek nie opuściła Sieroszewskiego w trudnych warunkach zesłania syberyjskiego. Niestety, na wygnaniu książek było mało. Były to przeważnie dzieła ekonomiczne, socjologiczne, polityczne itp. Toteż wielką radość sprawiła Sieroszewskiemu siostra, przysyłając mu pewnego dnia całą skrzynkę książek. „Wśród książek, — wspomina Sieroszewski w roku 1932 — które po raz pierwszy otrzymałem na wygnaniu za kołem biegunowym,

a które uleczyły mnie z ciężkiej melancholii, znajdowały się: dwa tomy poezji Konopnickiej, tom nowel Prusa, „Szkice węglem“ Sienkiewicza, studium psychologiczne Dawida, „Nora“ Ibsena, „Eneida“ Wergiliusza, gramatyka polska i jeszcze parę tanich książek wydawnictwa Wiślickiego, których tytułów nie pamiętam... Wszystkie, że tak powiem, pożarłem jednym tchem. Następnie odczytywałem je wiele razy już wolniej, delektując się nimi i rozmyślając nad ich treścią. Nie było to rzeczą łatwą w czasie zimy, gdy noc nieprzerwana w ciągu dziesiątków dni panowała nad skutą mrozem i spowitą grubymi śniegami ziemią. Jedynym światełkiem na obszarze wielu kwadratowych kilometrów wśród tej nocy bez końca był ogień płonący na lichym kominku w jurcie jakuckiej. Dookoła tego ognia skupiało się całe życie malutkiej społeczności w której obręb zostałem wtrącony przemocą. Świec tu nie znano; rybi tran uważano za rzecz zbyt cenną, aby go spalać w kagankach — zjadano go łapczywie, resztek zaś używano do wyprawy skór. Nawet łuczywem posługiwano się tu rzadko i wcale nie przygotowywano na zimę koniecznych do jego wyrobu smolnych szczap. Za jedyne oświetlenie służył domowy bóg — ogień, siwobrody staruszek z czerwonymi skrami ślepi i złotą gardzielą, wesoło skaczący, szumiący i parskający nieustannie w płytkiej niszy drewnianego, wymazanego gliną kominka. Siadałem więc z mymi książkami przed tym źródłem światła w kole pracujących Jakutów. Lecz czytać utwory artystyczne było trudno w gwarze sprzeczających się lub podśpiewujących przy robocie krajowców, przy szeleście miętych skór, myczeniu ukrytych za kominkiem cieląt, wśród warczenia psów, gryzących się co chwila zajadle. Musiałem nieraz czekać, aż wszystko się uciszy, pogrąży w sen na futrami zasłanych pryczach... Lecz wśród przysłanych mi książek była jedna, którą mogłem

czytać i rozmyślać o niej nawet wśród największego hałasu, mianowicie „Eneida“ Wergiliusza, po łacinie. Siostra moja dołączyła do niej słownik łaciński. Rzuciłem się z zapałem do odgrzebywania w swej pamięci wszelkich... mądrości gramatycznych, nienawidzonych niegdyś w sztubie tak szczerze... Skandowałem od czasu do czasu, półgłosem i to działało jak zaklęcie na rozkrzyczanych niepomiernie Jakutów; cichli i patrzyli na mnie przerażeni jak na obłąkańca. Istotnie, zestawienie obrazów starej Hellady i Romy z tą ciemną, zagrzebaną wśród śniegów norą; dźwięk melodyjnego języka, rozbrzmiewającego wśród ochrypłego gwaru tubylców, sąsiedztwo patetycznych słów i heroicznych postaci z tak przyziemnymi potrzebami tamtejszego życia — były tak niezwykłe, że ja sam podnosiłem nieraz rękę do czoła, aby się przekonać, że nie śnię... To jednakże borykanie się z trudnościami Wergiliusza oraz obcowanie ze wspaniałymi zamierzchłej przeszłości obrazami — miało tę dobrą stronę, że oszalałą, obolałą przez długą bezczynność myśl kierowały na tory spokojnego, systematycznego wysiłku. Była to jakby zdrowa gimnastyka, dająca ujście niezużytym siłom umysłowym i łagodząca ich niebezpieczną wybuchowość... Wergili obok innych książek pozwolił mi bezwarunkowo przetrwać najgorsze czasy i pomógł cierpliwie przeczekać złą smugę losu... Odtąd szczególną miłością pokochałem książkę, jako wiernego, bezinteresownego przyjaciela, powiernika samotnych, pocieszycielkę strapionych, ucieczkę znękanych, uzdrowicielkę chorych...“ Z bliska tam poznał Sieroszewski również „inną właściwość książki — jej potęgę twórczą i wychowawczą“. W innym fragmencie autobiograficznym stwierdza Sieroszewski, że jeśli książki czytane na wolności kształtowały bezpośrednio jego uczuciowość i wyobraźnię, to czytelnictwo na wygnaniu wpływało też na jego „tech-

nikę pisarską i miało charakter w znacznym stopniu zawodowy". Czytając cokolwiek, brał wtedy, kiedy sam już zaczął pisać, pod uwagę „nie tylko wrażenie, lecz również literacki sposób, w jaki ono zostało osiągnięte". Taka była szkoła literacka pisarza, którego twórczość poczęła się rozwijać w warunkach szczególnie trudnych i wręcz osobliwych.

„Tu — pisze Juliusz Kaden Bandrowski o ziemi wygnania Sieroszewskiego — był rybakiem, rolnikiem, górnikiem, cieślą, myśliwym, kowalem, ślusarzem, pionierem i wynalazcą. Tu zdobywał dziki świat czarami rzemiosła, które wśród dzikusów tamecznych miały wartość moralną czynów Wulkana, czy też Nibelungów. Tu dokonywał cudów prostych a olbrzymich, jak sporządzenie pługa, lutowanie żelaza, złota i srebra, jak uprawa roli. Tu zdobywał szacunek wśród wodzów plemion tajemniczych, stając się przedmiotem spisków zawiłych, mocą których jedno plemię chciało go ukraść drugiemu. Jeszcze dziś słychać w pogodnym opowiadaniu Sieroszewskiego nadludzki trud i wysiłek owych czasów. Najcięższe bytowanie wojenne zda się chyba wobec tego okresu życiem, pełnym wygód anielskich: wobec lat, spędzonych w straszliwym mrozie i nocy, które ogląda człowiek przez szyby z lodu. Tu na białych okrawkach gazet wolnych od druku, atramentem sporządzonym z palonej kory wierzbowej, mieszanej umiejętnie z sądzą, zaczynał wielką swą autorską działalność, korzystając z kusego dnia lub płonącego ogniska. Los tych pism był nader niepewny. Listy ze świata szły tu przeszło pół roku. Przesyłka poczty stąd do Europy ze względu na surowe zakazy była bardzo uciążliwa. Całe zbiory prac wysłanych do Polski, przewożonych pod podszewką odzieży przez rozmaite tajne okazje — zaginęły Sieroszewskiemu..." Niektóre przesyłki docierały jednak do swego miejsca przeznaczenia.

Od roku 1884 w „Głosie“ warszawskim podpisane pseudonimem: Sirko pojawiają się pierwsze nowele Sieroszewskiego, które od razu zwracają uwagę na świeży i mocny talent autora.

Najwcześniej napisana z drukowanych nowel Sirki, zamieszczona potem na czele tomu „W matni“, przez autora nazwana „obrazkiem z życia północno-wschodnich krańców Syberii“, już swoim tytułem: „Jesienią“, zdradza kierunek, w którym artyzm pisarza niebawem wspaniale się rozwinie. Sieroszewski bowiem w swej sztuce pisarskiej stanie się przede wszystkim znakomitym odtwórcą przyrody, której malowniczość odczuwa w tak bogatej skali kolorytu i w tak żywej grze tonów świetlnych, że jego opisy krajobrazów będą przytaczane jako przykład impresjonizmu malarskiego w literaturze. Tymczasem Sieroszewski kształcił swe widzenie przyrody z dala od jakichkolwiek wpływów współczesnych prądów artystycznych, lecz z bezpośrednich wrażeń, których mu dostarczyła natura syberyjska. Stał się on więc naturalistą w sposób — rzec można — najbardziej autentyczny, gdyż wiedzę swą czerpał wprost u źródła i w wyjątkowych warunkach zupełnego odcięcia od środowiska kultury europejskiej. Takie z przymusowego położenia osobistego wynikające zżycie się człowieka z pierwotną przyrodą dało Sieroszewskiemu nowe widzenie piękna jakby pozaludzkiego, ale zarazem uczyniło go niezmiernie wrażliwym na zjawiska natury z jednej strony, z drugiej zaś wzbudziło w nim współczujące zrozumienie dla żywiołowych objawów rozwijającego się na tym tle bytu ludzkiego. W obrazku „Jesienią“ występuje już wyraźnie i poczucie przyrody, choćby w pięknym aczkolwiek dzikim i ponurym widoku gry światła księżycowego w gęstniejącym zmroku, i zwłaszcza zaciekawienie badacza obyczajów i charakterów ludu tubylczego, skupiające się

tutaj na postaci myśliwca Chachaka, bohaterskiego pogromcy niedźwiedzi, ale objawiające się także we wprowadzonym na wstępie opowiadania opisie środowiska etnograficznego. Motyw etnograficzny i w ogóle zwiększony zasób materiału obserwacyjnego w „Skradzionym Chłopaku" staje się już szerzej podmalowanym i żywiej uruchomionym tłem obyczajowym dla na pół rzewnej a na pół humorystycznej opowieści o mieszkańcu tajgi zagubionym w mieście. Małżeństwo Kechergesa z Byczą wprowadza jednak w życie chłopaka nieoczekiwaną przygodę miłosną. Nowożeniec, w drodze powrotnej z miasta uwiedziony przez Anię, przeżywa z nią romansową sielankę, w której przedstawieniu okazuje się Sieroszewski również bardzo subtelnym epikiem uczucia miłosnego, co tutaj tym bardziej zadziwia, iż rzecz się dzieje wśród ludzi i w warunkach życia pierwotnego. Sieroszewski wszelako dokładnie poznał lud tamtejszy, obcując z nim bezpośrednio i zdobywając sobie u niego zupełne zaufanie, tak że przez Jakutów był uważany za swego, więc poza zewnętrznymi pozorami egzotycznego lecz jednostajnie szarego życia umiał dostrzec jednostkę i jej ludzką odrębność. I już w romansie Kechergesa z Anią stworzył parę dobrze zróżnicowaną i wyraziście pokazaną, zarówno w charakterach, jako też w idyllicznej rodzajowości, odświeżonej przez nowe tworzywo realistyczne. Siła plastycznego obrazowania wzmaga się w „Chajłachu" wraz z narastającym tragizmem przedstawionych w tej noweli dziejów trojga ludzi w jurcie jakuckiej. Chajłach to skazany na osiedlenie kryminalista, Kostia Chruszczow, który swą nieokiełzaną żądzą burzy szczęście młodego małżeństwa jakuckiego: Chabdżija i Keremes. Tragedia namiętności, której ofiarą pada pokorna i cicha Keremes, wierna małżonka, zniewolona i zamordowana przez złoczyńcę, osiąga w tej noweli głęboki i potężny patos

prawdy, tyleż naturalistycznie zobiektywizowanej, co przenikniętej strumieniem podskórnie nurtującego liryzmu, wyrażającego grozę niedoli człowieka, obarczonego przez ślepy los zła. Odkrywa tutaj Sieroszewski człowieka już nie tylko w pierwotnym dzikusie, lecz nawet w potwornym zbrodniarzu, który staje się narzędziem swej namiętności i niszczycielem cudzego dobra.
Następnym z kolei znanym nam utworem Sieroszewskiego jest powieść: „Na kresach lasów", w której dał już autor wszechstronnie odmalowany obraz życia jakuckiego i na tym tle dzieje wygnańczych losów Polaka. Uderza tu przede wszystkim rzeczowość w przedstawieniu bytu pierwotnego. W jednym z rozdziałów pisze Sieroszewski: „Było coś epicznego w tej uczcie wyniszczonych długim postem ludzi"... O całym wątku obyczajowym powieści to samo powtórzyć można, że rozwinął go autor z prawdziwie epickim odczuciem ludzkiego bytowania w gromadzie i w jednostkowych objawach. Czy to opisy przyrody, w których artyzm pisarza wznosi się tu najwyżej, czy obrazy życia jakuckiego, w których najlepiej się przejawia bystra spostrzegawczość autora, czy też charakterystyki mężczyzn, kobiet i ich wzajemnych stosunków, w czym okazuje się Sieroszewski psychologiem bardzo subtelnym — posiadają niemal zawsze ogromnie żywy koloryt malowidła i wyraźnie narysowaną plastykę rzeźby pisarskiej, a co więcej, są przedstawione z taką dokładnością rzeczowego widzenia, że nazwać by je można „naukowym", gdyby naturalizm obserwacyjny nie służył tutaj Sieroszewskiemu tylko za podłoże do budowy artystycznej kompozycji epickiej. Być nawet może, iż samo tło egzotycznych obrazów, uderzających swą niezwykłością rodzajową albo odrębnością socjo-psychologiczną, wprowadza niekiedy pewien przerost wątku etnograficznego, co wszelako znajduje pełne wyrównanie w epickim zorganizowaniu całoś-

ci, która daje czytelnikowi sugestywny obraz środowiska jakuckiego, z tego zaś tła coraz wydostają się zajmująco ujęte i udatnie zróżnicowane w swych ludzkich charakterach jednostki. Wśród nich Ujbanczyk wyrasta już na marzyciela-reformatora, którego zestawiać by można z Frankiem Rakoczym z powieści Władysława Orkana: „W Roztokach". Postać to, mimo niezbędną idealizację, żywo przemawiająca do wyobraźni czytelnika, a nawet głęboko wzruszająca, zwłaszcza że jest ona właściwie jedynym pomostem porozumienia między wygnańcem Polakiem a gromadą Jakutów. Osoba zaś wygnańca wprowadza do powieści naturalny w danym wypadku żywioł liryzmu, zarówno w stosunku człowieka do przyrody, jako też w jego osobistych przeżyciach zesłańca, które są niewątpliwie odtworzeniem własnych doznań Sieroszewskiego. Toteż na karb autora zapisać można poglądy Pawła: „Nie uważał on za słuszny, ani za korzystny, istniejący w niektórych społeczeństwach podział na tak zwane korzenie i kwiaty. Nie wierzył w żadne prawa przyrodzone, uświęcające podobny stan rzeczy. Przeświadczony był natomiast z całą wiarą młodzieńczej, do marzeń skłonnej duszy o potędze zbiorowej woli, wierzył w nieustający rozwój, w nieskończoną zdolność doskonalenia się ludzkiego ducha. Jeśli cierpiał, wiedząc, jak przodujące w tym pochodzie ludy błądzą po manowcach, jak marnotrawią czas, szpecą i niszczą źródła swej potęgi, to pewny był jednak, że chwila opamiętania nadejdzie, z oczu spadnie marna, złota opaska. Wówczas przyjdą i tu — na kresy szukać ludzi nie tylko zdolnych kupić coś i sprzedać, ale braci i jedynych sprzymierzeńców w okropnej walce zgonu ludzkości, jaka ich wszystkich czekała. W to wierzył, za to cierpiał, a i dziś nawet dlatego jedynie uczył się, krzepił, spodziewał i... żyć pragnął..." „I rósł, spodziewał się, wątpił, ale częściej wprost wierzył, że tak się stać musi;

świetlane perspektywy nieśmiertelności, wszechmocy, doskonałości odsłaniały się przed fosforycznie błyszczącymi oczyma. Jakuci jednak nie wiedzieli, co on tak szepcze, dlaczego nie śpi..." Poprzez to wyznanie wygnańca Pawła ujawnia się jeszcze bliżej wspomniane pokrewieństwo ideowe między Wacławem Sieroszewskim a młodszym od niego Władysławem Orkanem, między pisarzem, który za młodu ukochawszy sprawę ludu, dla niej się poświęcił i w samotni odległych puszcz syberyjskich nie przestał być jej wiernym, a pisarzem, który z ludu wyszedłszy, dla dobra tego ludu przyszłości te same, co tamten, dawał wskazania.

Ostatnim utworem literackim Sieroszewskiego, napisanym na wygnaniu syberyjskim, jest nowela: „W ofierze bogom". Epizm przedstawienia podnosi się tutaj do epopeiczności. Jest to bowiem jakby rapsod bohaterski z koczowniczego życia Tunguzów. Dobrowolna ofiara Selticzana, starego naczelnika rodu, z pogodnym poświęceniem ginącego dla szczęścia swego narodu, wznosi się na wyżyny dostojnego i szlachetnego patosu. I dla autora i dla ówczesnego czytelnika polskiego opowieść ta poza autentycznym wątkiem etnograficznym miała również znaczenie alegoryczne.

W wydaniu książkowym pierwsze nowele syberyjskie uzupełnia opowiadanie: „W matni", napisane w roku 1896, już po powrocie Sieroszewskiego do ojczyzny. Z opanowanym spokojem przedstawił tu autor wstrząsające dzieje wygnańca, przeżywającego śmierć przybyłej do niego żony, zmagającego się z Jakutami o przydział ziemi do uprawy, opuszczającego wreszcie z trudem utrzymywaną sadybę, aby dla chorego dziecka szukać w mieście pomocy lekarskiej. Kontrasty psychologiczne na tle odrębnych warunków życia społecznego w stanie pierwotnym i walka człowieka z żywiołem przyrody stwarzają sytuacje

dramatyczne o wzmagającym się napięciu tragicznym. Momentem wyzwalającym staje się wiadomość o nadejściu „papieru“ urzędowego, przynoszącego pozwolenie na powrót wygnańca do kraju. Porównanie tego opowiadania z powieścią: „Na kresach lasów“, pisaną jeszcze na wygnaniu, daje możność stwierdzenia, że oddalenie autora od ziemi własnej jego niedoli stworzyło korzystny dla artyzmu dystans. Nie tylko w stosunku do tubylców, których charakterystyka zyskała teraz na pogłębionym zrozumieniu spraw ludzkiego bytowania, ale nawet wobec przyrody, której krajobrazy (wieczorny ciąg ptactwa wodnego, na rzece, burza) zostały odmalowane ze wzbogaconą jeszcze skalą i siłą pisarskiego kolorytu.

Utwory autora „Na kresach lasów“ i „W matni“ spotkały się od razu z wyrazami najwyższego uznania. Nie szczędzili ich Sieroszewskiemu nawet znakomici pisarze polscy, z których przytoczyć należy zwłaszcza Aleksandra Świętochowskiego i Elizę Orzeszkową. Świętochowski w artykule pt. „Nowy talent“, zamieszczonym w nr 48 „Prawdy“ z roku 1897, wręcz stwierdza, że utwory Sirki są w porównaniu z „mdłymi piankami opowieści wschodnich Lotiego oślepiająco barwne i wstrząsające“. Sirko przedstawia przyrodę z artyzmem i poezją, w których niewielu mu zdoła dorównać. Lecz zdolność ta jest niczym wobec „umiejętności wydobywania prostymi środkami potężnego tragizmu z zetknięcia się dwu różnorodnych i nierównomiernych cywilizacyj w szczególnych warunkach, które bez wrogich wzajemnie dla siebie usposobień wywołują gwałtowne starcia i wysnuwają dramaty“. Dramaty te „Sirko opowiada spokojnie, jak gdyby kreślił sielankę, jak gdyby nie widział, że z jego obojętnych wyrazów ciekną łzy, krople krwi i potu pokaleczonych i zmęczonych gladiatorów“. Tutaj „zła moc życia zmusza ludzi, pragnących wzajem swego szczęścia, do popełniania na

sobie zbrodni", a ludzie ci, „ludzie pospolici, dzięki szczególnemu układowi stosunków, wyrastają na olbrzymów". Sirko pozornie zdaje się unikać wszelkich analiz psychologicznych i tylko mimochodem rzucony wyraz przekonywa, iż autor, kreśląc z niewzruszoną przedmiotowością mordercze zapasy instynktów i nieubłaganą walkę o byt, zdaje sobie doskonale sprawę z wewnętrznych sprężyn dramatu. Talent Sieroszewskiego — zdaniem Świętochowskiego — jest jednym z nielicznych źródeł twórczości, nie zanieczyszczonych mułem interesów życiowych. Jako naturalny, silny zdrój wydobywa się on z pokładów wielkiego tragizmu. Wobec tej szczerości nędzną obłudą jest podrabianie uczuć i myśli oraz oportunizm, zdarzający się bardzo często nawet u największych talentów. Spoza utworów Sieroszewskiego wyglądają załzawione ze wzruszenia oczy człowieka, z którego słów, pomimo pozory obojętności, bije współczucie szlachetnego serca.

Eliza Orzeszkowa powitała nowele syberyjskie Sieroszewskiego obszernym artykułem pt. „Gwiazda wschodzi", drukowanym w paru numerach (6 i nast.) „Tygodnika Ilustrowanego", z roku 1898. Zdaniem znakomitej autorki „Chama", tło opowiadań Sirki możnaby nazwać „snem nocy zimowej". „Tchórza przeszywać tu wciąż będą sztylety strachu, niedołęgę struje nuda, rozkosznika w gniewy wściekłe wprawią umartwienia srogie, uczonemu ciekawość uskrzydli myśli i stopy, człowiek z temperamentem artystycznym stanie się malarzem, albo snycerzem, albo poetą, albo jeszcze, jak w wypadku obecnym, wszystkimi trzema naraz". Podnosi Orzeszkowa bogactwo szczegółów w licznych obrazach natury (powrót pogody po długich deszczach, nadlatująca zamieć śnieżna, po przejściu śnieżnej nawałnicy, powrót Ałdana do zwykłego łożyska po wylewie, nadlatująca burza podbiegunowa,

długa posucha letnia, łąka o poranku itd.). Również bogactwo porównań opisowych. Opowiadanie o klęsce w postaci zarazy niszczącej stada reniferowe Tunguzów tragicznością i patetycznością niektórych epizodów przywodzi na pamięć „Ojca zadżumionych". Promyk słońca zauważony pośród sceny grubiańskiej jest „prawdziwą maestrią wyobraźni". Nie mniej zastanawia wiedza autora o duszach ludzkich. „Jakuci i Tunguzy, dzikusy na pozór jednostajne, stają każdy z osobna, opatrzeni w osobnikowe znamiona charakterów, duchów, czynów i mowy, a związani tylko nicią wspólnych im wszystkim właściwości plemiennych". Z tych ostatnich najbardziej uderzającą i najbogatszą w pierwiastek poetycki jest mistycyzm, „czyli pełne lęku i fantastyczności upatrywanie i odczuwanie sił lub działań nadprzyrodzonych w zjawiskach otaczającego świata". „Te trwożne rojenia Jakuta i Tunguza to pierwszy szczebel drabiny, u której szczytu rozkwitają religie, filozofie i namiętne docierania nauki, aż do tych ostatecznych granic, na których pojęte styka się z niepojętym. Co zaś do artystycznego wyrazu swego, są tu one tym więcej przejmujące, że jakkolwiek u dzikich, nie krzyczą jednak, nie gestykulują, nie wpadają w konwulsje, lecz owszem, w tonach przyciszonych i niejako basowych trzymane, toczą przy samej ziemi drżące tremola, od których drżą ciała ogromne i odważne. Wytwarza się tym sposobem nie wrzask brutalny, nie grymas konwulsyjny, ale rzecz dziwna w zestawieniu z dzikimi: nastrój, tak zwany „Stimmung", podobny do tego, jaki uczuwamy, gdy „Gość nieproszony" (L'intrus) Maeterlincka, niewidzialnie błądząc za kulisami, wstrząsa aktorami sceny, jak zeschłymi liśćmi". Podobnie i wobec cywilizacji, przybywającej od strony ziem nieznanych, Jakut czuje się strwożony i cierpiący. W „Chajłachu" przebiegłość i chytrość Chabdżija wobec Kosti posuwa się aż

do pochlebstwa i mądrej wynalazczości. Dzika Keremes jest zarazem delikatna, miękka, łagodna. Sytuacja tych trojga, „do głębi przejmująca, jest jeszcze tu i ówdzie tak subtelnie wycieniowana, jakby autor ją wynalazł na paryskim przedmieściu St. Germain". Nadzwyczaj wnikliwie podpatrzył Sieroszewski poruszenie duszy kobiecej, kiedy Keremes po raz pierwszy zdobywa się na odepchnięcie Kosti, z powodu wstydu, jaki ją ogarnia po nagłym wychyleniu się słońca. Obok tej Jakutki staje w pamięci Katarzyna z „Germinal" Zoli. Inna znowu, pełna wdzięku, lecz równie osobnikowa i subtelna dusza Selticzana. Autor odgadł w tym Tunguzie „duszę wielką, ale na wskroś ludzką, i nie tylko ludzką, lecz odrębną"; to jest dusza ze stali: „w porze szczęścia, jak stal uginała się pod palcami dobroci i miłości; w momencie klęski nabiera połysków nie płomienia, lecz lodu". „Aż na koniec, ten dziki przychodzi do pełnego zrozumienia, że jednostka ludzka to cień mały i marny wobec tej rzeczy wielkiej i wiekuistej, którą jest idea. Wyrazu tego nie zna, lecz istota, którą on w sobie zawiera, dość miejsca znajduje dla siebie w jego mózgu i sercu." „Patriarchowie biblijni, z których wysnuło się tyle poetyckiego wątku, — dodaje Orzeszkowa — należeli także do plemienia pasterskiego i koczowniczego, i niewiele dalej posunięci, w tym co zwykło zwać się cywilizacją, byli bohaterowie Iliady, Nibelungów, Kalewali. Gdziekolwiek istnieje człowiek, istnieje dramat; gdzie zbiorowisko ciał i dusz ludzkich, tam i zbiorowisko ich osobnikowych znamion i losów. Tylko że na jednych szczeblach drabiny cywilizacyjnej spostrzeganie i badanie jest łatwiejszym, bo materiał obfity, i dostępniejszym, bo badanych z badającym łączą gatunkowe niejako wspólności i podobieństwa; na innych zaś trzeba pracować w zmroku przy świetle pewnej, osobliwej latarni, pewną, osobliwą oliwą nalanej." Znamie-

niem głównym i niezawodnym talentu Sieroszewskiego „bardzo silne, jasne, rozległe i bogate wizjonerstwo“, górującą zaś cechą jego moralnego ustroju — podłoże „współczucia bardzo żywego i rozległego“. „To współczucie, to życzliwe albo miłosne zlewanie się z naturą we wszelkich jej objawach i z ludzkością na wszystkich jej szczeblach, przenika książkę (Sieroszewskiego) tchnieniem serdecznego ciepła i wytłacza na niej piętno wielkiej moralnej czystości“.

To bystro zauważone „siostrzanym“ okiem Orzeszkowej „piętno wielkiej moralnej czystości“, które pozostanie już stale jednym z głównych czynników postawy osobistej i twórczej Sieroszewskiego, ma również ważne znaczenie dla artyzmu pisarza. Słusznie bowiem zauważył Czesław Jankowski już w roku 1897, że chociaż Sieroszewski „kreśli sceny odrażające, nie pominie najdrastyczniejszego szczegółu, nie zawaha się przed dosadnością wyrażenia — czyni to jednak z tak piękną miarą artystyczną, że jeden ów rys charakterystyczny sposobu pisania Sieroszewskiego zapewnia mu zaszczytne stanowisko wśród naszych autorów. W opowiadaniach jego — bardzo ciekawych bardzo plastycznych i pouczających — mamy szczerą, nagą prawdę. Jeno budzi w nas ona nie obrzydzenie, nie wstręt, tylko przygnębienie, zadumę i litość... Ten ton poszanowania dla cudzych ognisk i cudzych serc zasługuje na najwyższe uznanie. W piśmiennictwo nasze wprowadza Sieroszewski szlachetny i zacny pierwiastek.“ Tenże krytyk-publicysta stwierdza, że w stosunku do „Szkiców“ Adama Szymańskiego Sieroszewski w tomie nowel „W matni“ jest „bardziej objektywnym i ma w piórze swoim więcej delikatnego sentymentu“.

Te pierwsze entuzjastyczne głosy wybitnych pisarzy polskich starszego pokolenia o „nowym talencie“ Sieroszewskiego znalazły pełne potwierdzenie w nieco późniejszym

studium krytycznym Ignacego Matuszewskiego z roku 1900. Ów najbardziej autorytatywny i najlepiej miarodajny krytyk literacki swego czasu podkreśla w twórczości Sieroszewskiego wartości epickie. Egzotyzm jego nie przekracza granic opisowości; rdzeń jego utworów jest nasz, bezwzględnie nasz i nie zawiera nic obcego. „Ideałem Sieroszewskiego jest człowiek w najlepszym i najszerszym tego słowa znaczeniu". „Nikt też, prócz Sieroszewskiego, nie przedstawił w sposób równie piękny, wzruszający i ciekawy przyjaźni Europejczyka z człowiekiem rasy obcej. Stosunek Pawła do Jakuta Ujbanczyka pojęty jest głębiej, opracowany wielostronniej, niż klasyczny w literaturze europejskiej stosunek Robinsona do Piętaszka, który traktowany jest zawsze jako wielkie dziecko, nie jako człowiek równy w zasadzie swojemu białemu zbawcy." „Zawsze i wszędzie Sieroszewski występuje jako obrońca i przyjaciel obcego plemienia, które stykając się z cywilizacją, traci szczęście i spokój, a nie zyskuje prawie nic". „Światło tej szczerej, humanitarnej sympatii pozwoliło Sieroszewskiemu wniknąć w tajniki duszy dzikiego, zamknięte dla zwyczajnego obserwatora, i stworzyć typy skończone, pełne i przewyższające pod względem plastycznym i psychologicznym ostre, barwne żywe, ale jednostronne sylwety Kiplinga. Postacie dzikich tracą pod piórem Sieroszewskiego swoją egzotyczność i stają się pokrewnymi nam ludźmi, chociaż autor nie idealizuje ich tendencyjnie, lecz opowiada szczerze to, co dostrzegł w ich sercu i głowie. A że dostrzegł więcej od innych obserwatorów, że pod żółtą skórą Jakuta odkrył „czystą treść człowieka", zawdzięcza to bogactwu własnej indywidualności, która swoimi skarbami obdarza hojnie maluczkich". Sieroszewski nie wysuwa egzotyzmu na przód, ale przeciwnie stara się go przełamać i nagiąć do miary psychologii ogólnej, szukając poza efektownymi okolicznościami czegoś

prostego a trwałego". Sieroszewski tym się różni od Lotiego i Kiplinga, że nie traktuje tematów egzotycznych w sposób egzotyczny, lecz stara się odebrać im charakter wyjątkowości". „Sieroszewski jest w gruncie rzeczy marzycielem i utopistą, ale utopistą dyskretnym. We własnym imieniu przemawia on rzadko, starając się uczucie swoje przelać całkowicie w obrazy i postacie". Napisał Sieroszewski: „łzy i krew mają wszędzie ten sam blask i kolor". „Altruizm Sieroszewskiego nie ma w sobie nic opozycyjno-tendencyjnego. Sympatia i współczucie dla ras niższych wiążą się u niego z innymi czynnikami artystycznymi w jedną całość organiczną, przenikają twórczość powieściopisarza do głębi, nie przybierając nigdy formy luźnych dodatków i wstawek publicystycznych". „Postawiwszy egzotyzm na gruncie ogólno-ludzkim, odebrał Sieroszewski romansowi zamorskiemu jaskrawą szatę dziwactwa i osobliwości i roztopił uprzedzenia i wstręty rasowe w szerokim oceanie idei humanitarnych. To stanowi jeden z najcharakterystyczniejszych rysów działalności pisarskiej Sieroszewskiego". „Znaleźć oświetlenie odpowiednie do natury odtwarzanego przedmiotu — to znaczy znaleźć właściwy punkt widzenia, czyli podstawę syntezy. Otóż, swoim poglądom społeczno-filozoficznym zawdzięcza Sieroszewski pewność i spójność swojej syntezy artystycznej".

Podobne znaczenie i stanowisko twórcze Sieroszewskiego oceniają inni współcześni krytycy literaccy. Ta postawa moralna i artystyczna pisarza, najwnikliwiej odczuta przez Orzeszkową, najlepiej i na szerokim tle porównawczym europejskiej powieści egzotycznej określona przez Matuszewskiego, ukształtowała się całkowicie już na wygnaniu wśród Jakutów i w napisanych tam pierwszych jego utworach wyraziła swe główne linie rozwojowe, które następnie będą się tylko wybogacały i rozkrzewiały.

W chwili powrotu do kraju, po piętnastu latach osiedlenia na Syberii, Sieroszewski jako pisarz był indywidualnością zupełnie wyrobioną i świadomą swych sił i środków.

9.

POZWOLENIE NA POWRÓT DO KRAJU ZAWDZIĘczał Sieroszewski swemu dziełu etnograficznemu o Jakutach. Wśród ludu tego spędził przeszło dwanaście lat, poznał jego język i obyczaje z bliska i w bezpośrednim obcowaniu, zwiedził kraj dokładnie, parękroć przebywszy go wzdłuż i w poprzek. Notatki etnograficzne zaczął spisywać od pierwszych dni swego tam pobytu. „Nie stało się to jednak — wspomina Sieroszewski w roku 1932 — tak łatwo i prosto jakby się mogło wydawać. Wśród obszarów nieznanych przestworzy, wśród niezwykłych zjawisk życia i przyrody, brakło mi jakichkolwiek wartościowych przewodników. Nieraz więc w poszukiwaniach swych błądziłem, badałem już zbadane, odkrywałem już odkryte... Innym razem przeoczałem zagadnienia ważne, nie notowałem ich lub notowałem pobieżnie. Czułem, że dużo sił tracę nadaremnie. Dopiero kiedy pozwolono mi przenieść się cokolwiek na południe nad rzekę Ałdan, kiedy w mieście Jakucku zetknąłem się z większą ilością wygnańców i dowiedziałem się, że niektórzy z nich posiadają dzieła opisujące kraj jakucki, poczułem, że będę mógł wstąpić na drogę właściwych badań. Aby zdobyć potrzebne mi książki, przedsięwziąłem okrężną podróż od wygnańca do wygnańca, która zabrała mi sześć tygodni czasu i urosła w swej sumie więcej niż do 700 km. Lecz wróciłem do mego Bajagantajskiego Ułusu, wioząc w workach podróżnych kilka potrzebnych mi dzieł. Na nieszczęście, najważniejsze z nich, podróże A. F. Middendorfa — były po niemiecku. Niemiecki znałem tyle tylko, ile

nauczyłem się go w gimnazjum, tj. bardzo mało. Lecz ponieważ zdobyłem niemiecki słownik, a miałem już doświadczenie z „Eneidą“, wziąłem się z zapałem do pracy. Warunki teraz miałem wspaniałe. Ciepła jurta, zaopatrzona na zimę przeze mnie własnoręcznie, a pośrodku niej wielki polski piec z bitej gliny, również zbudowany przeze mnie, zapasy lodu i jedzenia na dwa do trzech miesięcy, wreszcie duży czarny pies, jako jedyny towarzysz samotności. Naokoło na dziesiątki kilometrów nie było żywego ducha. Gdym wychodził na chwilę i wsłuchiwał się w stężałą ciszę śpiących pod śniegami wokoło lasów, nic tam nie drgało, chyba że znagła przetoczył się huk pękającej w objęciach mrozu ziemi. Wracałem pośpiesznie do ciepłej izby, do stołu, na którym stała paląca się, o rozkoszy, świeca i leżały rozłożone księgi. Kartka za kartką przetrawiłem kilka grubych tomów. Zdawało mi się, że wszedłem na jakiś wzgórek, z którego mogłem objąć nareszcie wzrokiem cały obszar potrzebnych mi badań. Były one ogromne, ale to właśnie napełniało mnie radością. Wyśledzić i opisać jak człowiek wyrasta z ziemi, jak na duszę jego działają rodzinne góry, rzeki, jeziora, lasy i łąki, rośliny i zwierzęta, jak z kolei on wpływa na to wszystko i przerabia w bólach, walkach, w uniesieniu — bezład przyrody w ludzkie prawa i ludzką świadomość!... To stało się gwiazdą przewodnią w mych żmudnych poszukiwaniach, czyniło mnie cierpliwym i współczującym w nużących godzinach obcowania z duszami zabobonnymi, pierwotnymi, często okrutnymi. Wszystko to jednak posiadało o tyle tylko sens, o ile miałem nadzieję, że podzielę się mymi myślami i przeżyciami z bliźnimi, a to możliwe było tylko w formie książki. Zawczasu marzyłem o niej, odczytywałem w myślach jej stronice, pieściłem w wyobraźni jej kształty, ozdoby i rysunki...“ W przedmowie do II wydania polskiego dzieła o Jakutach wspo-

mina Sieroszewski, że swe zapiski etnograficzne robił z początku dla celów powieściowych, dopiero przeczytawszy kilka dzieł o Jakutach, zaciekawił się tym przedmiotem od strony badań naukowych i jął notować swe wiadomości już systematycznie według programów ludoznawczych, jakie Adam Szymański i inni wygnańcy przysłali mu z Jakucka. Zrazu w stosunkach z tubylcami posługiwał się pośrednictwem tłumaczy, ale później obywał się już bez nich, skoro język jakucki sam dostatecznie opanował. „Szkicowałem — pisze Sieroszewski we wspomnianej przedmowie — rysunki, odbitki wzorów, gromadziłem przedmioty dla muzeum, lecz prześladowania policyjne, rewizje i nagłe przenoszenia z miejsca na miejsce ogromnie mi w tym przeszkadzały i dużo zbiorów i rękopisów zniszczyły. Okazy przyrodnicze i etnograficzne oddałem do tworzącego się na ów czas muzeum w Jakucku, część rękopisów ocaloną zabrałem z sobą do Irkucka..."

Tymczasem w Irkucku trzeba było zarabiać na utrzymanie, jak się trafi. Daje więc Sieroszewski lekcyj tańca w gimnazjum żeńskim, pracuje u architekta miejskiego, pomaga sekretarzowi magistratu, jest maszynistą przy parowej maszynie straży ogniowej itd. Jednocześnie poszukuje nakładców dla zamierzonej pracy etnograficznej. Zwrócił się do kolonii polskiej, lecz ta nie rozporządzała odpowiednimi środkami, aby udzielić mu potrzebnej pomocy. Natomiast Stanisław Landy, który był wtedy kierownikiem handlowym firmy A. I. Gromowej, handlującej futrami, wskazał na zbiory Sieroszewskiego dyrektorowi tej firmy M. W. Pichtinowi, członkowi Petersburskiego Towarzystwa Geograficznego. Pichtin — pisze Sieroszewski — „nie tylko zgodził się dzieło wydać, ale zobowiązał się dopomóc mi do jego opracowania z warunkiem, że wyjdzie po rosyjsku. Musiałem się zgodzić, nie tracąc nadziei, że wydam je kiedyś i po polsku. Uzyska-

łem dostęp do muzeum i biblioteki Irkuckiego Wydziału Towarzystwa Geograficznego i wziąłem się do pracy. Znalazłem tam moc książek, broszur, rękopisów, traktujących o kraju i mieszkańcach ziemi Jakutów, ale wszystko to były przyczynki, niezmiernie nieraz cenne, przeważnie przyrodnicze, nie obejmujące jednak ani całości kraju, ani całości życia jego mieszkańców. Aby więc napisać studium etnograficzne Jakutów, musiałem zacząć od podstaw, od samego początku. Nie znalazłem nigdzie nawet geografii kraju..." „Zabrałem się — wspomina Sieroszewski w innym fragmencie autobiograficznym — do pracy i w ciągu dwóch lat przeczytałem wszystko, co tyczyło się badanego przeze mnie kraju. Dwa razy przerabiałem mą książkę od nowa, zasięgając rad specjalistów, geologów, klimatologów, botaników, archeologów, etnografów..." Wreszcie praca naukowa Sieroszewskiego została w roku 1896 wydana drukiem po rosyjsku pt. „Jakuty". Było to pierwsze i jedyne w tym zakresie opracowanie przedmiotu. Dzieło Sieroszewskiego spotkało się z bardzo korzystną oceną wśród uczonych specjalistów i przyniosło autorowi wysokie odznaczenie w formie złotego medalu Petersburskiego Towarzystwa Geograficznego. Nadto wiceprezes Towarzystwa, senator P. Siemionow wpływami swymi dopomógł do uzyskania pozwolenia na powrót Sieroszewskiego do kraju. Była to dla wygnańca za jego pracę nagroda największa, jakiej mógł był zapragnąć. Praca wszakże nad dziełem o Jakutach dała Sieroszewskiemu posiąść jeszcze jedno doświadczenie. Oto — wspomina w roku 1932 — „w tej pracy spoufaliłem się z książką i pokochałem ją, jak żywą istotę... Są wśród książek, jak wśród ludzi — osobniki dobre i złe, szczere i obłudne, piękne i szkaradne, mądre i głupie. Każda z nich jest zwierciadłem człowieka i jak w zwierciadle odbija szczególnie jaskrawo barwy i kształty swego twórcy. Twórca

ten jest jednak owocem zbiorowego życia i dlatego śmiało powiedzieć możemy, iż mamy w książkach streszczenia człowieczeństwa. Pisarze zaś są jedynie gejzerami, przez które duch ludzkości z podziemi swych się wylewa i w znakach drukarskich utrwala..." Ta wiara w ducha ludzkości, której pisarz już po wielu latach daje bezpośrednie świadectwo w co dopiero przytoczonych słowach, pozwoliła właśnie Sieroszewskiemu przetrwać czasy najcięższej niedoli i w posępnej atmosferze wygnania zdobyć się na współczucie dla bliźniego człowieka w dzikusie, znaleźć w sobie siły i wolę do podjęcia nad nim badań i doprowadzenia ich do zamierzonego wyniku. Pojęcie ludzkości było dla Sieroszewskiego najwyższą ideą, o którą walczył od wczesnej młodości. Kiedy zaś w walce tej przyszło mu cierpieć na zesłaniu, nie przestał nadal służyć swej idei. I właśnie wśród Jakutów począł śledzić i badać jej narodziny u źródeł pierwotnego bytowania, aby się tym mocniej utwierdzić w prawdzie wyznawanych poglądów. Poglądy te znalazły też wyraz i w powieściach i nowelach syberyjskich, i w naukowym dziele Sieroszewskiego o Jakutach. I w ogóle w całej twórczości Sieroszewskiego sprawa ludzkości, czyli człowieczeństwa, pozostanie na zawsze naczelną jego ideą.

10.

SIEROSZEWSKI, WYJEŻDŻAJĄC Z KRAJU, BYŁ LEDWO dwudziestoletnim młodzieńcem. Powrócił z wygnania w 36 roku swego życia, czyli w dojrzałym wieku męskim. Na zesłaniu syberyjskim ukształtowała się ostatecznie i zahartowała osobowość człowieka, skrystalizowało się i rozwinęło powołanie pisarza. Sieroszewski nadal nie przestaje brać udziału w niepodległościowym ruchu politycznym, ale głównym jego zawodem staje się te-

raz twórczość literacka. W pierwszych latach po odzyskaniu wolności osobistej zwiedził Sieroszewski Kaukaz i wybrzeże Kaspijskie, przebywał w Warszawie albo w Suwalszczyźnie, w majątku Górskiego, przyjaciela z czasów szkolnych. Jest to okres wydatnej pracy literackiej. Opowiadanie: „W matni“ ukończył Sieroszewski w Świacku 1 maja 1896 roku. Tamże powstała powieść kaukaska: „Risztau“ (1897). Opowieść: „Dno nędzy“ — w Warszawie w sierpniu 1899 roku. W tychże latach wydał Sieroszewski nowele i opowiadania: „Wśród lodów“, „Puszcza Białowieska“, „Szczelina grecka“, „Brzask“, „Latorośle“, „Pustelnia w górach“, „Czukcze“, wreszcie w roku 1900 polskie opracowanie dzieła etnograficznego pt. „Dwanaście lat w kraju Jakutów“. Stanął też Sieroszewski od razu w rzędzie czołowych powieściopisarzy tej doby, obok współcześnie występujących Żeromskiego i Reymonta, z którymi sąsiaduje na łamach warszawskiego „Głosu“, a w roku 1899 jego „Brzask“ pojawia się w „Życiu“ krakowskim. Współdziała więc Sieroszewski w obu naczelnych organach prasowych nowego pokolenia literackiego. Talent pisarza rozwija się i poszukuje nowych wątków. Nadal czerpie Sieroszewski tworzywo przede wszystkim z bogatego zasobu doświadczeń i spostrzeżeń syberyjskich. W tym właśnie okresie powstaje między innymi: „Dno nędzy“, nowela o trędowatych wśród tajgi północnej, zaliczana do arcydzieł autora i powszechnej literatury egzotycznej, w której zajmuje stanowisko wyjątkowe, gdyż — jak na to zwrócił uwagę Ignacy Matuszewski — w tym „jędrnym, skupionym i pełnym grozy dramacie, opartym na motywach wszechludzkich“, występują ludzie, co są nie tylko obcy, ale wyrzutki wśród obcych. Egzotyzm środowiska w „Dnie nędzy“ został zaiste spotęgowany i niejako zgęszczony w sposób zupełnie wyjątkowy, ale tragizm opowiadania wyrasta z bólu, o którym Sieroszew-

ski mówi w „Brzasku", że „z jednakowym okrucieństwem przeszywa każdą istotę ludzką", atoli w danym wypadku ból wzmaga się do rozmiarów chyba już ostatecznych. Michał Mutermilch w swym studium o Sieroszewskim, którego nazwał „piewcą niedoli", wyraził się o „Dnie nędzy", że „z każdej kartki tego potężnego eposu płyną strumienie łez i krwi, a każde słowo brzmi krzykiem obłędnym i głosem rozpacznym"... Do tej słusznej uwagi dodać jednak trzeba, że Sieroszewski w całym opowiadaniu zachował dystans obiektywizmu, że właśnie dlatego przedstawiony w nim obraz nędzy posiada wstrząsającą wymowę realistyczną, wzrastającą w napięciu epickim poprzez przeżycia kobiety, która z miłości do mężczyzny dobrowolnie wkracza w krąg niedoli trędowatych, aby już nie móc się z niego wydostać. Tragizm sytuacji potęguje się nadto przez konflikt namiętności, który stwarza kapitalnie scharakteryzowaną postać demonicznej Mergeń, osiągająca wymiary wręcz klasycznego typu o żywiołowej mocy. Wszelako najwyższy ton tragicznego bólu wydobywa autor z nieszczęśliwych losów dziecka: zupełnie w końcu osamotnionej Byterchaj, ginącej wreszcie pod łapą niedźwiedzia w opustoszałej jurcie. Cały ten krwawy dramat ostatecznej nędzy ludzkiej rozwija się na tle przyrody północnej. Jej mistrzowskie a coraz inne opisy, których wielkie bogactwo rozsiał Sieroszewski po wszystkich swych powieściach i nowelach syberyjskich, od pierwszego obrazka: „Jesienią" aż po wydaną już po wojnie „Topiel" (1921) i późniejsze wspomnienia autobiograficzne z pobytu „Za kręgiem polarnym", w „Dnie nędzy", jedne z najpiękniejszych w twórczości autora, stanowią naturalne przejścia i uspokojenia tragicznego nurtu opowiadania, ale zarazem są tego nurtu składowymi czynnikami. Trafnie zauważył Michał Mutermilch, że opisy przyrody w „Dnie nędzy" to „ściśle spojone całości,

pełne upiornej, żywiołowej potęgi i ogromnego majestatu; to obrazy wielkie i straszliwe, jak wielką i straszliwą jest sama natura, to bezgraniczne zwierciadła, w których czysto, bez załamań odbijają się jej bezkresy“. Zwłaszcza wędrówka Anki z dzieckiem przez kraj jezior to właściwie jeden wielki poemat prozą o przyrodzie syberyjskiej, która jednak w tym i w innych rozdziałach „Dna nędzy“ nie jest tylko tłem fabuły epickiej ani środkiem do wywoływania nastrojów, lecz samodzielnie występującym żywiołem, będącym niezbędną i żywo uruchomioną częścią kompozycji powieściowej w obu jej aspektach: realizmu opisowego, czyli tak zwanej prawdy życiowej, i świadomej swych celów techniki literackiej, czyli tak zwanej prawdy artystycznej. Obie te prawdy w „Dnie nędzy“ zostały doskonale zrównoważone, albo raczej zespolone bez żadnej reszty.

Wielokrotnie już podkreślana wrażliwość Sieroszewskiego na piękno przyrody znalazła nowe źródło podniet twórczych w podróży kaukaskiej, skąd powstała powieść: „Risztau“. Ośrodkiem wątku epickiego jest osiedle rodziny polskiej, w dzikiej okolicy górskiej trudniącej się uprawą roli i myślistwem. Osobiste dramaty jednostek ludzkich zostały przez autora dostatecznie rozwinięte, aby należycie uwydatnić różnice charakterów, wynikające stąd wzajemne sytuacje psychiczne, skoncentrowane zwłaszcza w sprawach miłosnych, na dalszym planie zagadnienie narodowe, wprowadzone ubocznie w sposób dyskursywny i w tonie ściszonym, jednak z wyraźnym naciskiem, jaki tylko w danych warunkach życia był realnie możliwy. W swym wnikliwym szkicu krytycznym dobrze ujęła Jadwiga Kisielewska (Oksza) ów rys nowoczesnej techniki powieściowej Sieroszewskiego polegający na tym, „że nie odpowiada on nigdy, nie objaśnia nic; rzuca nam wprost przed oczy obraz za obrazem, stawia ludzi we

wszystkich warunkach ich życia, traktowanego z bogactwem szczegółów i dobitnością akcji a z oszczędnością słów. Jego sposób wywoływania nastroju, to realizm faktu i niedomówienie myśli... Do wydobycia charakterystyki psychologicznej postaci nie posługuje się analizą i wnioskowaniem. Z rysów zewnętrznych, które nam istotnie wpadają w oczy, z wrażeń, z zachowania, stwarza fizjonomie wybitne, odcinające się ostro i wyraźnie na tle przygód i krajobrazów. Ta metoda impresjonistyczna wypływa u Sieroszewskiego z silnego odczucia rzeczywistości i z zewnętrznego impulsu do oddawania wrażeń najprostszymi środkami bez komentarzy". Dogodniej, niż na powieściach i nowelach syberyjskich, w których egzotyzm środowiska społecznego stwarza sam przez się odrębny klimat stosunków ludzkich, co i charakterystykom nadaje swoiste perspektywy widzenia, ten dystans obiektywizmu realistycznego techniki powieściowej Sieroszewskiego śledzić można właśnie na „Risztau", gdzie mamy do czynienia z ludźmi, żyjącymi wprawdzie w warunkach ściśle związanych z przyrodą, ale należącymi do wspólnego z nami stanu kulturalnego. Ujawnia się tutaj stosunek Sieroszewskiego do życia prosty i naturalny, bynajmniej jednak nie naiwny ani powierzchowny, lecz bystro i głęboko wnikający w uczucia i postępowanie przedstawionych ludzi. Sieroszewski z widoczną niechęcią zajmuje się jednostkami o charakterach wątpliwych, niewyraźnych albo zakłamanych. Że jednak dostrzega je i właściwie ocenia, tego w „Risztau" świetnym przykładem stosunek Szymona do Justyny, w którego przedstawieniu bodaj najlepiej uwydatnia się świadoma wstrzemięźliwość od jakiegokolwiek komentarza autorskiego, jednak moralny sens sprawy nie pozostawia czytelnikowi żadnej niepewności, wprost bowiem z rzeczowego biegu zdarzeń wynika jasny pogląd na wartość człowieka. Zupełnie więc mylny

był zarzut „braku bolesnej moralnej świadomości", podnoszony w swoim czasie przez Ludwika Brunera (Jan Sten), który w swej charakterystyce Sieroszewskiego dopuścił się wielu nieporozumień. U autora „Chajłacha" i „Dna nędzy" zagadnienie etyczne jest bardzo żywe i w twórczości jego zawsze obecne, jeno Sieroszewski nie roztkliwia się, ani nie zatapia w drobiazgowym rozszczepianiu analitycznym, w czym ze współczesnych mu tak doskonale celował Żeromski, lecz tylko pokazuje swych ludzi poprzez ich słowa i zwłaszcza czyny. Pięknie to określiła Oksza-Kisielewska, że Sieroszewski ma wymowę żołnierza z „Warszawianki" Wyspiańskiego. Określenie to jednak słuszne jest tylko częściowo. Bo jakże subtelnie Sieroszewski rozwinął nie tylko współzawodnictwo miłosne mężczyzn w stosunku do Heleny z „Risztau", jej stanowisko w kłopotliwym bądź co bądź położeniu wobec rodziny Strasiewiczów, ale i dialog miłosny, oddany z realistyczną bezpośredniością i zarazem z głęboko poetyckim polotem uczuciowej ekspresji. W budowie akcji i w narastaniu napięcia epickiego Sieroszewski używa techniki jakby dramatycznej, przy czym najmocniejsze akcenty wzruszeniowe skupia zazwyczaj w zakończeniu, lecz i wtedy nie popada w sztuczne przejaskrawienie tragicznego patosu. W zakończeniu „Risztau" stawia Sieroszewski człowieka w walce z żywiołem przyrody, doprowadza sytuację do ostateczności, w której siła duchowa już wręcz beznadziejnie zmaga się z kataklizmem, ale człowiek nie poddaje się i z męską odwagą nie traci wiary w możność zwycięstwa. Trzeba tu przytoczyć słowa Stanisława Brzozowskiego: „Nie znam dziś w całej Europie piszącej człowieka, który by potrafił utwór taki, jak „Risztau", tak harmonijnie, tak wstrzemięźliwie, tak bez żadnego krzyku, a tak głęboko zakończyć. To sprawia obecność w duszy Sieroszewskiego obrazu ludzkości, utrzymującej się tylko wła-

sną mocą i pracą na powierzchni przyrody... Sieroszewski ma w nerwach, sercu, mózgu — filozofię pracującej ludzkości". W tym sformułowaniu Brzozowskiego mieści się najlepsze określenie i wyjaśnienie poglądu Sieroszewskiego na świat, o którego to poglądu najistotniejszym czynniku myślowym i twórczym nie należy zapominać, gdyż się rozważa artystyczny stosunek pisarza do przyrody. A właśnie wobec „Risztau" łatwo o nieporozumienie, które ze strony krytyki miało nawet miejsce. Powodem rola wyznaczona w tej powieści przyrodzie. Bo dla Sieroszewskiego przyroda nie jest tylko żywiołem, z którym człowiek walczy i w tej walce bezpośrednio wyrabia swą pozycję w świecie, zdobywa fizyczne poczucie swej odrębności, uświadamia sobie i hartuje własne siły duchowe. Wprawdzie człowiek jest dla Sieroszewskiego sprawą zawsze najważniejszą a ludzkość naczelnym ideałem, lecz dopiero wobec przyrody, której żywiołową potęgę poznał z osobistego doświadczenia, wyzwala się w nim także pełnia artystycznego doznania. Omylił się Antoni Mazanowski, twierdząc, że w „Risztau" fabuła, czyli sprawa ludzi, „nic nie znaczy", albowiem jest to jeden z tych wielkich utworów literatury, w których wspaniale się objawia i konkretnie utwierdza idea człowieczeństwa, idea w całej twórczości Sieroszewskiego przewodnia, tutaj w sposób wyjątkowo piękny i wręcz klasycznie ścisły uzmysłowiona jednocześnie w obu jej głównych dążeniach, czyli w zmaganiu się z przyrodą i w przezwyciężeniu egoizmu w stosunku do bliźnich. Dlatego to wyraził się Brzozowski, że książki Sieroszewskiego są „szkołą jasnej mądrości", a „Risztau" uznał za „cudowną, skończoną artystycznie powieść". Z powieści tej wprost promieniuje wiara w ludzkość i ufność w jej wyzwolenie, z taką nadto męską powagą, mądrości, i siły; że czytanie „Risztau" budzi w nas lub wzmaga wolę czynnego życia i świadomej pracy dla wspól-

nego dobra. Ale i wobec przyrody, którą widzi i pokazuje w całej jej grozie i dostojeństwie, Sieroszewski staje nie tylko jako obserwator, z dokładnością naukowego opisu przedstawiający jej obrazy, albo w pozycji człowieka walczącego z żywiołem. Czuje on bowiem także bezpośredni związek człowieka z przyrodą, a przede wszystkim widzi jej piękno, zachwyca się nim i zachwyt swój udziela czytelnikowi. I ten właśnie urok artyzmu sprawił, że krytyk, poddawszy się jego działaniu, przeoczył ludzką treść powieści. Dobrze natomiast odczuł Mazanowski piękno przyrody w tej powieści, której punktem kulminacyjnym jest katastrofa geologiczna: oberwanie się części góry i zasypanie rzeki, a i autor za tytuł dał swemu utworowi nazwę lodowca kaukaskiego: Risztau. W opisach przyrody Sieroszewskiego — pisze Mazanowski — „każdy rys drobny, każdy najmniejszy szczególik, wszystkie linie pejzażu, wszystkie charakterystyczne znamiona splatają się z niezłomną konsekwencją w całość... Obrazy natury zarysowane szerokimi liniami, a słońce, księżyc, rozłogi jezior i dolin, krawędzie oddalonej puszczy i wstęga pieniących się rzek — dal i obszar — to główne znamiona krajobrazu Sirki. Napróżno byś tu szukał szczegółowej obserwacji, jak u Żeromskiego lub Reymonta, albo też cichych i słodkich nastrojów: wszystko powleczone barwami często jaskrawymi i pięknymi w swym majestacie lub grozie, ale jakby kreślone à vol d'oiseau tak, że drobne rysy giną a występuje potężna całość.... Obrazowanie, snujące się na tle aparatu naukowego. Drobnienie i rozpraszanie się promieni, atom blasku w atomie materii, wnikanie w ciało i mózg przez powieki, bolesne odczuwanie w oczach — wszystko bardzo wymownie świadczy nie tylko o artystycznym spostrzeganiu zjawisk przyrody, ale o umiejętnym ich pojmowaniu... Dziewicza puszcza, morze, żleby górskie, szczeliny lodowców, niebo, obłoki, gwiazdy, wiatr, woda i słoń-

ce, a zwłaszcza słońce rzucają bogate barwy na paletę malarza... Przyroda rozwarła przed jego okiem swe tajemnicze łono na równi z duszą ludzką.“ Choć mimochodem zauważyć też warto, że w „Risztau“ dał Sieroszewski jeden z pierwszych w literaturze polskiej i jeden z najpiękniejszych opisów wyprawy wysokogórskiej. I w tym właśnie opisie, który stanowi tło dramatu ludzkiego, bodaj najdobitniej się objawiła współrzędność w zrozumieniu i odczuwaniu człowieka i przyrody, co nadaje powieści wymiary doskonale sharmonizowanego artyzmu. W twórczości Sieroszewskiego przyroda jest istotnym i samodzielnym czynnikiem, który nie jest ozdobą albo tłem dla człowieka, lecz żywiołem występującym niezależnie i pokazanym w skomplikowanej pełni swego życia.

Malarskie widzenie przyrody u Sieroszewskiego było niejednokrotnie podnoszone i wychwalane przez krytykę. Najzwięźlej sformułował to Brzozowski w zdaniu że Sieroszewski „widzi“, jak nikt chyba od Mickiewicza czasów nie widział przyrody“. Najlepszy rozbiór tego czynnika artyzmu pisarza dał Michał Mutermilch, historyk i krytyk sztuki. Pisze on m. in., że traktowane po malarsku obrazy przyrody u Sieroszewskiego mają „zwłaszcza w utworach późniejszych, głąb niezmierzoną, masę powietrza i przepyszny kolor. Harmonia i prawda koloru jest nieporównana. Oto jak opisuje Sieroszewski zachód słońca wśród gór Kaukazu: „Słońce zachodziło. W dolinie było pełno purpurowych blasków, rzucających fioletowe cienie na lasy i dalekie skały. Lodowiec Risztau gorzał w dali niby rubin, a błękitne morze naprzeciw łączyło się z błękitem niebios w jedną otchłań przejrzystą, po której błąkały się pasami białe chmury i ich odbicia.“ Jeśli w tym obrazie brak przejść bardziej subtelnych, to wszakże tony główne, zasadnicze, pochwycone są z prawdą zupełną, nadając całemu zjawi-

sku odrębny swoisty charakter. Ten zachód słońca — to nie szablon, to d a n y zachód, w danym punkcie globu ziemskiego oglądany. Bo oto, o ile inaczej wygląda to samo zjawisko w pustyniach syberyjskich: „Słońce skryło się już za dużą s z a r ą c h m u r ę, która oparłszy się o zamykającą widnokręg linię gór, wypuściła daleko na niebo swoje kosmate, pokręcone odnoża. Na brzydkich jej strzępach zorza natychmiast rozwiesiła wszystkie swe ozdoby; z ł o t o, s r e b r o, t ę c z o w e b a r w y bogato wyhaftowały jej brzegi, przestrzeliły ją o p a l o w e i a m e t y s t o w e p r o m i e n i e, a pod nią na b l a d y m n i e b i e, osypane gwiazdami, było podścielisko z j a s k r a w e j p u r p u r y. Mgła i zmrok szybko zatapiały dal“ („W matni“). Dwa te obrazy, malujące to samo zjawisko, nie tylko różnią się zupełnie charakterem, lecz nawet kolorytem. Zwłaszcza poczucie koloru posiada Sieroszewski ogromne. Widziane z daleka przedmioty nie uderzają jego oczu jako pewne formy, linie lub kształty, lecz najczęściej spostrzega je jako pewne plamy barwne. Oto np. jak opisuje pejzaż, oglądany z okien wagonu: „Przewinęło się b i a ł e m i a s t o, wdzięcznie schowane w z i e l o n y c h o g r o d a c h, pasmo lasów, c z a r n y c h i postrzępionych, cały szereg nudnych, jak krople wody do siebie podobnych stacji kolejowych, w s i e wielkie i b r u n a t n e; potem z głębi przestrzeni wynurzyło się znowu m i a s t o c z e r w o n e, zbrukane, przysłonięte dymem niezliczonych fabryk, a za nim znowu ciemne, dzikie, tajgą porosłe „urmany“, nagie, skaliste szczyty i przepaści o f i o l e t o w y c h, głębokich d n a c h“ („Brzask“). Tak malują pejzaże Japończycy oraz — pod ich wpływem — niektórzy artyści europejscy, w rodzaju Riviere‘a, szukający w naturze tylko głównych, zasadniczych tonów, tworzących pewien nastrój. — Jak malarz, odczuwa również znaczenie perspektywy w obrazie. Wie

on, że to, co z bliska uderza oczy masą różnorodnych, charakterystycznych szczegółów, z daleka wygląda jak jednolita plama barwna, jak pewna ogólna forma, roztapiająca w sobie kształty i kontury poszczególne. „Postać ciemną plamą rysowała się na tęczowym tle Risztau, który jak olbrzymi ptak, zdawał się wzlatywać na chmurkach, mgłach i promieniach bijącego nań z dołu poranku". A oto jak ta sama góra wygląda z bliska: „Przed nimi drzemał w słońcu zimny biały olbrzym. Potworną piersią zwalił się na grudę szarych skał, na wszystkie strony rozpuścił kamienne łapy, odnoża i macki o piłowatych grzbietach, zwietrzałych i ostrych, z niezliczoną ilością szczelin, zrębów i rozwidleń, którymi jak siecią, oplątał tłum gór, zdusił i trzymał w poddaństwie. Między palcami i żyłami tych ciemnych opok, między haczykowatymi ich skrętami, po wszystkich żlebach spuszczały się na dół blade lodowce, spod których buchały wodospady i rwąc, szalejąc, spadały w otchłań, gdzie widać było śliczne zielone hale i knieje, drobne jak mech. Kiedy niekiedy chmura otarła się o niepokalanie białe czoło szczytu i płynęła w dal, rzucając na te góry, doliny, wody i bory cień przejrzysty i nieskończony". Co za przedziwna plastyka, jakie ogromne bogactwo i rozmaitość szczegółów! — Na naturę patrzy Sieroszewski oczyma poganina, drżącego i korzącego się przed jej żywiołową potęgą, pełną majestatu, grozy i tajemniczej nieskończoności. Lecz poganin ten to nie dziki współczesny, padający przed nią na twarz, to prędzej Grek starożytny, szukający w niej jak we wszystkim — piękna i widzący we wszystkich jej przejawach — bóstwa, w kształt ludzki zaklęte, lub zwierzęcy. Takim jest „biały olbrzym" o „potwornej piersi" — Risztau; takim jest on, gdy „jak olbrzymi ptak" zdaje się „wzlatywać na chmurach". Jeszcze parę przykładów tego antropo- i zoomorfizmu w przyrodzie. Morze przed burzą:

„Z ciekawością szła wzrokiem za olbrzymimi wałami, jak wzdymając się, rosły, zbliżały się do ziemi, wciągając w siebie szkliste podbrzusza aż do samego dna, do piachów ławic i głazów, z rechotaniem osuwających się w rozwarte gardziele wody. A każdy bałwan w ostatniej chwili zwijał się, zarzucał czub na czoło, ociekające pianą, i stawał się podobny do ogromnej, rozwartej, kudłatej paszczęki potwora, z grzmotem walącej o brzeg“ („Risztau“). A oto jak wygląda szara, jesienna, do grobowego, zimowego snu układająca się przyroda syberyjska, gdy przypadkiem na niej „dopala się zapomniany promień słońca“: „Słońce wyjrzało przez jedno z takich okienek (w chmurach) i okolica, przed chwilą tęskna i zapłakana, rozjaśniła się blaskami złota i pogody. Padł na nią odcień wesela pół figlarny, pół rzewny, i była w tym uśmiechu, w tych szatach jesiennych, zawiędłych, wyżółkłych, podobna do opuszczonej kobiety, której przelotny kaprys stygnącego już kochanka znów podarował chwilę pieszczoty i szczęścia“ („Jesienią“). Jaki ogrom nastroju, wywołany dziwnie skromnymi środkami! — W hierarchii sił i objawów przyrody pierwsze miejsce oddaje piewca niedoli słońcu. Korzy się on przed nim i wielbi je, jak tylko wielbić może człowiek, przed którym ukrywa ono długie miesiące swe oblicze złociste. Panuje ono u Sieroszewskiego nad wszystkim, ono jedno ożywić może konającą przyrodę, ono jedno może wywołać uśmiech na usta żyjącego na dnie nędzy człowieka. A przed jego majestatem promiennym jakże się wszystko wydaje bladym, martwym, nikłym. Oto „jasność dnia wypłynęła z mroku, przebiła chmury, srebrząc szronem pokryte gzymsy wiszarów. W blasku jej występowały purpurą i złotem zabarwione szczyty gór, potężniał, rozrastał się król ich lodowy — Risztau. Ale gdy weszło słońce góry w pogodnym majestacie jego znowu zmalały, opadły; sam Risztau, pocięty

zmarszczkami, skurczył się, spowszedniał". A przecież Risztau to ów „zimny, biały olbrzym"! — Sieroszewski, jak niewielu innych, odczuwa nieskończoną rozmaitość w naturze i zawartą w tej rozmaitości harmonię. Poczucie harmonii sprawia, że w obrazach jego, jak w kompozycjach genialnego malarza, nigdy szczegóły nie zabijają całości, nie wyrywają się naprzód; pełnia, całość obrazu panuje nad nimi w zupełności. A z drugiej strony, odczucie rozmaitości nie pozwala mu nigdy wpaść w nużącą monotonię. Każdy skrawek natury, każde zwierzę, każda roślina ma swoją odrębną fizjonomię psychiczną, swój własny charakter. To odczucie właściwości istot żywych i przedmiotów martwych uderza nie tylko w jego utworach artystycznych, lecz nawet w dziele naukowym, w „Dwunastu latach w kraju Jakutów". Każdy z przedstawicieli fauny dzikiej, każde zwierzę domowe ma swój własny, odrębny wyraz psychiczny. Typową, jako odczucie rozmaitości w naturze, jest charakterystyka równoległa „tajg" północnej Syberii, zabajkalskich „urmanów", lasów kaukaskich i puszczy Białowieskiej („Puszcza Białowieska"). Podobieństwa i różnice są tu ujęte w ramy dziwnie jasnych, dziwnie plastycznych obrazów. Nie tylko całe puszcze, lecz nawet drzewa oddzielne są tu scharakteryzowane z tym samym ogromnym odczuciem psychologicznym. „Dziady w zbroi drobnołuskiej" — sośny, „abnegat" o „charakterze mistycznym" — świerk, „wielki pan, zdobywca, rycerz starej chaty" — dąb, „hoża lipa, elegant grab, prostacza olcha, blada brzoza, histeryczna osina" — toż to cały wielki, prawie ludzki świat! — Ogromna nieskończona natura — jak małym jest wobec niej człowiek. Nie tylko zależy od niej materialnie, nie tylko urabia się pod jej wpływem jego charakter, lecz nawet w momentach oddzielnych włada nim ona, narzuca mu własny nastrój. Jurek w chwili rozterki duchowej wchodzi do puszczy

(„Risztau"): „Stał długo, chłonąc w siebie upajające powietrze puszczy, rozkoszując się czarowną jej muzyką. Zwolna ucichły niepokoje, sprzeczne myśli i sprzeczne uczucia, umilkła nawet miłość. Bór znów do niego jako do brata przemówił, znów uczuł się cząstką, dziecięciem jego. Miał ochotę krzyknąć jak orzeł, lub zaskowyczeć jak ryś, jak szakal". Tego samego kojącego uczucia doznaje Paweł w łódce na jeziorze („Na kresach lasów"): „Było mu dobrze... Opanowywało go uczucie niejasne, ale podniosłe, wysokie, jak to niebo bez skazy, co błękitne zawisło nad rozkołysanym w dole czarnym jeziora obszarem. Zdawało mu się, że płynie w świątyni." I takie uczucia budzi natura w bohaterach Sieroszewskiego zawsze." — Przykłady przytoczone przez Mutermilcha możnaby znacznie rozszerzyć, pomnożyć i jeszcze więcej urozmaicić, aby pokazać ogromne bogactwo wrażeń i wzruszeń, które Sieroszewski wydobywa z przyrody, ale zasadnicze linie widzenia i odczuwania pisarza, uwydatnione w powyższych rozważaniach, nie ulegają wahaniom i zmianom, nawet później, gdy zasób obserwacyjny pisarza powiększa się o znajomość krajobrazów Chin, Korei, Japonii, Cejlonu, wreszcie i o ponownie — po latach wygnania — poznawany doświadczonym już okiem krajobraz Polski. Sieroszewski zbliża się do przyrody zawsze z bezpośrednią skłonnością zżytego z nią dziecka natury, ale także z mądrą i głęboką ugruntowaną świadomością swego człowieczeństwa. Bystrość naukowego obserwatora, wyczulona wrażliwość artysty i nieustannie czujna godność człowieka stapiają się u Sieroszewskiego w jednolity zespół indywidualnej postawy twórczej, której największy urok polega bodaj na tym, że uczony nie przytłacza w niej artysty, artysta zaś, chociaż jego to właśnie wola kształtuje wszystko, od szczegółów obserwacyjnych do ogólnej kompozycji utworu, nie wypiera człowieka walczącego o sprawę narodu i ludzkoś-

ci. Na wskroś obiektywny realista, często — zwłaszcza w opowiadaniach syberyjskich — śmiały naturalista, jest Sieroszewski zarazem i szczerze natchnionym poetą, o bujnym polocie wyobraźni i szerokiej skali artyzmu, i rzetelnie wzniosłym idealistą, czynnie praktykującym swe niezłomne przekonania. I w stosunku Sieroszewskiego do przyrody wszystkie te czynniki osobowości pisarza działają na równi mocno, a nawet wzmagają się wobec niezmiernej widnokrężności szerokiej, wolnej przestrzeni, w której oddech artysty znakomicie się pogłębia a wola człowieka nabiera muskularnej prężności. Przejawia się to i w stylu Sieroszewskiego. Język pisarza jest prosty i jasny, ale plastyczny, barwny i żywy. Pod piórem Sieroszewskiego obrazy, zdarzenia i charaktery jędrnieją, nasycają się jakby esencją swej rzeczywistości, której ekspresja literacka nie tylko odkrywa czytelnikowi nieznany mu świat, ale go niejako w siebie wciąga. Pod tym względem „Risztau“ należy do utworów najsilniej przykuwających naszą uwagę i naszą myśl. Wszystko w tej powieści jest wyraziste, jasne, proste, rzetelne, mądre, prawdziwe i piękne.

W „Risztau“ znajduje się także jeden opis krajobrazu polskiego, pokazany w opowiadaniu Stanisława dla nie znającej swej ojczyzny Heleny, ale wyrażający nadto głębszą myśl autora. Oto wśród lasu kaukaskiego mówi Stanisław: „Widzi pani, nasz kraj jest piękny zupełnie inną pięknością... Krajobraz bywa niekiedy smętny, rzewny, to znowu łagodnie uśmiechnięty... A nad tym wszystkim niebo niskie, chmur pełne, swojskie i miłe... Wie pani: widziałem dużo, ale oddałbym morza, zwrotniki i inne cuda za te nasze piaski, jałowce i sosny... Takie to dla nas nieskończenie wszystko miłe i drogie... Wszędzie widać ślady pracy skrzętnej, wiekowej... A jak tam ludno!... Wszędzie wioski, miasteczka. Drogi biegnące w różne stro-

ny, krzyże na rozstaju... Są okolice nieporównanej piękności!... Jak dziś pamiętam wycieczkę na Św. Krzyż... Byłem wtedy jeszcze studentem... W niedzielę, o wschodzie słońca, wyszliśmy z miasteczka Słupi, nędznej dziury żydowskiej... Mgła zakrywała wierzchołek góry, ale na dole już rzedniała. Droga była wilgotna i śliska, gdyż dnia poprzedniego padał deszcz; była też zupełnie pusta; tylko za płotem, na samym podgórzu stała klęcząca figura kamienna, dobrze przez czas czy ludzi pokiereszowana... Robota gruba, pierwotna... z utrąconym nosem... A mimo to sprawiała wrażenie... Było coś błagalnego, tragicznego w tej płaskiej twarzy, podniesionej głowie... Z kamiennych oczu płynęły duże łzy obfitej rosy... Legenda głosi, że nie stoi na miejscu, a wciąż na klęczkach, pokutując za wielką zbrodnię, posuwa się pod górę, a gdy dosięgnie wierzchołka, świat się zapadnie... Może to jaki skamieniały Radziejowski... Tyluśmy ich mieli!...“ „Poszliśmy drogą na górę, w samą mgłę... Na przygarbiach stały murowane kapliczki — stacje; podczas odpustu tysiące ludzi idą tędy na kolanach, tak jak ta figura. My jednak spotkaliśmy tylko trzy dziewczyny w krasnych chustach i w koralach na szyi... „Nie boicie się w taką mgłę?... A jeśli zabłądzicie i wpadniecie wprost... na nas?“ — krzyknął im mój towarzysz. Roześmiały się, spojrzały, tak jak kobiety polskie tylko spoglądać umieją i — we mgle zginęły. W miarę jak posuwaliśmy się wyżej, mgły te stawały się coraz gęstsze, a takie siwe jak wełna. Kłęby ich wieszały się na drzewach i pływały wśród świerków, wysokich jak wieże. Wilgoć kapała z igieł, jak po deszczu. Gdyśmy zeszli trochę z drogi, by spojrzeć na rumowisko głazów, ogarnęła nas noc szara, takie osamotnienie, jak tu wśród puszczy na Kaukazie. Na samym szczycie mgły nie było. Kościół stał niby na wyspie, obmywany chmurami, a nad nim unosił się szmat błękitu... Ściany odrapane, Chrystus

marmurowy pobielony wapnem; tynkowanie jakiegoś żółto-cielistego koloru... Mur otaczający, bramy i klasztor. walące się w gruzy... Z okien klasztoru zwieszały się brudne łachmany... Wieża upstrzona nie zawsze świętobliwymi napisami w różnych językach... A jednak patrzało się nie bez wrażenia... Czego bo one nie widziały, te mury!... Jakich czasów nie przetrwały!... Bywali tu i Tatarzy, i Litwa, i Szwedzi... A jednak stoją, jak stały, w wieńcu z mgieł... Chwilami wiatr mgły rozrywał; wówczas przez te szczerby, jak przez okna, widzieliśmy daleko płynącą falę niw, ogrodów, wiosek i dworów, świecących się w słońcu... Panno Heleno, gdybym postanowił żyć, jak wy, bez kruszyny grzechu, to bym wolał tam zamieszkać... Przecież my tylko w pokrewnym środowisku możemy oddziaływać głębiej i trwalej... — zakończył, kładąc nacisk na słowa: „w pokrewnym".

Przytoczony opis wycieczki święto-krzyskiej w wielu swych szczegółach obserwacyjnych daje dobry przykład środków obrazowania Sieroszewskiego, występuje w nim i kolorystyka i plastyka widzenia, jako też zasób artystycznego komponowania, w którym odpowiednio uwydatnione realia swą rozmaitością stwarzają wrażenie żywo uruchomionej barwności, utrzymanej wszelako w jednolitym tonie uczuciowym, przybierającym na intensywności poprzez wzmagający się stopniowo zapał narratora, podwójnie wzruszonego, bo osobą swej słuchaczki i myślą o ojczyźnie. Poprzez słowa Stanisława wyraźnie objawia się osobiste przeświadczenie autora, który powróciwszy po długoletnim wygnaniu do kraju rodzinnego, wypowiada tutaj własnym doświadczeniem zdobytą prawdę, że „tylko w pokrewnym środowisku możemy oddziaływać głębiej i trwalej". Ten wyraz miłości ojczyzny, wprowadzony do powieści z doskonale umotywowanym realizmem psychologicznym, podkreślony bardzo zwięzłym objaśnie-

niem autora, ograniczającym się tylko do nacisku na słowa: „w pokrewnym“, ma głęboką i szczerą wymowę, pozbawioną wszelkiego koturnu, lecz po prostu i naturalnie patetyczną.
W tychże pierwszych latach po powrocie Sieroszewskiego do kraju napisane opowiadanie o wycieczce do „Puszczy Białowieskiej“, poza pięknem opisów przyrody, zwraca uwagę charakterystyką tamtejszych „budników“. Mając zaś w pamięci, że rzecz była drukowana pod cenzurą carską, a podpisana nazwiskiem autora, którego działalność literacką śledzono zapewne ze szczególną troskliwością policyjną, dopatrywać się wolno tu i ówdzie intencyj ukrytych przed czujnością niepożądanych opiekunów, lecz dla ówczesnego czytelnika polskiego dostatecznie jasnych. Choćby w takim na pozór niewinnie wyglądającym zdaniu: „Ludność piękna; kobiety smagłe, kształtne jak sosny, mężczyźni żylaści i hardzi jak dęby“. Zdanie to, w którym od razu odczuwa się zadowolenie pisarza, że lud polski widzi mu się tak pięknym, nabiera głębszego znaczenia, gdy wziąć pod uwagę także zebrane w tymże opowiadniu informacje historyczno-obyczajowe, a zwłaszcza końcowe wspomnienie wycieczki. Oto, aby za życzliwość odwdzięczyć się Marcinowi, „zostawiliśmy mu — pisze Sieroszewski — „Potop“ Sienkiewicza. Trzy światy mieliśmy potem z tą książką, gdyż prawowały się o nią dwie wsie, pisały do nas skargi do Warszawy, że jedna drugiej dalszych tomów nie daje, że do bójek i pomstowań dochodzi. Aby budników pogodzić, musieliśmy im drugi egzemplarz powieści wysłać. Odtąd ucichło w Białowieży...“ Ten jeszcze jeden dowód popularności i oddziaływania trylogii Sienkiewicza był i dla Sieroszewskiego i dla jego czytelników dowodem narodowego uświadomienia ludu białowieskiego. To też widok „mężczyzn żylastych i hardych jak dęby“ rodzić musiał zrozumiałe nadzieje, tym

bardziej w myśli obserwatora, który jak Sieroszewski, był niezłomnym żołnierzem czynnej walki o niepodległość ojczyzny.
Oko artysty, po „tajgach" północnej Syberii, po zabajkalskich „urmanach", po puszczach Kaukazu, otrzymało w puszczy Białowieskiej „wrażenie leśne zupełnie nowe i niezmiernie zajmujące". Cały urok „tajgi północnej" wskazuje Sieroszewski „w jej smętności i jej bezmiarze". „Urmany" południowej Syberii „są to gniazda boru tak rosłego, zwartego i ciemnego, że mają pozór jakiejś olbrzymiej leśnej piwnicy". „Puszcza Kaukaska to znowu świat kontrastów, to śliczny gotyk, pełny mrocznych cieniów, smug światła i stłumionych barw". „Puszcza Białowieska uderza nade wszystko przedziwną harmonią rozmiarów drzew i światła przeborów". Puszcza ta „jest niezmiernie zieloną. Każda cząsteczka powietrza wydaje się nasycona tą zielonością, która spływa wraz z słońcem z umiarkowanie gęstego stropu, bije z dołu od bogatego podszycia leszczyny, jałowcu, od młodej porośli, od rozmaitych odmian traw, ziół, chwastów, od brudno-zielonych mchów i ciemnych, jak laur, plam jagodniku. Oko pławi się w tej zielonej powodzi, jak w ożywczym nektarze. A że drzewa skupiają się w duże, zwarte połacie jednego gatunku, więc spojrzenie wciąż odnajduje nowe kombinacje tonów, zarysów i perspektywy. Jest to niby cudowny poemat, bardzo spokojny, bardzo przejrzysty i bardzo swojski". W tym określeniu: „swojski", aczkolwiek już nie podkreślonym, powraca motyw uczuciowy z zakończenia opowiadania o wycieczce świętokrzyskiej w „Risztau". Oto jak świetny malarz puszcz egzotycznych odnajduje najbliższe jego sercu piękno w przyrodzie swej ojczyzny.
Pełną atmosferę swojszczyzny wydobywa wreszcie Sieroszewski w noweli: „Latorośle". Wrażenie wzmocnione nadto przez środowisko „kraju lat dziecinnych". W boga-

tej na ten temat nowelistyce polskiej jest to bowiem jedno z najpiękniejszych opowiadań o dzieciach. Sieroszewski wybornie się wczuwa w duszę dziecka i ze świetnym realizmem odtwarza świat zjawisk, spostrzeganych okiem dziecka i pojmowanych jego umysłem. Bohaterem noweli jest Piotruś, uważany przez dorosłych za „herszta do wszystkiego złego", w gruncie chłopiec, jak się to mówi, z charakterem, uczciwy i ambitny, a że pociągany tajemniczością nieznanego, więc poszukujący przygód w sferze zakazanej, czy to na strychu, pełnym „różnych rzeczy, wyrzuconych i zapomnianych przez starszych, z których dość kurz zdmuchnąć, aby odzyskały swą wartość", czy też w bardziej już ryzykownej wyprawie na wyspę wśród rzeki. Cała charakterystyka Piotrusia to nadzwyczaj subtelnie a jednak wyraźnymi i śmiałymi liniami narysowane studium psychologiczne. W silnych już skrótach ale z nieomylną plastyką opisu przedstawił autor młodsze rodzeństwo Piotrusia, jego surowego ojca i łagodną matkę, wreszcie nieodzowną w ówczesnym dworze ziemiańskim Madame Vauban, do której parę stanowi guwerner Niemiec Herr Niedemann. W krótkim epizodzie wydobywa Sieroszewski mocny kontrast z przygodnego zetknięcia Piotrusia z dzieckiem folwarcznym przy młocce, co służy niejako za przygotowanie do dramatycznego spotkania na wyspie z włóczęgą Walkiem, złodziejem pobytowym. Jest to bolesny rzut oka w krajowe „dno nędzy", świadomie wprowadzony zgrzyt na tle krajobrazu rzeczki „czarnej, sennej, ledwo poruszającej się między niskimi, błotnistymi brzegami obrosłymi blado-zielonym sitowiem, wysoką trawą, krzewami olszyny i pochyłonymi wierzbami".

W kilkanaście lat później szeroko namalowany krajobraz wsi polskiej rozwinie Sieroszewski jako tło wątku epickiego w powieści: „Zacisze". Tymczasem „Latorośle" są jedynym utworem nowelistycznym autora, którego akcja

dzieje się w Polsce. Znowu bowiem Sieroszewski, aresztowany w roku 1900, został zmuszony przez władze carskie do opuszczenia ojczyzny.

11.

NOWA WYPRAWA SIEROSZEWSKIEGO NA DALEKI Wschód, która pisarzowi przynieść miała świeże tworzywo egzotyczne, była podjęta pod przymusem „politycznym". Pisze o tym Sieroszewski w trzeciej z kolei książeczce wspomnień autobiograficznych pt. „Wśród kosmatych ludzi" (1926): „W roku 1900 u prof. Korzona żandarmeria rosyjska znalazła w czasie rewizji jakiś niefortunny list, gdzie wymienione były nazwiska Stefana Żeromskiego i moje. Na podstawie tego listu oskarżono nas ni mniej ni więcej jak o zorganizowanie wspaniałego pochodu robotniczego dookoła pomnika Mickiewicza w dniu jego odsłonięcia, oraz przypisano nam autorstwo płomiennej z tego powodu proklamacji. Pochód istotnie był wspaniały, a proklamacja bardzo piękna, lecz twórcami ich byli Józef Piłsudski i Stanisław Wojciechowski. Żandarmeria jednak tak była zachwycona jej „stylem", że uparcie dowodziła, iż pisać ją musiał jakiś literat. Zostałem więc osadzony w cytadeli a Żeromskiego ocalił jedynie krwotok, jakiego doznał w tym czasie. Zostałem wypuszczony za kaucją pod nadzór, lecz śledztwo ciągnęło się długo, wreszcie coś po roku doszło do mnie, że będę musiał „wrócić" do ojczyzny („na rodinu"), tj. do Irkucka, gdzie po spędzeniu 15 lat w kraju Jakutów zapisano mię do ksiąg mieszczaństwa". Perspektywa taka nie mogła być ponętna dla człowieka, który ledwo od kilku lat odzyskał prawo pobytu na ziemi rodzinnej i nadto właśnie się ożenił. Udał się więc Sieroszewski o pomoc do senatora P. Siemionowa, wice-prezesa Petersburskiego Towarzystwa Geograficz-

nego, którego autor dzieła o Jakutach był członkiem. Siemionow to — wbrew oporowi „Ochrany" — wyrobił Sieroszewskiemu prawo powrotu do Polski. Tym razem jednak napotkał na stanowczy sprzeciw. „Mój dostojny protektor — wspomina Sieroszewski — obiecał uczynić wszystko, co będzie w jego mocy, i w tym celu kazał sobie przedstawić moją sprawę. Po kilku dniach oznajmił mi ze smutną miną, że nic zrobić nie może, że generał-gubernatorstwo Warszawskie ma w sprawach politycznych „szeroką autonomię", że „żandarmeria tutejsza bardzo jest zawzięta na rodzinę Sieroszewskich i nie bez powodu". Tu pokazał mi wypis z Ochrany, gdzie poczynając od dziada Kajetana, szwoleżera 1812 roku i oficera wojsk „insurgenckich" z 30 roku, wyliczeni byli wszyscy „buntownicy" Sieroszewscy: stryjowie i ojciec mój w 63 roku, dwie siostry rodzone i brat stryjeczny w 80-tych latach, wreszcie ja sam w tym wianku scharakteryzowany jako „osobo uporstwujuszczij" i niebezpieczny. Czułem się „zdruzgotanym". — No, to nic!... My zrobimy tak!... — pocieszył mię zacny senator, widząc moje zmartwienie. — My interesujemy się obecnie Dalekim Wschodem. Zorganizujemy Panu do spółki z Akademią Nauk ekspedycję do Ajnów... Jest takie plemię na północnych wyspach Japońskiego archipelagu, ciekawe plemię kosmatych ludzi, bardzo podobnych do naszych chłopów... Pan tam pojedzie na rok albo dwa, przywiezie pan materiały, opracuje je... Wydamy książkę i znowu dostanie pan za nią powrót do ojczyzny, jak to raz już było za Jakutów!" Projekt senatora Siemionowa był w każdym bądź razie dużo korzystniejszy od powrotu do kraju wygnania. Nie było zresztą lepszego wyboru, po namyśle więc i walce z sobą, Sieroszewski się zgodził, postawiwszy tylko za warunek, że do pomocy będzie mu dodany „Bronisław Piłsudski, starszy brat Marszałka, przebywający na ów czas na Sachalinie w charak-

terze zesłańca politycznego. W ten sposób ekspedycja nabierała cech całkowicie polskich i w dodatku Bronisław Piłsudski władał doskonale ajnoskim językiem i był bardzo wśród Ajnów popularny, gdyż ich wspierał, bronił i otaczał opieką. Tytułowano go nawet żartobliwie: królem Ajnów..“ Warunek ten przyjęto i po półrocznych studiach przygotowawczych wyruszył Sieroszewski przez Mongolię, Mandżurię, Chiny, do Japonii. Wrażenia z tej podróży opisał w książce pt. „Na Daleki Wschód“, wydanej w roku 1904. Drogę „wielkim gościńcem syberyjskim“ przebył Sieroszewski, jako wysłaniec ekspedycji naukowej, w innych już oczywiście warunkach, niż przed laty z partią skazańców. W połowie czerwca 1903 roku znalazł się w Hakodate, największym porcie południowego wybrzeża wyspy Hekkaido (dawniej Jesso).

Pobyt w Hakodate przeciągnął się dłużej, z powodu zwłoki w przyjeździe Bronisława Piłsudskiego, którego wyjazd, wbrew rozkazom z Petersburga oraz z generał-gubernatorstwa Wschodniej Syberii, wstrzymywał gubernator sachaliński. Zanim więc odniosły skutek interwencje telegraficzne przez Petersburg i Irkuck, Sieroszewski „włóczył się po mieście i okolicach, zwiedzając świątynie, teatry, muzea“. Zatrzymał się zrazu w hoteliku japońskim, gdzie za jednego jena (dwa złote) dziennie dostał „maluchny, czyściuchny, wyłożony matami, pokoik; całe jego umeblowanie składało się z parawaniku, brązowej fajerki (hibaczi) oraz wiszącego na ścianie „kakemono“ z wizerunkiem stojącego żórawia. Stołowałem się — opowiada po latach Sieroszewski — w japońskiej restauracji, gdyż kosztowało o wiele taniej a paromiesięczny pobyt w Japonii już mię oswoił i z kuchnią japońską, i z obyczajami, i nawet z językiem. Porozumiewałem się doskonale za pomocą małego angielsko-japońskiego słownika; pokazywałem rozmówcy umieszczony obok każdego wyrazu chiński hiero-

glif, rozmówca kiwał głową, wciągał powietrze i momentalnie odnajdywał w tej samej książeczce potrzebny mu hieroglif, z tłumaczeniem w angielskim języku. Wszystko powiązane dźwiękami i gestami o wszechświatowym znaczeniu oraz tymi kilku słowami „pigeon'u", które każdy szanujący się Japończyk zna, bo ich w szkole uczą po angielsku — tworzyło malownicze rozmowy, niezmiernie wesołe i ożywione. Cały hotel, nie wyłączając gości, zbiegał się, aby ich słuchać a gdy odbywały się w sklepach momentalnie gromadziło się pół ulicy. Wszyscy gadali, wyrywali sobie moją książeczkę i śmiali się do rozpuku..."
Te sielankowe stosunki z ludnością przerwał konsul rosyjski Hedenström, który zażądał aby Sieroszewski przeniósł się z Hotelu do konsulatu, gdyż inaczej on nie odpowiada za bezpieczeństwo wobec rozpalającej się coraz gwałtowniej „nacjonalistycznej agitacji japońskiej". Przysłał ludzi i prawie gwałtem przeniósł Sieroszewskiego do siebie. „Było mi tam — wspomina Sieroszewski — bardzo wygodnie, ale dość... nudno. Między życiem i mną wyrósł od razu przykry mur; wczorajsi moi znajomi zbywali mię chłodnym powitaniem, wesołe „mus-me" (dziewczęta) nie uśmiechały się więcej, i gromady dzieci, które zwykle za małą opłatą z radosną wrzawą pomagały mi zbierać rośliny i żuki, znikły bez śladu... A Bronisław Piłsudski wciąż nie przyjeżdżał... Już przemyśliwałem o zastąpieniu go przez kogo innego, lecz tym innym mógł być tylko Japończyk, co komplikowało sprawę, gdyż Ajnowie uważają Japończyków za grabieżców swej ziemi... Nastała pora deszczów (jamase), przejmujący muson dął bez przerwy z Pacyfiku, a nisko płynące chmury zalewały nas nieskończoną powodzią. Doskonała pora do spisywania legend, bajek i wierzeń... Siedziałem w konsulacie i wściekałem się na przymusową bezczynność... By zapełnić czas, zbierałem rozmaite wiadomości od Japończyków..." W towarzystwie

Anglika Batchelora, misjonarza prezbiteriańskiego z Hekkaido, zwiedził Sieroszewski pobliskie osady ajnoskie nad Volcano Bay. Znalazł tam jeszcze dużo śladów starych wierzeń i obyczajów. Tu i ówdzie trafiały się wiórkowe fetysze, ale „wszystko to — opowiada Sieroszewski — jakoś kryło się wstydliwie lub znikało z chwilą pojawienia się Wielebnego Ojca. To samo działo się z mymi badaniami. Krajowcy opowiadali niechętnie i nieszczerze na moje „świeckie“ pytania, a i sam wielebny tłumaczył je w trochę dziwny sposób, właściwym mu stylem biblijnym. Bardzo był życzliwy dla moich poszukiwań, ale różniliśmy się niezmiernie w poglądach i dyskusje nasze, prowadzone częściowo po angielsku, częściowo po rosyjsku, gdyż Mister Batchelor znał ten język, nie doprowadzały do niczego. Wielebny szukał wszędzie śladów religii objawionej ludziom niegdyś przez Boga, zaćmionej i upadłej jedynie wskutek ich grzechów i zdziczenia, ja zaś widziałem przed sobą w wierzeniach Ajnów wspaniałe resztki wielkiego szamańskiego kultu, zdruzgotanego przez najście buddyzmu i konfucjanizmu. Mister Batchelor upierał się, że Ajnowie są rasą białą, która przybyła na ten południowy archipelag z Syberii przez Mandżurię i Koreę. Ja byłem skłonny szukać w tym tajemniczym plemieniu, tak bardzo różnym od otaczających żółtych i bezwłosych narodów, szczątków zaginionych pra-ludów, mieszkańców lądu zapadłego przed wiekami w głębi Oceanu Spokojnego Wschodniej Atlantydy. Mówiły o niej nie tylko głuche podania, lecz i badania geologiczne... Wymierające obecnie ludy, jak Koriacy, Kamczadale, Giliacy, Goldowie, a szczególnie Ajnowie, tak bardzo różnią się od swych obecnych sąsiadów, a tak wiele mają odpowiedników w obyczajach i powierzchowności wśród wymierających lub wymarłych ludów Ameryki, że mimo woli, powstawało w umyśle przekonanie o bliskiej i łatwej w dawnych czasach łącz-

ności między obydwoma kontynentami za pomocą mostu zaginionych obecnie wysp, może nawet lądów. Jeżeli na tych ziemiach mieszkały jakieś narody, to Ajnowie bezwarunkowo byli ich pozostałością. Wykrycie, na ile to przypuszczenie jest prawdopodobne, było moim zadaniem". Zjawił się nareszcie z niecierpliwością oczekiwany Bronisław Piłsudski, wyborny znawca i zasłużony badacz życia Ajnów. „Wesoły, ożywiony, — wspomina Sieroszewski chwilę spotkania z nim — opowiadał mi niezmiernie zabawnie, jaki popłoch wśród urzędników Sachalinu wywołał kategoryczny rozkaz z Petersburga wydania mu zagranicznego paszportu: „Są przekonani, że to jest polska intryga i że pan nie jest Sieroszewskim, lecz moim bratem Józefem, wielkim rewolucjonistą, który tu po mnie przyjechał!... Nie śmieli się jednak dłużej opierać, i oto jestem!... Piłsudski wziął też ze sobą sachalińskiego Ajna Toroncjego, który umiał czytać i pisać po japońsku, służył więc za tłumacza i ułatwiał stosunki z władzami japońskimi. Odtąd rozpoczęły się systematyczne badania naszych podróżników „wśród kosmatych ludzi". W tym celu wyruszyli oni na wschód w poszukiwaniu osiedli, gdzie najsłabiej docierały wpływy japońskie. Badania etnograficzne ułatwiła zawarta przez Piłsudskiego w Hakodate znajomość z przybyłym tam Ajnem Spańram Nomura, którego chata we wsi Siraoj na wschód od Mororanu stała się dla wyprawy dobrym punktem oparcia. O Spańramie i Ajnach siraojskich obszernie i barwnie opowiada Sieroszewski we wspomnianej już książeczce pt. „Wśród kosmatych ludzi". Stosunki te i studia niechętnie były jednak widziane przez władze japońskie, które poddanych rosyjskich podejrzewały o zamiary wywiadowcze. W Japonii przygotowywano się bowiem do wojny z Rosją, do wojny, która niebawem miała stać się niespodzianką dla całej Europy. W atmosferze więc nastrojów wojennych

obawiano się, że pod pozorami wyprawy naukowej ukrywać się mogą inne cele. Wreszcie pewnego dnia, gdy polscy podróżnicy zajęci byli układaniem dalszego planu swych badań, zaskoczyło ich przybycie gońca rządowego, który podał im dużą opieczętowaną kopertę. Było to pismo od konsula rosyjskiego z Hakodate, który zawiadamiał, iż mają natychmiast przerwać ekspedycję i wrócić do Tokio.

Naukowy charakter podróży wschodniej Sieroszewskiego był, jak i cała ta podróż, narzucony przymusem. Gdyby podjęte przez niego w tych warunkach studia etnograficzne nie były przerwane wskutek wojny, zostałyby niewątpliwie uwieńczone nowym dziełem naukowym, choćby dlatego, że dzieło to miało mu dać prawo powrotu do ojczyzny. Powrót ten przyśpieszyła zbliżająca się wojna rosyjsko-japońska, w której przededniu drogą morską na Cejlon przedostał się Sieroszewski do Europy. Obserwacje zebrane podczas tej wyprawy w Mandżurii, Chinach, Korei, Japonii i na morzach, które wtedy zjeździł, dały pisarzowi nowe i bogate tworzywo egzotyczne, wyzyskane w książkach wówczas pisanych i w szeregu utworów późniejszych. Już w roku 1902 wydał Sieroszewski tom „Powieści chińskich", zawierający trzy utwory: „Uang-Ming-Tse" („Bokser"), „Kulisi" i „Jang-Hun-Tsy" („Zamorski Diabeł"); następnie w roku 1903 nowelę syberyjską: „Powrót" oraz w roku 1904 pod pseudonimem K. Bagrynowskiego w Monachium wcześniej już tu wspominaną powieść: „Ucieczka", osnutą na syberyjskim wątku autobiograficznym; w tymże roku poprzednio przytaczane „kartki z podróży": „Na Daleki Wschód" i obszerne dzieło krajoznawcze: „Korea (Klucz Dalekiego Wschodu)"; wreszcie w roku 1906 powieść koreańską: „Ol-Soni-Kisań", uzupełnioną dwoma opowiadaniami: „Przepowied-

nia Wernyhory" (obrazek z życia czeladników ślusarskich) i „Sclavus saltans" (wspomnienie z Syberii).

Tymczasem nadchodzi rewolucyjny rok 1905. Sieroszewski bierze żywy udział w ruchu wolnościowym. Z chwilą wybuchu strajku powszechnego w dniu 27 października, Sieroszewski — według relacji Michała Sokolnickiego — „owładnął redakcją „Kuriera Porannego" i zadeklarował nieoddawanie nadal tego wydawnictwa do cenzury prewencyjnej. Tam, w „Kurierze Porannym", pojawiły się pierwsze rewolucyjne wypowiedzenia i deklaracje rozwijającego się ruchu". Jako delegat dla pertraktacji z działaczami rosyjskimi jeździł też wtedy Sieroszewski z Warszawy do Moskwy i Petersburga. Latem 1906 roku przybył na krótko do Nałęczowa. W swym pamiętniku „Czternastu lat" opowiada Sokolnicki o wycieczce krajoznawczej do Kazimierza nad Wisłą, na którą z Nałęczowa wybrali się razem z Daniłowskim, Sieroszewskim i Żeromskim: „Po drodze przystawaliśmy, aby patrzeć na Wisłę skrętami w tym miejscu tak ładną, spoglądać w korony mocarnych przedwiekowych drzew. Żeromski opowiadał to wesołe, to smętne rzeczy z przeszłości. Sieroszewski, porywczy i zapalczywy, bezpośredni i chłonący naturę jak napój coraz to zatrzymywał się przed otwartym z różnych stron światem prapolskiej przyrody i wybuchał falami zachwytu". Toczono rozmowy o sprawach krajowych, w ich ocenie wszyscy byli zgodni, ale każdy objawiał to inaczej: „Sieroszewski się gniewał i pomstował". Nie mógł już zresztą jawnie przebywać w kraju. Aresztowany bowiem dwukrotnie i zwolniony pod naciskiem zrewolucjonizowanego ludu warszawskiego, aby uniknąć nowego uwięzienia i grożących mu konsekwencji, przeniósł się do Galicji, głównego schroniska rewolucjonistów polskich z roku 1905. Uczestniczy tam nadal w pracach podejmowanych i organizowanych przez Józefa Piłsuds-

kiego. Współpracuje m. in. w wydawanej w Krakowie „Trybunie“, organie rewolucyjnego ruchu niepodległościowego. Z niepożytą energią zabiera się do twórczości literackiej. Latem 1907 roku, bawiąc w Abacji, napisał powieść syberyjską: „Małżeństwo“. Na dłużej osiada wraz z żoną w Zakopanem, w małym skromnym domku przy ulicy Zamoyskiego. Należy do pierwszego wydziału założonej w Zakopanem z inicjatywy Żeromskiego pierwszej organizacji literatów pod nazwą: „Towarzystwo Pisarzy Polskich“. W Zakopanem napisał Sieroszewski dwa opowiadania: „Tułacze“ (w lutym 1908) i „Być albo nie być“ (w maju 1908), z życia wygnańczego i więziennego, oraz powieść: „Jak liść jesienny...“ (ukończoną w listopadzie 1909), osnutą na tle wspomnień podróży morskiej z Dalekiego Wschodu przez Cejlon do Europy. Powieść tę wydał w roku 1910 w tomie pt. „Z fali na falę“, zawierającym nadto piękny opis „Japonii w zarysie“ i cykl nowel japońskich. „Harakiri księcia Asano Naganori“, „O-Sici“, „Pojednanie“, „Widmo Sakurskie“ i „Ingwa“, do których dopiero w roku 1926 przybędzie powieść japońska: „Miłość Samuraja“. Osobną pozycję literacką z tego okresu stanowi tom „Bajek“, złożony z czterech utworów: „Przygoda tygrysa“, „W ruinach“, „Inwalidzi“ i „Dary wiatru północnego“.

12.

W „KARTKACH Z PODRÓŻY“ „NA DALEKI WSCHÓD“ spisał Sieroszewski na gorąco swe bezpośrednie wrażenia z „wielkiego gościńca syberyjskiego“, z Mandżurii, Chin i Japonii. Z właściwą sobie bystrością spostrzeżeń i z głębokim zrozumieniem wniknął w psychikę ludów wschodnich, ostro prześwietlił ich struktury społeczno-obyczajowe, rozwinął barwną panoramę obrazów przyrody i życia

egzotycznego. Ujął to wszystko w sposób bardzo żywy i niezmiernie ciekawy. Jak trafnie zauważono, „nie jest to suchy elaborat uczonego podróżnika, to raczej pamiętnik artysty o rzeczach zwykłych, czasem bardzo realnych, to znów pięknych, o tych, które umierają i gasną, i tych, które się rodzą". Poprzez odpowiednio dobrane szczegóły albo w związku z jakimś konkretnym zdarzeniem, choćby na pozór błahym, ale charakterystycznym, odsłania Sieroszewski rozległe perspektywy widzenia, ogarniające całość zagadnień krajoznawczych czy sięgające w głąb zjawisk społecznych lub spotykanych jednostek ludzkich. Podobnie i w książce o „Korei", choć jest to już systematycznie, naukowo opracowany opis krajoznawczy, bez żadnej szkody dla jego obiektywnej wartości coraz przychodzi do głosu osobista myśl autora albo subiektywna wrażliwość artysty. Z jakim zaś talentem łączy Sieroszewski zainteresowania badacza z pięknem artystycznego odczucia, świetnym tego przykładem zwięzły szkic „Japonii w zarysie".

Inaczej, niż w powieściach syberyjskich, w których postacie krajowców żyją w pierwotnych, pół-dzikich warunkach kulturalnych, kształtuje się w powieściach wschodnich stosunek autora do społeczeństw o dawnych i bogatych tradycjach historycznych. Zupełna odrębność tego świata wprowadza do opisu nieuniknioną stylizację. Nie zżył się tutaj Sieroszewski z ludnością miejscową w sposób równie bezpośredni, jak ze swymi Jakutami. Mimo to, umiał na tyle zjednać sobie zaufanie, aby dotrzeć do prawdy człowieka. Poszukuje jej przede wszystkim na nizinach społecznych, wśród upośledzonych. „Bokser" z noweli pod tym tytułem to powstaniec chiński z wiejskiej zagrody, dla miłości ojczyzny wyruszający na walkę z przemocą „białych" cudzoziemców, którzy pod pozorami cywilizowania gwałcą tradycje narodowe, wprowadzają

wyzysk i szerzą demoralizację. Walka bokserów, dążących do wyzwolenia kraju spod wpływów europejskich, jest przedmiotem powieści o „Zamorskim diable", w której akcję wplątane są losy młodziutkiego Polaka. W ramach wręcz sensacyjnej fabuły i w starciach z otoczeniem hartuje się charakter młodego bohatera. Moralny sens powieści streszcza się jednak w słowach, którymi żegna Polaka uczeń Lień: „każdy naród ma swą dolę i swój kraj: Pozwólcie każdemu żyć, cieszyć się i zarządzać po swojemu". Łatwo odczuć aluzję do ówczesnych stosunków polskich, co w autorze budziły tym serdeczniejsze współczucie z wyzwoleńczym ruchem chińskim, ale bynajmniej mu nie przesłaniały tamtejszego „dna nędzy". W „Kulisach" odtworzył ze wstrząsającą grozą byt żółtych niewolników, najmitów, wyzyskiwanych przez przedsiębiorców, padających ofiarą niesprawiedliwości społecznej. Proletariacka niedola dwóch potulnych braci Szaniów, którzy w poszukiwaniu pracy opuścili rodzinną wieś, nawiedzioną klęską suszy, „szli głodni i nadzy od wsi do wsi, od miasta do miasta", „przepłynęli ocean, byli w setkach miast, przebyli koleją tysiące mil i przeszli nie mniej piechotą, lecz wciąż mieli dokoła siebie straże, rygle, kraty, i wciąż gdzieś w pobliżu nich świstał bat lub pałka", całe to ich nie zawinione męczeństwo otrzymało w opowiadaniu Sieroszewskiego wymowę w swej rzeczowej prostocie niezwykle mocną. Sprawa niewolnictwa występuje także jako jeden z motywów powieści koreańskiej: „Ol-Soni-Kisań", złagodzona jednak przywiązaniem starego sługi do swego pana i tegoż osobistym położeniem człowieka skrzywdzonego przez rodzinę. Tematem tej powieści jest walka młodego pokolenia z zacofaniem starej, zakrzepłej cywilizacji, w swym porywie reformatorskim krwawo stłumiona przez obskurantyzm. Na tym tle pokazany inny aspekt cywilizacyjnego wpływu

Europejczyków, na dystansie półironicznego uśmiechu wydobyte kontrasty poglądów, barwnie odmalowany obraz obyczajów. W tytułowej postaci tancerki Ol-Soni stworzył Sieroszewski pełną egzotycznego uroku i osobistego wdzięku, na wskroś kobiecą indywidualność. Również przyroda w powieściach chińskich Sieroszewskiego występuje w odrębnym kolorycie swego egzotyzmu, stanowiąc organiczny składnik naturalnie stylizowanej całości. Oto np. wstępny obraz z „Boksera“: „Słońce zachodziło nad doliną Juań-mo-tzi. Miedziane jego światło ślizgało się łagodnie po kwitnących wzgórzach i rzucało tu i ówdzie na uprawne ich stoki długie cienie od przysadzistych drzew pomarańczowych, od smukłych, wachlarzowatych palm i wysokich, drżących bambusów. Z powiewami ciepłego wiatru płynęły nad okolicą szmery ciche, srebrne i jednostajne, gdyż była to pora spuszczenia wody z górnych pól ryżowych na dolne. Wszędzie więc lały się jej potoki. Blado przebłyskiwały one na tarasach pagórków spod jasnych aksamitów osuszanych runi ryżowych, spod ciemnych szczotek trzcin cukrowych; w biegu rozświetlały na pochyłościach gąszcze gajów, gdzie kwitły żółte i karminowe azalie, gdzie zwieszały wiotkie gałęzie krociowe cienie łojowe, podobne do brzóz. Coraz szerzej rozlewały się wody w dole wśród rudych, świeżo spulchnionych pól, tworząc plamy i smugi błękitno-srebrne. Pod niebem pogodnym ta ziemia jasna, szmaragdowa, przetkana połyskliwymi nićmi i płatami wody, podobna była zaiste do bogatej, wzorzystej, lśniącej łaki chińskiej“. Albo z „Ol-Soni-Kisań“ opis „zwycięskiej, rozwichrzonej wiosny“: „Doliny zieleniały, oziminy w wielu miejscach już zwijały się w dutkę, pęki kwiatów — żółtych, czerwonych, fioletowych, białych — niby języki podziemnych ogni, tryskały z przydrożnej murawy. Ciemne gaje sosnowe połyskiwały młodą śniedzią pędów smolistych. Konary ogrom-

nych kasztanów, opłynięte dymem różowego kwiecia, zionęły zapach słodki, mocny, niby wielkie kadzielnice ziemi. Stalowe gałązki drobno-łuszczastych ilm obrastały blado-zielonym puchem. Błękitny blask, bijący od nieprzejrzanych pól różowych, zalanych wodą, rozświetlał niebo, ziemię, powietrze i gaje, topiąc kolorowe plamy chmur siwych, niebosiężnych wiszarów, kępy drzew, zieleń rozłogów i bukiety kwiatów w powodzi jasnej i lśniącej poświaty. Wielkie, czerwonolistne klony gorzały wśród blado-zielonych lasów, jak ogromne ogniska. Z dziobów skał, niby z nachylonych dzbanów lały się zimne, kryształowe potoki pieniących się wód i ginęły rozbite w tęczowych mgłach przepaści. Srebrne węże rzeczułek i niezliczonych kanałów sunęły z szelestem w łożyskach. Wśród wód, wśród pól majaczyły ogromne kapelusze, pochylone, brązowe plecy pracujących pół nagich wieśniaków lub kołysały się nisko nad zagonami jaskrawe chusty i kaftany ich żon i córek. Po drogach i ścieżynach ciągnęły sznury przechodniów w białych powłóczystych szatach i czarnych, przejrzystych cylindrach. Skrzypiały nieliczne wozy, szły rzędy objuczonych wołów i koni". Wreszcie zwięzły lecz plastyczny obraz wsi z „Kulisów". „Wieś od wieków objęła w swe posiadanie brunatne, gliniaste urwiska nad potokiem Guań-cho i podziurawiła je aż pod szczyt oknami i drzwiami swych pieczar mieszkalnych. Z daleka góra wyglądała, jak ogromna kolonia grzebieluch-jaskółek. Mieszkańców jej jaskółcza łączyła zażyłość i jaskółcze obyczaje. Za lada sygnałem roje ich wysuwały się z otworów i kupiły się na gzymsach i mostkach powietrznych, zastępujących schody i ścieżki. Obrona tych sadyb była łatwa przed łotrzykami, których wszędzie wałęsa się dużo, szczególniej w latach klęski, i powódź najgwałtowniejsza nie dosięgała ich nigdy".

Inaczej wygląda krajobraz Japonii („Japonia w zarysie"): „...Japonia jest rajem malarzy i roślin. Drzewa nie dorastają wprawdzie tych rozmiarów, co w Indiach, ale za to mają o wiele rozmaitsze, indywidualniejsze kształty. I na nich jednakże odbija się ten wieczny ruch wody, powietrza i ziemi, jaki panuje w Japonii. Potężne, szeroko rozstawione korzenie mocno czepiają się gruntu, lub oplątając skały, wpełzają w ich szczeliny jak macki mątwy. Pnie niezwykle grube, nieraz skręcone jak liny, dźwigają mocarne, fantastycznie powyginane konary oraz skołtunione korony, podobne do dymów albo raczej zielonych płomieni życia, tryskających gwałtownie ku górze wbrew burzom i wstrząśnieniom, wbrew powodziom i piorunom. Każde drzewo wydaje się tu namiętną pieśnią triumfującego życia, a lasy — jego zwycięskim hymnem, a kwiaty — jego uśmiechem... Kto widział pachnące drzewa kamforowe, rozdarte na potężne odnóża z węzłowatymi gałęziami, pogiętymi jakby w przejmującym dreszczu, z bladym, delikatnym, złoto-zielonym uliścieniem, wciąż drżącym w podmuchach wichrów, ten zrozumie, dlaczego drzewo to jest uważane w Japonii za symbol zwycięskiej miłości, dlaczego w ich spękane rosochy rzucają ofiary kobiety bezpłodne lub niekochane... Kto widział szeregi niebotycznych kryptomerii (sugi) z szarawymi pniami, jak bazaltowe kolumny, z ciemnym, posępnym igliwiem niewielkich koron, ten zrozumie, dlaczego drzewo to jest drzewem nadgrobnym niezłomnych samurajów o twardych pancerzach, stróżów wolności japońskiej... Kręta, sękata sosna japońska, jakby zrywająca się, by ulecieć wraz z wiatrami, jest obrazem ducha przykutego do ziemi... Olbrzymi, złoty cypryso-cedr (hinoki), pyszny materiał budowlany, który nie próchnieje, nie poddaje się robactwu i trwa wieki, wysmukły, giętki bambus, rdzawo-listy klon, wierzba płacząca, lekki i dźwięczny „kiri" z obwisłymi,

jakby zwarzonymi liśćmi, dzikie kasztany, dęby, brzostowica (kejaki), morwy, jabłonie, brzoskwinie oraz moc innych krzewów i drzew składa się na te potoki lasów, opływających zbocza gór japońskich... Na łąkach i polach tysiące jaskrawych kwiatów, a koło domów ludzkich całe ich ogrody... Wiszące sady liliowych glicynii, całe pola irysów smukłych, aksamitnych, z kielichami przewiązanymi zręcznie, jak „obi" dziewcząt japońskich, grzędy peonii o bladych barwach i płatkach niezmiernej delikatności, białe i rubinowe kamelie, granaty jakby krwią skropione, srebrzyste bule lotusów, pływające po czarnych wodach, ledwie dostrzegalnych spod wielkich, płaskich lotusowych liści; chryzantemy blade i rozwiane —

...jak dusze czułe, słodkie, ale nie kochane...

A ponad wszystkim góruje wiśnia, osypana blado-różowym kwieciem, niby świeżym śniegiem, symbol wiośnianych uczuć, o którym rzekł poeta japoński, Motoori Norinaga:

Jeśli się spytasz
O serc japońskich tajniki,
Wskażą ci wiśni kwitnącej
Kołyszące się w słońcu okiście...
Jasne i wolne są one —
Takim jest serce japońskie!...

Dusze ludzkie są odbiciem ich otoczenia. Z niego biorą barwy, kształty, ozdoby swych ubiorów, narzędzi, naczyń, świątyń i domów, z niego czerpią modele swych uczuć i upodobań. Uśmiech wesoły, łagodny lub żałosny, z jakim Japończyk spotyka wszystkie przygody swego życia, mógł powstać w tej jedynie krainie, gdzie śmierć i rozkosz tak blisko sąsiadują z sobą, gdzie pogoda umysłu wspiera się na twardej, zimnej jak stal pewności spełnienia w chwili

odpowiedniej swego obowiązku...“ W pięknie stylizowanych nowelach japońskich dał Sieroszewski dobrze skonkretyzowane przykłady rozmaitych aspektów duszy japońskiej. Wielkoduszny potomek sławnego rodu książąt Asano, szesnastoletnia O-Sici z sercem rozdartym, czy zbuntowany chłop Sogoro jednakowo niezłomne mają charaktery, pomni że „człowiek przemija jako mgła, a jego czyn trwa, jako opoka“. Jakże zaś subtelnie wypadły uczucia miłosne wspomnianej O-Sici, rozwiedzionych małżonków Baisu w pastelowym obrazku „Pojednania“, czy pięknej Misawy i Takea z „duszą rozbitą“ w opowieści pt. „Ingwa“. Życie japońskie odtworzył Sieroszewski z wnikliwym odczuciem bohaterskiego heroizmu mężczyzn i wzruszającego swą naiwną prostotą wdzięku kobiet. Właściwa Sieroszewskiemu trzeźwość wyobraźni znalazła w tych wątkach materiał bardzo podatny do obiektywnego, zgodnego z realizmem środowiska i charakterów, przedstawienia hartu życiowego i etycznej wzniosłości w ramach osobistego poglądu autora na świat. Psychologicznie i etnograficznie umiał on w swoje postacie wcielić autentyczne typy japońskie i odmalować je z tak dobrym wniknięciem w obcy pisarzowi świat, że nowele japońskie Sieroszewskiego porównywano z akwarelami wielkich artystów japońskich. Należy tu również późniejsza „Miłość Samuraja“, historyczna powieść przygód na tle upadku feudalizmu w XVIII wieku, o błędnym rycerzu japońskim i o dozgonnej miłości dwojga kochanków. Czytając tę powieść odnosi się wrażenie, jakby to był wierny przekład autentycznego oryginału japońskiego.

Wrażenia krajobrazu Japonii i Cejlonu najszerzej — poza opisami podróżniczymi — rozwinął Sieroszewski w powieści: „Jak liść jesienny...“ Głównym wszelako jej wątkiem życie na morzu, przedstawione w ramach bardzo oryginalnie pomyślanej i ciekawie przeprowadzonej fabu-

ły, będącej zresztą tylko pretekstem do obrazu na pokładzie jednego statku stłoczonej współczesnej ludzkości cywilizowanej z różnymi jej jawnymi i ukrytymi nieprawościami. Pokazany tu został jeszcze jeden aspekt Dalekiego Wschodu, od strony międzynarodowej „eksploatacji“. Wpleciony w tło wątek romansowy naiwnego uczonego Polaka z przygodnie spotkaną Polką, międzynarodową kurtyzaną, wytrzymany z wybornym realizmem, ale zręcznie osnuty mgiełką idealizmu, zawiera także pełne naturalnego liryzmu epizody tęsknoty za ojczyzną. Świetne są charakterystyki poszczególnych osób; wzajemne między nimi stosunki rozwijają się po prostu, nie brak jednak sytuacyj o mocnej wymowie obyczajowej albo psychologicznej; całość, żywo uruchomiona i barwnie urozmaicona, swobodnie się układa wzdłuż osi kompozycyjnej o dobrym napięciu epickim.

Od tej współczesnej powieści międzynarodowej, w którym to rodzaju ta jedyna próba Sieroszewskiego, związana zresztą i z tłem egzotycznym i z wybornymi opisami przyrody, doskonale się udała, przeskok duży do wydanego bezpośrednio przed tomem: „Z fali na falę“ zbioru utworów powieściowych na tle wspomnień syberyjskich i więziennych. Odrębną uwagę zwraca „Małżeństwo“, wspaniała sielanka miłosna wśród przyrody syberyjskiej, po mału przechodząca w dramat, wynikający z wewnętrznego konfliktu psychologicznego u kobiety postawionej między dwoma krańcowo różniącymi się typami mężczyzn, z których jednostka czynna i energiczna zwycięża marzyciela, usuwającego się dobrowolnie, ale niewidzialnie wpływającego na losy dwojga pozostałych wygnańców. W powieści tej odzywają się zręcznie wprowadzone odgłosy sporów politycznych, toczą się dyskusje nad sprawą zachowania dusz, rozważane są aktualne i wieczne zagadnienia ludzkie, atoli najwięcej miejsca zajmują nie-

porównane obrazy przyrody, a w śmiało postawionym wątku romansowym główny nacisk został położony na psychologii. Charakter studium psychologicznego przeważa również w opowieści więziennej pt. „Być albo nie być“, do której weszło sporo momentów osobistych, skoro np. wspomnienia dworu rodzinnego Zaremby znajdą się powtórzone bez zmiany w jednym z późniejszych artykułów autobiograficznych Sieroszewskiego. Trafnie jednak zauważył J. M. Muszkowski, że „poprzez subiektywne ujęcie zjawisk z życia własnego i najbliższych mu duchem ludzi — wywalczył sobie Sieroszewski obiektywizm rozległy, zdobyty czy to w znoju badań naukowych, czy też w bezpośrednim obcowaniu z naturą. Posiadł tę przedziwną tolerancyjność i wstrzęmięźliwość w wartościowaniu zjawisk, która jest udziałem największych pisarzy“. W osobowości Sieroszewskiego splatają się poniekąd rozbieżne typy męskie z „Małżeństwa“: jak Mirski „nie wyobraża sobie wprost życia bez pozytywnej pracy“ i razem z Zerowiczem zachwyca się poezją Leopolda Staffa, „wielkiego przyjaciela udręczonych, buntowniczych serc“ — łączy w sobie Sieroszewski trzeźwość realisty z idealizmem marzyciela.

Bardziej pogodna atmosfera życia w Zakopanem, gdzie wieloletni wygnaniec i tułacz znalazł swe chwile wytchnienia, pozwoliła też rozwinąć się humorowi pisarza. Objawem tego są „Bajki“, napisane dla starszych dzieci, ale pozbawione tendencji moralizatorskiej, tylko na podstawie pomysłowo rozwiniętych wątków fantastycznych budzące młodą myśl do krytycznego myślenia, a wyobraźnię kierujące do tęsknoty za „krajem szczęśliwym“, w którym wszystkim ludziom i stworzeniom będzie dobrze „jak w raju“. Malarz przyrody daje tu piękne opisy ruin i krajobrazu tatrzańskiego. Zupełnie nowe i bardzo świeżo ujęte są charakterystyki zwierząt, zaprawione świetnym ko-

mizmem, czy to w samym opisie, czy też w sytuacjach, zwłaszcza w kapitalnej scenie sądu w „Inwalidach". Ale i w tej bajce idzie o sens moralny, aby zrobić z Polski „taki kraj, w którym dzieci od młodości mają wszystko, co potrzeba, uczą się, rosną, siły zbierają, aby jak przyjdzie czas, mogli odrobić wszystko ludziom z nadmiarem". I „aby w tej Polsce starzy ludzie i nawet stare, spracowane zwierzęta miały na koniec życia po trudach wygody i wypoczynek..." Tymczasem jednak, jak w „Darach wiatru północnego", trzeba było najpierw walczyć z wrogimi siłami o wyzwolenie uwięzionej królewny.

13

SIEROSZEWSKI BIERZE CZYNNY UDZIAŁ W AKCJI Józefa Piłsudskiego, w jego przygotowaniach do zbrojnej walki o niepodległość. W roku 1910 przenosi się do Paryża. Ćwiczy się do przyszłej służby żołnierskiej w tamtejszej sekcji Związku Strzeleckiego. Jednocześnie zajmuje się nadal pracą literacką. W Paryżu pisze powieść z życia polskiego: „Zacisze" (wyd. 1913), nowelę syberyjską: „Jak Gryf-Mostowski budował młyn" (pis. 1913), wreszcie wielką dwutomową powieść historyczną: „Beniowski (ukończył w maju 1913 roku) i „Ocean" (ukończony w kwietniu 1914 roku), wydaną dopiero w latach 1916 i 1917.

Na paryskim bruku myśl pisarza zwraca się do „kraju lat dziecinnych". Z tych wspomień na tle wakacji letnich w dworze ziemiańskim rozwija się rozległy obraz epicki wsi polskiej w dobie rezygnacji narodowej po powstaniu styczniowym. Wciąż jeszcze są żywe tematy sprawy, które we wspomnieniu pani Rwęckiej były „jakieś słodkie i okropne, malowane złotem i krwią", ale już zdarły się serca ludzi ówczesnych, bo „żeby wytrzymać w naszych warunkach, trzeba albo mieć hart stali, albo obojętność

kamienia..." Słowa te mówi żona powstańca, który w prawdzie zachował w sobie bujność temperamentu, ale sam stał się życiowym bankrutem, wykolejeńcem niezdolnym do przystosowania się, swą potrzebą walki o „cele dalekie, pozornie nieraz niedosięgłe" wyładowującym w poszukiwaniu byle jakich, nieraz moralnie bardzo wątpliwych przygód. Charakterystykę Rwęckiego odtworzył Sieroszewski z doskonałym realizmem i na rozległym planie psychologicznym, ogarniającym stosunek portretowanego człowieka do spraw publicznych i osobistych, w każdym wątku i szczególe pokazanego w swej nagiej prawdzie, a przy tym bardzo subtelnie wycieniowanego. Ujawnia się to zwłaszcza w sprawie małżeńskiej obojga Rwęckich, którą autor umiał z jednakowo wynikliwym odczuciem pogłębić z dwóch różnych aspektów, czyli i od stronny lekkomyślnego męża, i od strony cierpiącej żony, ale i ze spóźnionej miłości Rwęckiego do młodej Zosi wydobywa bogatą skalę kolorytu uczuciowego, a w szeregu innych epizodów, czy to w opowiadaniu Rwęckiego o powstaniu, czy też w pięknym opisie jego jazdy konnej, cała ta skomplikowana postaś występuje nadzwyczaj plastycznie i żywo. Na tle ogólnej atmosfery, w której idea pracy pozytywnej poczyna wytwarzać nową filozofię niewoli i nowy typ czcicieli potęgi, osoba Rwęckiego w swym duchowym załamaniu tym tragiczniej się objawia. Młodzi jednak, których wakacyjne dzieje są głównym wątkiem powieściowym „Zacisza", właśnie w Rwęckim widzą i mają swego sojusznika. Życie młodzieży autor „Latorośli" odmalował w kapitalnych obrazach, pełnych ruchu i lśniącej barwności, z tego jednak tła coraz odsłaniając nowe widoki psychologicznego poznania. Podobnie i z tła społecznego, którym jest „wieś do dworu nieufna i nieprzychylna", z zatargu z gromadą chłopską o serwitut leśny, z postawionej na dalszym planie sprawy żydowskiej, wreszcie

z ingerencji władz rosyjskich, od komisarza włościańskiego aż po widok sotni Kozaków na drodze do Zacisza, wydobył Sieroszewski mocną w swym ponurym tonie wizję ówczesnego życia codziennego wsi polskiej. Powieść Sieroszewskiego, skomponowana przy tym w tyleż wszechstronnym co i dobrze związanym wątku epickim, w swoim czasie niesłusznie przeoczona nie doceniona, jest w naszej literaturze jednym z najlepszych na temat tej epoki utworów realistycznych. Takie zaś jej epizody, jak jazda do kościoła, łowienie ryb w stawie, albo wyprawa Kazia na Sobień, należą do najpiękniejszych opisów wsi polskiej, której krajobraz odmalował też Sieroszewski z właściwą sobie bystrością widzenia. Oto dla przykładu znowu jeden z tylu mistrzowskich u tego pisarza widoków przyrody: „Dzień był śliczny — cichy, ciepły, perłowy. Niebo, pełne jasnych chmur, zwisało nisko nad polami, jakby się chciało do nich przytulić. Blade lasy i gaje wtapiały się łagodnie w mglistą dal, w widnokręg, bez błysków, bez cieni, gdzie ciemniejsze, wyrazistsze plamy tworzyły jeno dęby i grusze samotne na miedzach. Smugi słońca, przesiąkające tu i ówdzię przez obłoki, srebrzyły przelotnie łany wykłoszonych zbóż blaskiem rozstrzelonym, rozpylonym i perlącym się na brzegach i wąsach źdźbeł, jak świeżo spadła rosa. Daleko w płaskim wądole wśród żółtawych piachów wiła się modra rzeka". Jeden z młodocianych bohaterów „Zacisza", Kazio Piotrowski, zaciekawia nas dodatkowo, jako postać poniekąd autobiograficzna. W epilogu powieści daje Sieroszewski pośrednie wyjaśnienie swej decyzji, gdy młodym chłopcem, jak ów Kazio Piotrowski, postanowił wstąpić do terminu ślusarskiego, aby czynnie zaświadczyć o tej wewnętrznej potrzebie pokolenia ówczesnego, której klimat duchowy odtworzył także Wacław Berent w „Fachowcu". Był to odmienny, niż u starszego pokolenia radców Domańskich

z „Zacisza", aspekt pozytywizmu, od strony młodych pokazany również w „Zaciszu", bądź to poprzez ich zainteresowania umysłowe, bądź przez organizowanie tajnego nauczania ludu, bądź też przez bezpośrednią pracę w rzemiośle, co zdawała im się otwierać nowe drogi czynu narodowego. Zresztą „Zacisze" zawiera duże bogactwo związanej z epoką problematyki.

Mimo posępności tła dziejowego, dominujący w „Zaciszu" żywioł młodości nadał powieści koloryt wbrew wszystkiemu jasny. Naturalną prostotą i żywym humorem odznacza się również w tymże czasie napisane opowiadanie syberyjskie: „Jak Gryf Mostowski budował młyn". Głównym wszakże dziełem Sieroszewskiego z tego okresu i w ogóle jego najszerzej zakrojonym utworem epickim jest powieść o „Beniowskim". Jej część pierwsza to jakby szczytowa synteza cyklu syberyjskiego autora. Druga część powieści: „Ocean" w ramach doskonale zespolonych wątków przygody i morza dała Sieroszewskiemu rozległe i wszechstronne wyzyskane pole do przedstawienia bohaterskiej woli człowieka w walce z żywiołem i z ludźmi. Osoba Beniowskiego za wczasu uderzyła wyobraźnię pisarza który już w „Ucieczce" wspomina o tym swoim sławnym poprzedniku na wygnańczym szlaku syberyjskim. W powieści Sieroszewskiego Beniowski to bohater czynu, urodzony wódz i polityk, odważny i przebiegły aż do wallenrodyzmu, pełen energii i rozumu, nie bezpłodny marzyciel, lecz działacz o silnej woli i żadnymi więzami nie dającym się skrępować poczuciu wolności i godności ludzkiej. W tę bohaterską postać historyczną wcielił Sieroszewski swój własny ideał polskiego dowódcy, obdarzył go uszlachetniającą wiarą w człowieka zdanego na własne siły i etyką rycerskiego honoru. W Beniowskim Sieroszewski poniekąd przeczuł, jeśli wręcz nie portretował swego bohatera ze znanego mu już w rzeczywistości wzo-

ru, wodza, na którego wówczas Polska dopiero oczekiwała. Ale bynajmniej Beniowskiego nie wyidealizował. Jest to człowiek zupełny i na wskroś realny, pokazany z wielkim umiarem artyzmu, z doskonale opanowanym obiektywizmem epickiego dystansu. Z wybornym realizmem uruchomił Sieroszewski bogate i różnorodne w swym egzotyzmie środowiska społeczne, najpierw na Kamczatce, potem na pokładzie statku i na wyspach oceanu. Wydobył z tych środowisk bardzo urozmaicony zespół charakterystyk ludzkich, z których obok Beniowskiego najdokładniej wycieniował piękną postać Nastki Niłow i jego rywala Stiepanowa, ale wyborną plastyką odznaczają się też liczne postacie epizodyczne, począwszy od rodziny Niłowów aż po różnorodne typy egzotycznych wyspiarzy. Zdobycie przez Beniowskiego prawdy, że „z trudem doskonalą się ludzie", znajduje integralne epickie rozwinięcie w losach wyprawy, która zarazem ze stron wielorakich oświetla trudne zagadnienie dowodzenia. Rozmyślania Beniowskiego o wolności i o tyranii, albo raczej o dyktaturze, nic nie straciły na swym aktualnym znaczeniu, rozległy zaś splot wprowadzonych do powieści konfliktów między jednostką a gromadą oraz we wzajemnych stosunkach między ludźmi, dotyczy spraw wiecznie żywych. Ekspresja opisowa podnosi się w tonie, jak zwykle u Sieroszewskiego, gdy występuje przyroda. Widok morza północnego wprowadził autor już w pierwszej części, ale dopiero w drugiej części powieści pokazał życie na oceanie, aż do najdrobniejszych szczegółów, w codziennym marynarskim obyczaju i zwyczaju, ze wszystkimi jego trudami, niewygodami i przygodami, nawet ze słownictwem żeglarskim, w literaturze polskiej tutaj po raz pierwszy w takich rozmiarach uwzględnionym. Sieroszewski już w swych najwcześniejszych nowelach jakuckich nie unikał drobnych szczegółów życia codziennego.

Opisy najzwyklejszych czynności ludzkich są w ogóle w twórczości Sieroszewskiego odrębnym czynnikiem literackiej ekspresji i dodają jej swoistego wdzięku o dużej plastyce obrazowania. W „Oceanie“ czynnik ten stać by się mógł aż nużącym, jak poniekąd nuży pod koniec pewien natłok kronikarskiego przedstawienia przygód, gdyby nie równoważyła go zmienność ruchliwego życia wobec płynnego i niespokojnego żywiołu morskiego. Wprowadzona przez Sieroszewskiego do tej powieści i w takim stopniu rzeczowość, będąc najpełniejszym rozwinięciem naturalistycznej metody pisarza, osiąga ów neorealistyczny charakter, jaki stanie się jedną ze znamiennych cech powieści polskiej w późniejszej dobie powojennej, a co u Sieroszewskiego zauważyć można już w jednym z wcześniejszych jego opowiadań: „Wśród lodów“ (z roku 1898), gdzie sprawozdawcza prostota opisu daje wstrząsającą wymowę. Czynnik to sprawiający, że także dawniejsze utwory Sieroszewskiego są tak bardzo bliskie upodobaniom dzisiejszego czytelnika, znajdującego w nich nadto szczerość i prostotę najgłębszych prawd ludzkich.

Powieść o „Beniowskim“, wydana w gorących latach wojennych, nie obudziła u krytyki zainteresowania w tym stopniu, na jaki zasługuje, a co nastąpiłoby niewątpliwie w czasach dla spraw literackich sposobniejszych. Toteż przypomnieć warto recenzję pierwszego tomu powieści przez Ignacego Matuszewskiego, zwłaszcza że zawiera ona bystre uwagi syntetyczno-porównawcze, a zarazem niejako dopełnia dawniejsze studium tego znakomitego krytyka. „Pomimo — pisze Matuszewski — że z nazwiskiem Sieroszewskiego związano epitet pisarza „egzotycznego par excellence“, działalność jego jest o wiele szersza i sięga bardziej w głąb życia, niż np. twórczość Weysenhoffa lub Reymonta. Prawda, że w większości swoich prac Sieroszewski obrabia tematy egzotyczne, albo też

rzuca polskich bohaterów na tło egzotycznej, a specjalnie wschodniej przyrody ale nie brak od tego wyjątków... Jeżeli zostawimy na boku jego dzieła antropologiczno- i etnograficzno-naukowe oraz turystyczno-opisowe, jako też prześliczne „Bajki", to resztę podzieliłbym na dwie grupy: Pierwsza to ta, w której żywioł psychologiczno-humanitarny przeważa nad intrygą oraz egzotyzmem i malowniczością („Na kresach lasów", „W matni", „Chajłach", „W ofierze bogom", „Dno nędzy", „Jak liść jesienny", „Małżeństwo" etc.); oraz grupa druga, gdzie akcja niezmiernie bogata przysłania do pewnego stopnia stronę analityczno-psychologiczną, choć jej nie tłumi i nie niweczy. Do tej grupy należy między innymi „Risztau" oraz „Beniowski". Na pierwszy rzut oka można by ostatnio wymienioną książkę uznać za bardzo ruchliwy i interesujący „roman d'aventures" (powieść przygód), ale byłby to sąd mylny. Niewątpliwie, w powieści tej przygody, wypadki, niespodzianki, powikłania sytuacyjne itp. tworzą niezmiernie splątaną sieć, która dostarczyłaby materiału na dwa, jeżeli nie trzy tomy podobnej objętości, ale autor nie zaniedbał wcale strony duchowej osób działających. Bohaterowie w „Beniowskim" to nie marionetki, poruszane ręką powieściopisarza, nie, to ludzie żywi, cierpiący, czujący, zdolni i do poświęceń i do czynów heroicznych, a zarazem i do nikczemności podlegający emocjom, namiętnościom, impulsom, zabobonom, nałogom etc., krótko mówiąc, obdarzeni hojnie wszystkim, co natura złego i dobrego w człowieku skupiła. Nie zapuszczając tak głęboko swojej sondy „psychologicznej", jak to czyni Żeromski, który lubi sobie, bohaterom i czytelnikowi sprawiać ból, kreśli jednak Sieroszewski bardzo wyraźnie linie zasadnicze, wytyczne każdego wprowadzonego do powieści charakteru. Streszczać przebiegu bardzo zajmującej akcji nie będziemy nawet próbowali, gdyż au-

tor tak ściśle skondensował materiał, że utrudnił przez to zadanie sprawozdawcy. Zwrócimy natomiast uwagę na to, co się w gwarze literackiej nazywa „stroną ideową“ powieści. Otóż Sieroszewski, optymista z natury, ma rodzaj religii, w której dogmatami są: wiara w człowieka, w jego energię i rozum, oraz uszlachetniające działanie wolności. A do zdobycia wolności człowiek powinien dążyć nawet wtedy, kiedy znajdzie się w najtrudniejszych warunkach. Beniowski — jak wiadomo, postać historyczna — b. konfederat barski, następnie jeniec rosyjski, zesłany bezprawnie na Kamczatkę, spiskowiec, zbieg, zdobywca itd., musiał pociągnąć wyobraźnię Sieroszewskiego właściwościami swego charakteru. Szlachetność, odwaga, wielka siła moralna, zdolność wyzyskiwania każdej sytuacji dla celów wyzwolenia siebie oraz towarzyszów niedoli, humanitaryzm, ale bez ckliwego sentymentalizmu — oto zalety, które zrobiły tego rycerza-awanturnika sympatycznym dla Sieroszewskiego. Opierając się na tych samych dokumentach, jakie miał do rozporządzenia Słowacki, traktuje jednak autor dzisiejszy tęż samą figurę w odmienny zupełnie, bardziej obiektywny sposób. Co prawda, całą epokę konfederacką, która stanowi tło przecudownej i ultrasubiektywnej epopei wielkiego rywala Mickiewicza, Sieroszewski zupełnie pomija i zaczyna od przybycia Beniowskiego na Kamczatkę, przedstawia zawiązanie spisku wśród zesłańców i kończy na szczęśliwej ucieczce z niewoli. Historia miłosna z córką wielkorządcy rosyjskiego, panną Niłow, wchodzi z początku zupełnie przypadkowo do intrygi głównej, by się z nią potem sprząc nierozerwalnie w jedną całość. Beniowski u Sieroszewskiego mało posiada erotycznych tęsknot. To przede wszystkim człowiek czynu, urodzony wódz, żołnierz, dyplomata, pełen fortelów i projektów, odważny aż do zuchwalstwa, w razie potrzeby bezwzględ-

ny a nawet chytry, ale na ogół hołdujący etyce rycerskiej. Tu zwrócę uwagę, że aureola, jaką Sieroszewski taką właśnie a nie inną figurę otacza, świadczy o pewnym zwrocie w jego poglądzie na świat, ludzi i politykę. Trochę inaczej wyglądali bohaterowie „Na kresach lasów“ lub „W ofierze bogom“. Mniej w nich było stosunkowo bezwzględności a więcej ofiarności. Ale pomiędzy tamtym a obecnym okresem twórczości Sieroszewskiego stoi bankructwo rewolucji 1905 r., które dla tak wrażliwego człowieka było uderzeniem obucha w czoło. Otworzył zalane krwią i łzami oczy i dostrzegł, że niestety, nie zawsze „homo homini deus“, ale prawie zawsze „homo homini lupus“ — zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych i międzyrasowych. Ale rozprawa na ten temat zaprowadziłaby nas za daleko... Swoją drogą, dobroć, pobłażliwość oraz miłość Sieroszewskiego do ludzi przebija z każdego niemal wiersza. Nie mówiąc już o typach egzotycznych (Oruncza i prześliczna scena jego wyzwolin, por. str. 77—80), ale choćby despotyczny pijanica Niłow i cała zgraja czynowników, oficerów, kupców, następnie rozmaite figury zesłańców i spiskowców, jak Chruszczow, Panow, Stiepanow, Sybajew itd., kreślone są bez cienia złośliwości, a mimo to z niezwykłą, pomimo sylwetkowego traktowania, wyrazistością. Wiele ciepła wlał Sieroszewski w postać nieszczęsnej Nastazji Niłow, szlachetnej ofiary miłości do „wymarzonego królewicza“, Beniowskiego. A wszystko to przedstawione zajmująco, żywo, ze szczerym artyzmem, bez cienia fałszywego sentymentalizmu, bez gonienia za efektami, mimo że temat po prostu do tego kusił. Ale Sieroszewski jako artysta jest bardzo wstrzęmięźliwy i powściągliwy. Żeromski daje się niekiedy porwać uczuciu i wtedy wpada albo w subtelną nastrojowość liryczną, albo wybucha wściekłością i gniewem. Dodać jednak należy, iż dzięki wyjątkowej szczerości a zarazem

mistrzowskiemu opracowaniu językowo-stylowemu, te właśnie ultra subiektywne ustępy dzieł Żeromskiego, nie dające się podciągnąć pod żadną rubrykę teorii prozy, należą do klejnotów twórczości polskiej końca XIX i początku XX w. i hypnotyzują czytelnika. Reymont znowu, zapominając o naturze swego oryginalnego, żywiołowego, ale na wskroś epicko-fotograficznego talentu, robi czasami tzw. „literaturę", zwłaszcza kiedy zacznie liryzować i, broń Boże, filozofować, wtedy bowiem zamiast skrystalizowanych emocji czy głębokich refleksji daje — słowa o wątłej treści, dźwięczące, niby „miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący" — jakby rzekł Paweł Święty. Sieroszewski stoi pomiędzy nimi, jako epik czystej wody, ale epik, posiadający nie tylko oko czułe na barwy i linie, lecz i serce wrażliwe, jak serce tkliwego i szlachetnego dziecka, ale dziecka mądrego i umiejącego opanować ból i rozrzewnienie z siłą godną starożytnego Spartanina". Te trafnie zauważone właściwości postawy moralnej i twórczej Sieroszewskiego jeszcze dobitniej wyraziły się w „Oceanie", gdzie zagadnienie wolności i dobra człowieka przechodzi ciężką próbę wyzwolenia, w której świadomy celu Beniowski, jako przywódca swobodnej gromady ludzkiej, zmuszony jest wbrew samemu sobie uciekać się do przemocy. Ale i teraz usiłuje przezwyciężyć zło przez szlachetność, choćby w stosunku do Stiepanowa, egoisty i wichrzyciela, zacietrzewionego w miłości i zazdrości, chwilami kajającego się, aby znowu ulegać ślepej namiętności. Z niezwykle wnikliwym realizmem psychologicznym odtworzył Sieroszewski tę duszę zbłąkaną na drodze do wolności jako też zbiorowe objawy patologii społecznej w fanatyzmie sekciarzy Chruszczowa. A chociaż sami o sobie mówią w tej powieści „ludzie rosyjscy: jeno surową szanujemy władzę, silnej potrzebujemy ręki", — idealistyczny optymizm autora, trzeźwo widzącego rzeczywi-

stość, tworzy wzruszającą wizję umierającej Nastazji, która nakazuje żywym: „Pogódźcie się... Bądźcie braćmi... jak jesteście nimi z ducha przez... upragnienie... sprawiedliwości... i... wolności...“ Tak się kończy „Ocean“, ale w jednym z wcześniejszych rozdziałów powieści, w chwili gdy statek Beniowskiego po ciężkich tarapatach przybija do obcego lądu a naprzeciw niemu podjeżdża purpurowy okręt krajowy czytamy: „Na jego masztach, linach i u steru powiewają niezliczone chorągwie żółte, niebieskie, amarantowe z dziwnymi znakami, ze złotymi smokami lub z czerwonym słońcem na białym polu. Beniowski kazał wywiesić swą polską banderę“. I właśnie obecność tej polskiej bandery, pod której znakiem działa Beniowski, stanowi widomy symbol myśli o sprawie wyzwolenia narodowego, sprawie ważniejszej i bliższej od wszechludzkiego braterstwa. Konflikt tych dwóch idei, co miał niebawem tak ostro się zaznaczyć w wielkiej wojnie europejskiej i jej następstwach, głęboko poruszał sumieniem pisarza, który całym życiem swoim walczył o prawdę i sprawiedliwość dla Polski i ludzkości. „Ocean“ zakończył wprawdzie Sieroszewski wezwaniem o zwycięstwo dobroci, ale uruchomione w powieściowym krajobrazie społecznym tarcia i przeciwieństwa z opanowanym obiektywizmem przedstawiają, jak trudno realizować najszlachetniejsze idee. W twórczości Sieroszewskiego, który zawsze był i pozostał romantycznym idealistą a pozytywnym działaczem, „Ocean“ ma znaczenie szczytowe i przełomowe, jako wyraz głęboko zatroskanej myśli nad tragicznym rozdwojeniem między ideą a czynem. Ale jest również „Ocean“ tym dziełem, w którym i u Sieroszewskiego i w ogóle w literaturze polskiej najpełniej wystąpił motyw morza. Znaczenie jednak Sieroszewskiego, jako marinisty, wymaga szerszego omówienia.

14.

TRADYCJE MARINISTYCZNE W LITERATURZE polskiej są na ogół wątłe i nikłe, a jednak sięgają odległych wieków, aż do zarania dziejów kultury narodowej. Oto z czasów Bolesława Krzywoustego dochowała się do naszych czasów pieśń rycerstwa polskiego nad morzem, zapisana w przekładzie łacińskim przez kronikarza Galla-Anonima. Ze względu na wczesność i wyjątkowość zjawiska warto pieśń tę przypomnieć. Znajdujemy ją m. in. w „Wiśle" Żeromskiego, ale przytaczamy wierniejszy przekład Romana Grodeckiego:

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące, —
My po świeże przychodzim, w oceanie pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali. —
A nas burza nie odstrasza, ni szum groźny morskiej fali;
Nasi ojce na jelenie urządzali polowanie, —
A my skarby i potwory łowim, skryte w oceanie!

Po tym prymitywie, jakże wszak mocnym w swej prostocie, jakże orzeźwiającym świeżością piastowskiej tężyzny, mija kilka wieków, zanim „dominium maris" żywsze znów budzi zajęcie. Będzie to w dobie Renesansu, która jak we wszystkich innych, również w tej dziedzinie na tle całości dziejów dawnej Rzeczypospolitej jest na prawdę godnym swej nazwy „złotym wiekiem". Dla szlacheckiego ogółu miarodajne są wprawdzie osławione wiersze Rejowego „Zwierzyńca":

O Szwedzie, o Duńczyku tam nie umiem mówić,
Bom nie bywał na morzu, nie chcę śledzi łowić.
Tum jedno po sadzawkach polskich trochę pływał,
A na morzu bodaj tam nikt dobry nie bywał.

Albo Klonowicowego „Flisa": „może nie wiedzieć Polak, co to morze,, gdy pilnie orze".

Lecz w publicystycznej z pierwszego bezkrólewia „Rozmowie Kruszwickiej" innym już głosem odzywa się Jan

Dymitr Solikowski: „Chociam jednak prostak, wiem to i wiedziałem zawżdy, iż każdemu panu i narodowi więcej na morskim państwie zależy, niźli na ziemskim, bo i więtsze a prętsze pożytki morzem, niźli ziemią i więtsze a prętsze szkody i niebezpieczeństwa przychodzą. Dlatego kto ma państwo morskie, a nie używa go albo je sobie da wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddala, a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się stawa, z bogatego ubogim, z swego cudzym, z pana kmieciem". W votum zaś na sejmie 1647 r. głosił biskup kujawski Mikołaj Wojciech Gniewosz: „O opatrzeniu miejsc przy Morzu Bałtyckim i tamtej od morza ukrainy do powszechnej zgody w tej mierze stosować się będę, o to uniżenie W. K. M. prosząc, abyś nam jaki sposób pokazać raczył, którym bychmy mogli, mając tak długi trakt przy prowincjach Rzeczypospolitej morza, dominium maris jakkolwiek zatrzymać, bo się zaprawdę tego obawiam, by zaś postronne narody postrzegłszy tak wielkie niedbalstwo nasze w tej mierze, upatrując te compendia i commoditates mercimoniorum, przez jakie subtelności tego nam nie wydarli, co nam Pan Bóg i natura tej ojczyzny z opatrzności swojej w ręce podała". Najobszerniejszy pogląd na sprawy morza i Pomorza w tej dobie zawiera łacińska książka z r. 1574 biskupa Stanisława Karnkowskiego, późniejszego prymasa. Autorowi chodziło głównie o oświetlenie stosunku Gdańska do Polski, co — jak wiadomo — było w owym czasie doniosłym zagadnieniem politycznym, wobec jego teraźniejszej aktualności tym dla nas ciekawszym. Ale obok Gdańska także skądinąd „dominium maris" niepokoi myśl zabiegliwszych i dalej patrzących statystów. Sprawa inflancka, spór z Danią o prawa do wód bałtyckich, wreszcie żegluga narewska zaprzątają umysły, odzywają się żywymi echami zwłaszcza w publicystyce elekcyjnej. Nadto w pismach

Szymona Starowolskiego występuje bardzo już rozległy program gospodarczo-polityczny, zwracający uwagę na znaczenie Morza Czarnego i rzucający hasło: od morza do morza. Niebawem Zygmunt III wystawia na Bałtyku pokaźną na owe czasy armadę polską, ale już jego następca, Władysław IV, był ostatnim władcą dawnej Rzeczypospolitej, który utrzymywał polską flotę wojenną i fortyfikował wybrzeże. Najgorliwszym w tych sprawach pomocnikiem królewskim był wojewoda sandomierski Jerzy Ossoliński, dzięki któremu przechodziły na sejmach potrzebne uchwały, przez niego też wprowadzone w życie. W związku z tymi zabiegami, których był właściwą duszą, wydaje Ossoliński pisma publicystyczne. Dążenia te popiera m. in. poeta Sarbiewski, kazanie sejmowe z r. 1638 poświęcając morzu i nawołując do obrony polskich do niego praw, co i w jego pieśniach łacińskich znajduje wyraz.

Także w twórczości największego poety dawnej Polski, Jana Kochanowskiego, motyw morza zajmuje miejsce poczesne. Poznał poeta morze Bałtyckie za pobytu swego w Królewcu, a i w podróżach do Włoch miał sposobność oglądać morze. Morzu poświęcił jedyny w swej twórczości krajobraz: znany powszechnie opis burzy na Bałtyku w „Pamiątce Janowi hrabi na Tęczynie". „Jażem przez morze głębokie żeglował" — wyznaje sam Kochanowski we fraszce „Do gór i lasów". Motywy morskie nieraz spotykamy w jego twórczości, co nawet upoważniło Wacława Borowego do napisania pięknego i wyczerpującego w tej mierze studium o „Kochanowskim jako mariniście" (w książce pt. „Kamienne rękawiczki"). Inaczej więc, niż Rej lub Klonowic, był Kochanowski poetą, czerpiącym z morza żywe wrażenia i często wprowadzającym je do swej twórczości, choć za właściwego piewcę morza uważać go — oczywista — nie można.

Poetą, który już u schyłku wieku złotego cały poemat o morzu napisał, jest Marcin Borzymowski, autor wydanej w roku 1662 w Lublinie: „Morskiej nawigacji do Lubeka w R. P. 1651 czynionej“: Są tam wcale udatne obrazki życia na statku i nawet szczerze poetyckie opisy burz morskich. Utwór to godny uwagi i przedruku, znacznie przewyższający opis podróży morskiej w miernym zresztą poemacie Piotra Zbylitowskiego pt.: „Droga do Szwecji“ (1597).

Od połowy XVII w., gdy klęski wojenne za Jana Kazimierza kładą kres dalszemu rozwojowi starań o „dominium maris“, temat morza niknie i z literatury. Odżywa na krótko w okresie przygotowań do Konstytucji 3 maja. Na tym tle dziejowym podniesienie bandery polskiej na statku Beniowskiego u dalekich wybrzeży Wysp Japońskich stanowi ewenement zaiste niezwykły. W ówczesnej literaturze polskiej niekłamany podziw dla morza przejawia się w poetyckim „Opisie podróży do Gdańska w roku 1803 odprawionej w liście do przyjaciela“ przez Michała Wyszkowskiego, niesłusznie — jak się zdaje — zapomnianego pseudoklasyka warszawskiego.

W poezji wielkich romantyków polskich morze polskie nie mogło stać się przedmiotem bezpośredniego opisu. W „Konradzie Wallenrodzie“ Bałtyk jest wprawdzie wspomniany, a w „Panu Tadeuszu“ mocne czytamy słowa: „Miasto Gdańsk! niegdyś nasze, będzie znowu nasze“! Lecz to Morze Czarne dało Mickiewiczowi podnietę do „Sonetów Krymskich“, tej najcenniejszej perły polskiej poezji marinistycznej. Słowackiego — jak wiadomo — Ocean Atlantycki natchnął podziwem dla morza, z którego skał wiódł poeta swą rozmowę z Bogiem w „Genezis z ducha“. Zresztą Jan Lorentowicz w antologii: „Ziemia polska w pieśni“ w rozdziale o Bałtyku przytacza tylko poezję Romana Zmorskiego, J. I. Kraszewskiego,

Wincentego Pola i Wacława Wolskiego, o Gdańsku utwory Or-Ota i Gomulickiego. Znacznie obszerniejszy zbiór wierszy marinistycznych, sięgający jednak już czasów najnowszych, zawierają antologie Władysława Pniewskiego („Morze Polskie i Pomorze w pieśni", 1931) i Zbigniewa Jasińskiego („Morze w poezji polskej", 1937). Pokaźna ilość rzadziej w nich wszakże zadawala doborem jakościowym. Z pisarzy przedwojennych jako poeta morza wyróżnia się Andrzej Niemojewski. Zarówno sonetami, pięknymi naśladownictwami Mickiewiczowskiego wzoru, w których obraz grozy żywiołu morskiego połączył z myślą budzenia ludzkości do czynu, a w „Geniuszu burzy" krajobraz morski umiejscowił na Bałtyku, jak i kilku innymi utworami, z których np. „Przez burze i mgły" w pełni zasługuje, aby wiersz ten włączono do antologii dla marynarzy polskich. Bez porównania ciekawiej przedstawia się motyw morza w polskiej powieści, począwszy zwłaszcza od Sienkiewicza, który nie tylko w nie zapomnianym „Latarniku", lecz i w „Listach z podróży" i innych utworach stworzył bardzo piękne na ten temat opisy. Dokładniejsze poszukiwania pozwolą odkryć rzeczy godne uwagi choćby u autorów mniej dzisiaj znanych, jak w nowelach Józefy Sawickiej (Ostoi) i Heleny Rogozińskiej (Hajoty), albo w powieściach Sygietyńskiego, Dygasińskiego i in. Także Przybyszewski jeden z najpiękniejszych swych utworów dał w „Nad morzem". Kazimierz Tetmajer w „Królu Andrzeju" wprowadził obszerny opis bitwy na morzu. Przygodnie się tutaj wymienia kilka nazwisk i tytułów, aby tylko wskazać obecność omawianego wątku w literaturze polskiej. Powszechnie się utarło mniemanie, że pierwszym wybitnym marinistą naszym stał się dopiero Żeromski, jako autor „Wiatru od morza", dzieła, które w odrodzonej Polsce, gdy odzyskała skrawek własnego wybrzeża, ma wyjątkowo doniosłe

znaczenie, ono to bowiem poczęło znowu krzewić w narodzie myśl o „dominium maris". Zresztą Żeromski już w swych utworach wcześniejszych, w „Popiołach", „Dziejach grzechu", „Róży", zamieścił obszerne krajobrazy morskie, a w zakończeniu „Urody życia" wstrząsającą wizję niewolnej rzeczywistości polskiej związał z ówczesnymi losami polskiego wybrzeża. Nie Żeromski jednak jest naczelnym marinistą naszej literatury. Miano to bowiem należy się przede wszystkim Sieroszewskiemu. Autor „Beniowskiego" i „Oceanu", który — jak sam wyznaje — od najwcześniejszego dzieciństwa śnił o morzu i pragnął zostać marynarzem, po raz pierwszy znalazł się nad morzem w roku 1882, gdy podczas nieudanej próby ucieczki z głębi puszcz syberyjskich dotarł do wybrzeża Oceanu Lodowatego. „Długo potem — pisze Sieroszewski we wspomnieniu autobiograficznym (1933) — nie widziałem morza, aż znalazłem się nad szarym, mętnym Bałtykiem u brzegów Finlandii pod Petersburgiem. Później poznałem ten sam Bałtyk, jeno milszy, czystszy, błękitniejszy, tam gdzie teraz on z powrotem nasz... Ale nie zna morza ten, kto widywał je jeno z brzegu. Tęskniłem wciąż do dalekich, oceanicznych podróży. Poszczęściło mi się: oglądałem prawie wszystkie oceany i morza, nawet Ocean Spokojny, koło Japonii i u wysp Kurylskich, gdzie w czasie wielkiego przypływu tłucze niecierpliwie spienioną paszczęką potwornych fal o kruchy brzeg. Drugi raz obejrzałem go z cieśniny Lapérouse'a. Dwa razy przepłynąłem Atlantyk. Wdychałem słone, gorące opary Golfsztromu i z ciekawością śledziłem za wysepkami porostów, zwiastujących zarośla Sargassy. Raz pośrodku Atlantyku, w gęstej, iście podbiegunowej mgle, ujrzałem wznoszące się wysoko nad naszym statkiem widmo góry lodowej. Jakże żałośnie rozlegał się ryk naszej syreny wśród szklanego rechotu fal, bijących o boki polarnego olbrzyma!

Żeglowałem po Morzu Chińskim, istotnie zabarwionym żółto, nawet daleko od brzegów, muliskami wylewającymi się nieustannie z gardzieli potężnych rzek Niebieskiego Państwa. Na Morzu Japońskim, szarpanym gwałtownymi prądami wśród skalistych wysepek, byłem świadkiem niezwykłego zjawiska: oto nagle w czasie ołowianej ciszy, morze cofnęło się daleko od brzegów, stanęło dęba wysoko i stromo, jak stado koni boga Posejdona, i pobiegło z powrotem z szybkością jaskółki na struchlałą ziemię... Wtedy dopiero zawył wicher, topiąc do reszty to, co porwała woda... Na Oceanie Indyjskim w noce ciche, ciemne i upalne śledziłem nieraz głębiny oświetlone znagła brylantowym deszczem fosforescencji. Jakże dziwacznie w zwiewnym seledynowym świetle wyglądały dżungle tych odmętów, rojące się od dziwotworów i potwornych ryb. Na Morzu Czerwonym, o brzegach piaszczystych, białych i płaskich jak wręby talerza, podziwiałem przeświecające z dna algi, ukwiały i inną morszczynę oraz wielkie mszary rudych korali, przetykane lśniącymi muszlami. Na Morzu Czarnym, płynąc wzdłuż gór Kaukazu, uwieńczonych gleczerami, doświadczyłem mocy i zdradliwości tamtejszych wichrów, wypadających niespodzianie ze skalnych szczelin i uderzających z siłą kamiennego młota w morze i żeglujące statki. Na Morzu Kaspijskim „martwa fala“ w ciągu doby nie puszczała nas do portu, tłukąc podbrzusze i boki naszego parowca, niby pięściami, wełną krótką, szafirową i niesłychanie gwałtowną. Przy zupełnym bezruchu powietrza wrzące, ryczące, spienione morze sprawiało wrażenie czegoś żywego i niesamowicie drapieżnego... Przeżyłem nawet trzydniowy „tajfun“. Ogarnął on nas swym skrzydłem na pograniczu mórz Południowych, dokąd zboczył nasz parowiec uciekając przed nawałnicą. Długo trzeba by mówić, aby opisać ten taniec wodnych gigantów, smaganych wściekłymi bi-

czami wichury. Dość, że nasz wielki francuski parowiec w walce z falami wydawał się kruchą igiełką, silącą się przebić wodne Himalaje. Jakże rozmaity i zmienny jest świat oceanów! Jakże różnią się od siebie jego oblicza!... Jakże głęboko wżerają się w pamięć odebrane odeń wrażenia!... Wydaje mi się, że gdyby przeniesiono mnie nagle z zamkniętymi oczami cudem na które z widzianych niegdyś mórz, poznałbym je od razu. Czyż można zapomnieć przedziwny szafir wód u wysp Greckiego Archipelagu? Albo jaspisowy kolor fal Adriatyku?... A jednak nie czuję zupełnie, abym poznał, abym uchwycił choć cień istoty tego wspaniałego żywiołu, panującego nad trzema piątymi kuli ziemskiej. Tylekroć ścigałem jego tajemnicę rozkochanymi oczami, ale... nadaremnie. Zrozumiałem jedynie, że ląd stały — kolebka i piastunka ludzkości — jest tylko słabym i biernym świadkiem współbytowania i walk, jakie prowadzą nieustannie na naszym globie powietrze i woda. Kto jednak zwycięża? kto rządzi i rozkazuje?... Czasami miałem wrażenie, że powietrze króluje, że ono jest stałym naruszycielem równowagi, która stanowi prawo naczelne oceanu... Lecz z drugiej strony, widziałem na oceanie pod zwrotnikiem narodziny obłoku... W cichy, upalny dzień, daleko na szafirowej toni ujrzałem niespodzianie gromadkę białych mgiełek... Wolniutko pełzały, łączyły się z sobą, aż sprężywszy się w kulistą, perłową chmurę, popłynęły znagła w górę, ku niebu... Widok był przepiękny, a jednak zdradliwy, gdyż taka mała chmurka, przysłoniwszy słońce, wywoływała nieraz orkan... Ocean wciąż dyszy, wysyłając w przestworza ogromne ilości wilgoci, to zimnej, to gorącej... Z nich to rodzą się burze, wichry i pioruny, mącące spokój wód... Właściwie tego spokoju nie ma prawie nigdy. Chwile ciszy na oceanie są równie krótkie, rzadkie, jak chwile szczęścia w życiu człowieka... Zmienność, ruch, walka są

stanem normalnym oceanu. A człowiek, którego życie ociera się i wiąże z bytem morza, musi wciąż pamiętać o zdradliwości i bezwzględnym okrucieństwie tego żywiołu... Ani na chwilę nie można spuszczać go z oczu... Cto pieści łódź ludzką — łagodną falą, lub zalewa delikatną szeligą wybrzeża, aby za chwilę miotać tym samym człowiekiem jak nędzną szmatą, a na brzeg toczyć głazy, lub odrywać odeń przylądki... Dusza marynarza musi wdrożyć się do nieustannego, często podświadomego, napięcia uwagi; musi następnie umieć w chwilach niebezpieczeństwa wyładować z siebie ogromną ilość opanowanej energii w krótkim przeciągu czasu. Od tego zależy jego życie, jego nad morzem zwycięstwo..."

Z przytoczonego wspomnienia autobiograficznego najlepiej widać, jak bezpośrednio i głęboko zżył się Sieroszewski z morzem, jak dokładnie i naocznie poznał piękno i grozę żywiołu, jak bystro dostrzegł rozmaitość i zmienność morskiego krajobrazu, jak wnikliwie zrozumiał życie żeglarskie i jak współczująco wejrzał w duszę marynarza. Te osobiście zebrane wrażenia, doznania i poglądy znalazły też pełne odbicie w twórczości pisarza. W dziełach swoich rozwinął Sieroszewski przede wszystkim ogromne bogactwo krajobrazu morskiego, przedstawił go i odmalował z tym samym mistrzostwem, jak krajobrazy tajg syberyjskich, „urmanów" zabajkalskich, lasów kaukaskich i wsi polskiej. Już w opowiadaniu: „Wśród lodów" (1898) dał obraz podbiegunowego morza Północnego, na którym „słońce pokazywało się tylko na krótko; panowała noc nie tyle ciemna, jak długa", a „plusk fal, ciężkich i przyduszonych, przypominał kłapanie kłów rozszalałego zwierza". Amerykański parowiec „Nadzieja", wpędzony między lody, skołatany i rzucony na krę, zostaje jednak uratowany dzięki przytomności kapitana i oficerów, którzy przywołują na miejsca przerażoną za-

łogę. Z wybrzeża kaukaskiego w „Risztau" (1899) pokazał Sieroszewski nadchodzącą nawałnicę morską. Oto „morze pociemniało; na jego powierzchni zakipiała rdzawa piana; przesycone elektrycznością powietrze dusiło podróżnych; stronami deszcz rozwiesił na widnokręgu swoje czarne smugi, a błyskawice coraz przelatywały po niebie. Morze ciemniało i coraz potężniejszym odzywało się rykiem. Wichry, kręcące na nim trąby, wściekle uderzyły o brzeg, obrzuciły jadących piaskiem i kamykami, konie opuściły łby i zaczęły chrapać, zaświstały zręby skał, jęknęły doliny i lasy, zafalowały z łoskotem morza". Jakże znów odmienny jest widok Oceanu Lodowatego w oczach zbiegów z „Ucieczki" (1904): Ujrzeli morze „w piękne słoneczne południe. Płynęli wschodnią, pomniejszą odnogą, w którą skręcili z głównego koryta, aby uniknąć osad rybaczych przy ujściu i zmylić pościg. Wąski, ale głęboki kanał wił się, jak wąż, wśród torfiastych wysp. Czarne, morskie brzegi, przesłojone brudnymi lodami, zakrywały zewsząd im widok. Wtem za ostatnim z nieprzeliczonych skrętów ujrzeli, że ziemia się kończy, że urywa, że znika, że są na krawędzi modrej przepaści, w której niby okruchy ziemskiego globu, pływały tu i ówdzie drobne, ciemne wysepki. Przepaść pełna była łuski złotych i błękitnych, mieniących się fal, które stopniowo, drobniejąc i blednąc, zlewały się z powietrzem w jeden niezmierzony świetlany ocean. W głębi, nie wiadomo już gdzie, na wodzie, czy na niebie, wyciągnął się równo sznur białych przejrzystych obłoków. Na niektórych chwilami zapalały się skry, lub smugi ogniste, kołysały tam króciuchno i gasły. — Lody! — krzyknęli przejęci... — Lody!

Gwiazd przewodnich na morskiej roztoczy,
Dróg otwartych wśród lodów na fali!...

zanuciła drżącym głosem Eugenia. Nie mieli jednak czasu na śpiewy". W następnych utworach Sieroszewskiego coraz się rozszerzają i nadzwyczaj barwnie urozmaicają opisy krajobrazu morskiego, odtwarzane zawsze z niezrównaną spostrzegawczością i precyzyjną dokładnością bezpośrednio zauważonych szczegółów, jako też z malarskim widzeniem kolorytu, powietrza i światła, na których określenie autor rozporządza słownictwem wprawdzie prostym i jasnym, lecz wyjątkowo trafnym i bardzo subtelnie zróżnicowanym. W opowiadaniach podróżniczych z cyklu „Na Daleki Wschód" (1904) znajdziemy piękne fragmenty z wrażeń morskich u brzegów japońskich. Tamże świetny opis polowania na wieloryby, z którym warto porównać jakże inaczej uruchomiony epizod walki z rekinami w „Oceanie". Lecz dopiero w powieści „Jak liść jesienny..." (1907) okazał się Sieroszewski znakomitym, bez wątpienia największym w całej polskiej literaturze i dotąd jedynym w niej marinistą w wielkim stylu. Odtworzył tu pełny obraz życia na morzu, rozwinął ogromne bogactwo i różnorodność widoków morskich, z których zwłaszcza odjazd statku, cisza na oceanie, noc na oceanie, burza morska, wyspa na oceanie — są wręcz arcydziełami rodzaju. Aby je przytaczać, zbyt wiele trzeba by miejsca, czytelnik sam łatwo je zresztą odnajdzie w powieści Sieroszewskiego. Jedynie dla uwydatnienia kolorystyki pisarza zestawiamy tu kilka przykładów z rozmaitych miejsc: „Morze łuszczy się w późnym słońcu, które srebrzy i złoci na falach sinawą czerń zbliżającego się wieczora. Bałwany przelewają się ciężko, jak roztopiony metal". „Cisza. Ocean gładki, lśniący jak zwierciadło. Słońce białe, ogromne i jarzące — rzuca prostopadle na pobladłe, omdlałe głębiny wodospady żaru i światła. Odbite, wracają one ku niebu i rozsiewają się w przeczystym powietrzu, jako przeraźliwa srebrno-złota pożoga.

Świetlany błękit nieba i morza bez cienia i skazy płonie wokoło i drży od znojnej śreżogi". „Noc była cicha, gorąca. Gwiaździste niebo ametystowe przeglądało się wraz z gwiazdami w ametystowym morzu. Parowiec, otoczony seledynową mgławicą własnej jasności, sunął jak gorejący bolid po cichej, niewidzialnej wodzie. Jak ogony, wlokły się za nim bruzdy białej piany, na których tańczyły ogniste zygzaki wydłużonych świateł. Czarne dymy kłębiły się w górze śladem gwiazdy naczelnej latarni, zawieszonej na szczycie niewidzialnego masztu. Niby dwa różnobarwne ślepia, migały z obu boków czerwone i zielone ognie sygnałowe. Różaniec niezliczonych iluminatorów, oświetlonych z wewnątrz blado-różowym światłem, opasywał boki parowca niby sznur pereł. A tu i tam na pomostach, na mostku kapitańskim, na galeriach bocznych i u rufy płonęły lampy elektryczne, ujawniając brzegi, kanty, płaty białych płaszczyzn, leciuchne zarysy rozpuszczonego w ciemnościach statku. Jeno łabędzie brzuchy szalup ratunkowych lśniły mocno w bijącej z dołu łunie, podobne do płynących w powietrzu bez wiatru i wioseł łodzi Latającego Holendra". Od tego opisu nowoczesnego parowca pasażerskiego, przedstawionego z tak dokładną plastyką, że czytając, odbiera się wręcz wzrokowe wrażenie, jak z namalowanego obrazu, — przeskok daleki do trójmasztowca „Piotr i Paweł", na którym prowadził swoją wyprawę po wolność Beniowski. Aby także z tego morskiego aspektu ocenić psychologiczny talent Sieroszewskiego, warto porównać postać Różyckiego i innych pasażerów „Armanda" z rysunkami charakterologicznymi zbieranej załogi „Piotra i Pawła". Jakże rozległa skala zróżnicowania i jakże wyraziście uchwycone rysy indywidualne i społeczne. Tu również przeważają plastyczne czynniki barwy i ruchu, ale tak dobrane, że odpowiednio wzmacniają albo wprost wyrażają właściwości

lub uczucia ludzkie czy gromadne. W „Beniowskim" motyw morza rozpoczyna i kończy opowieść, aby w „Oceanie" stać się głównym tłem i zarazem czynnym składnikiem fabuły epickiej. I właśnie w „Oceanie" zyskała literatura polska swoją pierwszą na prawdę żeglarską powieść. Z bardzo wielu świetnych opisów życia żeglarskiego w tej powieści, w której np. epizod katastrofalnej ciszy morskiej, mimo na wskroś realistyczne i najzupełniej objektywne przedstawienie, posiada ekspresję o wstrząsającym napięciu, — podajemy krótki fragment pracy na statku: „...Wszyscy zajęci byli naprawą uszkodzeń, zadanych statkowi przez ostatnią nawałnicę. Spajano więc i przewiązywano od nowa łączniki drągów żaglowych, przykręcano mutry u obręczy masztowych, smarowano bloki pordzewiałe, naciągano, wzmacniano, wyprężano wydłużone szarpaniem przewięzie oraz boczne barduny, podtrzymujące maszty a mocno obluzowane niedawną walką z orkanem, osłabione do reszty obecną suchością upałów. Równano wielkie burtowe wanty wraz z pomniejszymi sznurowymi drabinami, obwisłymi od użycia i wyschnięcia do tego stopnia, że trudno już było po nich chodzić. Uwijali się więc ludzie wszędzie na rejach i olinowaniach, skrzypiały w dole kołowroty, stukały młoty i siekiery, piszczały walce i kółka bloków, coraz to rozlegała się krótka, urywana komenda. A ponad wszystkim przelatywały niby błyskawice tęgie, jaskrawe przekleństwa i cicho wiła się górą tęskna żeglarska piosenka:

Zniknął ląd sprzed oczu
Zielony,
Zniknął w morskim przezroczu
Zgubiony.
Ponad nami siność
Wysoka,

A pod nami głębia
Głęboka!
I nic nie ma, gdzie wiedzie
Nas droga,
Oprócz słońca na niebie
I Boga...

W południe blask słoneczny i znój wzmógł się do tego stopnia, iż Beniowski, bojąc się dla ludzi porażeń słonecznych, kazał robót zaprzestać i schować się załodze w cieniu burtowych nawisów. Jeno wodę z morza polecił czerpać i polewać nią często nagrzany pokład, aby uchronić go od spękania". W przytoczonym opisie uderza jego ścisła rzeczowość, techniczna dokładność określeń, słownictwo zwłaszcza dla przedwojennego czytelnika polskiego nieraz zupełnie nowe, ale zawsze stosowane w sposób nie wymagający dodatkowych objaśnień, w ogóle jasna i zwarta prostota wyrazu, na którym zaważyło, być może, ślusarskie terminowanie autora w młodości, lecz który został użyty z świadomą celowością, osiągającą przez to i należyty efekt artystyczny. Wiadomo zresztą, że Sieroszewski rozporządza bogatymi środkami obrazowania, czy to w malarskich opisach przyrody, czy też w dramatycznym inscenizowaniu ludzkich charakterystyk i konfliktów. Metoda zaś pisarska, zastosowana do przedstawienia życia żeglarskiego w „Oceanie", została podyktowana wewnętrzną potrzebą przedmiotu i dała na ogół bardzo korzystne wyniki literackiego realizmu. Rzeczowy charakter tej metody na równi z odmiennym poglądem na świat od pierwszego rzutu oka odróżnia optymistę Sieroszewskiego od pesymisty Conrada-Korzeniowskiego, tego wielkiego artysty marinistyki europejskiej, który — rzecz zadziwiająca — w Polsce się urodził, aby stać się chwałą o ileż w tej dziedzinie bogatszej Anglii. Jeśli zaś

Stanisław Baczyński, pisząc o Sieroszewskm, podnosi pokrewieństwo jego twórczości z powieścią psychologiczno-awanturniczą Conrada, to również jako marinista zasługuje Sieroszewski na porównanie ze znakomitym pisarzem angielskim. W każdym bądź razie w literaturze polskiej, nie wyłączając Żeromskiego, który swoje świetne obrazy morza oglądał z wybrzeża, jedyny Sieroszewski posiada obok bezpośredniości przeżyć morskich również odpowiednią siłę wizjonerskiej ekspresji, którą wywołuje tak trudno uchwytne wrażenie morskiego bezkresu i jego żywiołowej potęgi. W ogóle zaś jako malarz przyrody, także w literaturze marinistycznej stanął Sieroszewski wśród czołowych mistrzów nie tylko polskich, lecz europejskich.

15.

W SIERPNIU 1914 ROKU SIEROSZEWSKI STAWIŁ się jeden z pierwszych do szeregów strzeleckich i był obecny przy tworzeniu Kadrówki w Krakowie. Na własne życzenie 56-letni pisarz i zasłużony bojownik o niepodległość został prostym żołnierzem w służbie frontowej. „Gdyśmy jeszcze stali — wspomina jeden z kadrowców Stefan Pomarański o chwili wkroczenia strzelców z Józefem Piłsudskim do Kielc — w rozwiniętym szyku na szosie, przypadł do nas przybyły z Chęcin, a przydzielony wreszcie do Kadrówki nasz senior ob. Sirko, którego w dniu 6 sierpina tylko wyraźny rozkaz Komendanta zatrzymał w Krakowie i pozbawił radości przemarszu z Kadrówką granicy. Teraz promieniejący dumą, z wielkim plecakiem i w wysokich sznurowanych butach, był przez nas rozrywany. Opowiadał z ożywieniem swoje koleje, prosząc nawzajem o wiadomości z ostatnich dni naszej akcji i notując sobie skrzętnie wszystko w obszer-

nym notesie. Ob. Sirko zbiera materiały do nowej powieści — śmieliśmy się do niego". Wcielony do Pierwszej Kompanii Kadrowej Sieroszewski przeszedł następnie do ułanów Beliny. Żołnierską zasługą zdobył stopień wachmistrza 1 pułku szwoleżerów. „Czas wojny, — wspomina Juliusz Kaden-Bandrowski — to jeden, najwyższej pełen poezji rapsod rycerski w działalności Sieroszewskiego. Łagodny, koleżeński, wesoły wobec towarzyszy frontowych, w obliczu nieprzyjaciela — nie podobna inaczej powiedzieć, jak tylko — lew nieustraszony, ciurom niechętny, wobec Niemców i Austriaków jeż w ręce ująć się nie dający, działacz, kaznodzieja, pisarz, reformator opieszałej opinii, kwestarz niezmordowany, spiskowiec najśmielszy, emisariusz żadnych trudów niepomny, pierwszy przy rozpadaniu się centralnych państw insurgent i wreszcie jeden z pierwszych organizatorów polskiej władzy państwowej".

W roku 1916 wyjeżdża do Lozanny, gdzie na „Kongresie Ludów uciśnionych przez Carat" broni programu niepodległości Polski. „Pamiętam — wspomina później Sieroszewski w jednym ze swych fragmentów autobiograficznych — jakie przerażenie wywołało to wśród Niemców, Francuzów, Anglików... Natomiast rozmaite narody z Kaukazu, Krymu, środkowej Azji, Turkiestanu, nawet z Mongolii, w baranich czapkach i długich bekieszach, padały nam w objęcia i również zaczęły żądać dla siebie niepodległości... Irlandczycy, którzy nie wiem z jakiego powodu znaleźli się również na tym kongresie, wyrażali nam swój entuzjazm i mocno wymyślali Anglii. Powstał zamęt... Niemcy, którzy liczyli na zupełnie co innego, rozgniewali się i grozili, że nie pozwolą nam wrócić do Polski, jeżeli nie dodamy: „niepodległa Polska w połączeniu z państwem Niemieckim". Nie zgodziliśmy się na żadne, choćby najniewinniejsze dodatki do niepodległości, i mia-

łem z tego powodu przykrą przeprawę z niemieckim dyplomatycznym agentem, przydzielonym do nas jeszcze w Warszawie. Odtąd zaczęły się prześladowania mnie przez Niemców, z początku ukryte, a następnie jawne".

W r. 1918 został nawet aresztowany przez Niemców w Warszawie na zebraniu Stronnictwa Niezawisłości Narodowej, którego był prezesem, ale korzystając z panującego zamętu, zdołał umknąć. Z chwilą zbrojnego wystąpienia Polskiej Organizacji Wojskowej, jawnie już przebywa w Warszawie, z ramienia lewicy prowadzi pertraktacje z rządem Świeżyńskiego o utworzenie gabinetu niepodległościowego, co się jednak nie powiodło. Wyjeżdża więc do Lublina, gdzie po wypędzeniu okupantów austriackich wchodzi w skład pierwszego utworzonego tam w wolnej Polsce rządu, jako minister propagandy.

Duże znaczenie propagandowe miały objazdy Sieroszewskiego po ośrodkach polskich w Ameryce Północnej i emigracji robotniczej we Francji. Gdy „znalazłem się po raz pierwszy w Ameryce, — wspomina Sieroszewski w późniejszej książce „Wrażeń z Ameryki" (1931) — wydało mi się, że wstąpiłem w jakieś zaczarowane koło wzniosłej polskiej egzaltacji. Na stacjach spotykały mnie tłumy z chorągwiami, na odczytach gromadziły się tysiące. W niektórych głuchych zakątkach, dokąd dosięgłem, zwabiony gorącymi zaklęciami, — tkacze, górnicy lub giserzy przychodzili wprost z fabryk, zasmoleni, w brudnej roboczej odzieży. Mówiłem nieraz dwie, trzy godziny, a wciąż mi się zdawało, że jeszczem nie nasycił tych dusz prostych, bezpośrednich, które nagle uniosły w górę swe czoła, pochylone zazwyczaj nad warsztatami ciężkiej, szarej, codziennej pracy, i spojrzały wysoko w dal, olśnione złotą jutrzenką wolności Ojczyzny... Czułem, że mam przed sobą fanatycznych wyznawców tej samej dziwnej, wygnańczej religii, którą poznałem na Sybirze — religii

tęsknoty za utraconym krajem... Mnogie rzesze emigranckie gotowały się lecieć z powrotem do Polski; nie żałowano datków, nie skąpiono ofiar, nie cofano się przed żadną pracą i zachodem. Wszystko, co szło z kraju, było dobre, szlachetne, piękne, godne zaufania..." Powtórnie odwiedził Sieroszewski Amerykę Północną po latach dziesięciu, jako delegat na uroczystości 150 rocznicy zgonu Kazimierza Pułaskiego. W roku 1927 wyjeżdżał do Anglii na zjazd P. E. N. Klubów, międzynarodowej organizacji literatów, jako prezes oddziału polskiego (trzeci z rzędu, po Żeromskim i Kasprowiczu). Relację z tej podróży wydał następnie w książeczce pt. „Wrażenia z Anglii" (1931). W roku 1933 zwiedził Sieroszewski Bułgarię.

Gorliwie i czynnie współdziała Sieroszewski w organizacji polskiego życia literackiego, w którym od śmierci Żeromskiego zajmuje stanowisko przodownicze. W latach 1921 i 1927—1930 jest prezesem zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich w Warszawie, od listopada 1933 roku pierwszym prezesem Polskiej Akademii Literatury. I nie tylko sprawy ogólne, lecz również losy każdego pisarza polskiego znajdują w Sieroszewskim zawsze niezwykle gorliwego i wyjątkowo uczynnego opiekuna. Pełni zaś to ofiarnie podjęte zadanie z całym oddaniem, nie oglądając się na wynikający stąd trud osobisty, pochłaniający wiele czasu i sił znakomitego pisarza, który uważa się przede wszystkim za czynnego obywatela swego społeczeństwa, a jest zawsze — jak słusznie podkreślił Lorentowicz — „człowiekiem szlachetnego i wielkiego serca".

16.

SKŁONNOŚĆ SIEROSZEWSKIEGO DO FABUŁY SENSACYJNEJ, przejawiająca się od najwcześniejszych jego powieści i niejednokrotnie podnoszona przez krytykę, w powojennej

twórczości pisarza wzmaga się, a w każdym bądź razie przeważa. Samo jego życie zresztą obfitowało w bogactwo przygód bardzo rozmaitych, wielorakich i niezwykłych. Toteż fragmenty wspomnień autobiograficznych Sieroszewskiego, spisywane w latach ostatnich, są nadzwyczaj ciekawe, a zebrane w całość złożyłyby się na jedną z najbardziej sensacyjnych książek nie tylko naszej literatury. Trzeba się tu wszakże zastrzec, że sensacyjność w literaturze bywa rozmaitego gatunku. U Sieroszewskiego jest to gatunek szlachetnej próby, nie obliczony na pochlebianie niewybrednemu smakowi pewnego typu czytelników, lecz wynikający z czynnego stosunku do życia i z poglądu na świat, wyrobionego w bezpośrednim zmaganiu się z żywiołem przyrody i losem dziejowym. Moment ten ujawnia się najoczywiściej we wspomnieniach autobiograficznych, które stały się też główną podstawą dla przedstawionego w niniejszym zarysie życiorysu Sieroszewskiego, co uchyla potrzebę ponownego cytowania przykładów, zbytecznych tutaj i dlatego zresztą, że powtarzać by tylko wypadło, co się już przedtem stwierdziło o stylu człowieka i pisarza.

Spośród jego utworów powieściowych ostatniego okresu, niektóre były omówione lub wspomniane poprzednio, w związku z cyklami, do których należą. Pozostają jeszcze do uwzględnienia: „Dalaj-Lama“ i „Pan Twardost Twardowski“, dwie powieści z grupy sensacyjnej, lecz wprowadzające nowe albo odmienne wątki.

Zajmującą i bogatą w przygody powieść tybeteńską: „Dalaj-Lama“ (1927) zaliczyć można poniekąd do cyklu chińsko-japońskiego, z którym łączy się ona bliskością egzotycznego tła mongolskiego. Charakterystyka słynnego barona Ungerna von Sternberg, znanego czytelnikowi polskiemu z książek Ossendowskiego i Kamila G[illegible]ego, została pokazana bodaj najwyraziściej prze[illegible]w-

skiego, aczkolwiek mniej bezpośrednio, niż przez tamtych autorów, którzy opierali się na wrażeniach osobistych. Także rosyjskie otoczenie barona Ungerna, jako też środowisko klasztorów tybetańskich, otrzymały pod piórem Sieroszewskiego żywy koloryt realistyczny, chociaż o barwach w swym egzotyzmie wprawdzie ostrych, aż nawet jaskrawych, lecz mniej subtelnie wycieniowanych, niż w dawniejszych powieściach wschodnich autora. Kompozycyjnie słabiej wypadły przygody wplecionych w to tło dwojga młodocianych rozbitków polskich. Jedną z mocnych stron realizmu Sieroszewskiego jest ta jego właściwość, że nie daje się on unosić mglistym pomysłom fantastycznych rojeń, lecz zawsze pokazuje rzeczywistość, widzianą okiem bystrego i trzeźwego obserwatora. Na powieściach o Dalaj-Lamie i o Twardowskim, mimo zachowany w nich obiektywizm realistycznego przedstawienia, ujemnie właśnie zaważył brak naocznego stosunku pisarza do przedmiotu, czyli autopsji.

„Pan Twardost Twardowski czarnoksiężnik polski“ (1930) spotkał się u krytyków z oceną na ogół ujemną. Mimo jednak zastrzeżeń, choćby i słusznych, stwierdzić trzeba, że w tej powieści historycznej o polskim Fauście, którą 70-letni ale wciąż duchem młody autor wkroczył na zupełnie nowe dla siebie pole twórczości, oryginalnością ujęcia materiału legendowego, barwnością obrazu dziejowego oraz psychologiczną interpretacją pokazanych na tym tle osób, znów dał Sieroszewski dowód swej niepożytej żywotności. Powieść o Twardowskim, siłą rzeczy, wymagała również podbudowy filozoficznej. Tę stronę zagadnienia racjonalistyczny umysł Sieroszewskiego rozwiązał najmniej szczęśliwie, co zresztą nie udało się także Wołoszynowskiemu w jego na ten temat próbie w odmiennym rodzaju balladowo- poetyckim. Dla Sieroszewskiego zadanie było tym trudniejsze, że przesłanki jego własnego

poglądu na świat nie zawsze dały się trafnie powiązać z prądami myślowymi epoki historycznej. Natomiast obraz obyczajowy w ramach powieści przygód, związanych w jednolitą i logicznie zbudowaną całość, wypadł z właściwą autorowi, bardzo dynamiczną plastyką. Z charakterystyk ludzkich najciekawiej wygląda pani Twardowska, jako piękna i ujmująca wdziękiem mieszczka krakowska, później wierna i ofiarnie mężowi oddana żona. U niej to, utrzymującej wtedy karczmę, znajduje Twardowski obronę przed skutkami legendarnego paktu z szatanem, gdy pada w zwadzie z powodu przygody miłosnej. Taka odmienna w szczegółach interpretacja legendy nosi wybitne piętno tych poglądów życiowych, którym Sieroszewski od lat najmłodszych nigdy się nie sprzeniewierzył. I w tym ostatnim jego utworze powieściowym wyraźnie się przejawia wysoki ton szlachetności moralnej, opartej na silnie ugruntowanej wierze w wartość człowieka oraz na kulcie ludzkiej godności i wolności. U Sieroszewskiego bowiem, jak we francuskim o nim studium trafnie wyraził się Zygmunt L. Zaleski, „sztuka życia wytężonego, bujnego i szlachetnego potęguje się jeszcze tą samorzutną mądrością, jaką jest odwaga, aby być zawsze sobą".

W całej twórczości Sieroszewskiego, której główne linie i idee starano się przedstawić w poprzednich rozdziałach niniejszego zarysu, sprawą najważniejszą jest człowiek, co ma odwagę i umie być sobą. Ten motyw hartu moralnego stanowi o atmosferze ideowej. Jako artysta największe zasługi położył Sieroszewski przez stworzenie odrębnego rodzaju powieści egzotycznej, która w literaturze europejskiej zajmuje stanowisko własne i bynajmniej nie ustępujące najlepszym przedstawicielom rodzaju. Jest jednym z najświetniejszych w literaturze powszechnej malarzy przyrody, w literaturze zaś polskiej także najwybitniejszym marinistą. W ogóle jest Sieroszewski właś-

ciwym inicjatorem polskiej literatury egzotycznej, twórcą jej stylu, który wśród najlepszych jego następców zyskuje zdolnych twórców.

Przeżył Sieroszewski ciężki okres nieludzkiej okupacji niemieckiej i powstanie warszawskie. Zmarł w kwietniu 1945 roku w Piasecznie pod Warszawą.

SPIS RZECZY